

MIESIĘCZNIK

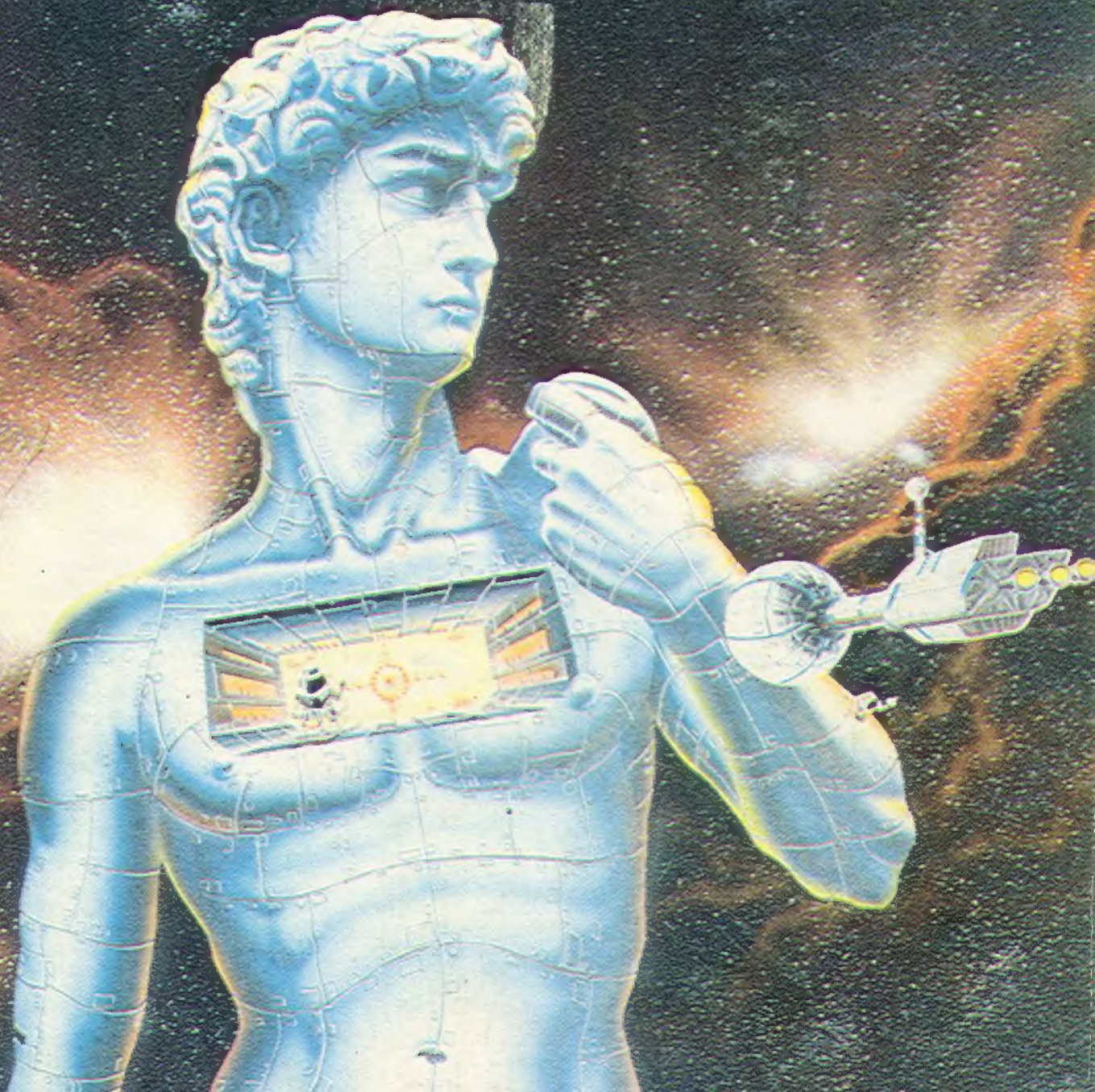
10 (61) PAŹDZIERNIK 1987. CENA 100 ZŁ

Fantastyka

PE-ISSN 0209-1631

NB INDEKS 35839

MICHELANGELO MIANI





ANDRZEJ WROŃSKI

Malarstwem zajmuje się dość długo, ale ten styl odbierania i wyrażania świata uprawiam dopiero od kilku lat. Świat jest aż nazbyt realny, toteż fantazja, a właściwie przedstawianie jej na płótnie, dostarcza wiele radości. Jeszcze bardziej cieszę się, że szereg skojarzeń i sytuacji pozwala na wyrażenie głębszych wartości, które trafią do każdego z Państwa.



4.10.62

W numerze: fantastyczne zoo! Jednorożce, chimery, gorgony, humbry, hydry, smoki, minotaurowe, snery, ralsheeny, rumakiny, centaurowe, pegazy, harpie oraz szczypasy, zębogony, kamieniojady, płakojaszczury, dziesięcionogi, błękitne przedziolki, czteroskrzydłe gąski, wkręta, brodawkowce petzające, charby, zębodmuchy i dwugłowe pytonice – to tylko niektóre ze stworzeń w opowiadaniach Mike'a Resnicka i Nikolaja Gudanica. W felietonie Macieja Ilowieckiego możesz natomiast spotkać się z człowiekiem-myszą, królikiem-kurą i szczurem-petunią (!). Jeżeli chcesz ten zwierzyniec poznać dokładniej, zajrzyj do leksykonu postaci fantastycznych, zamieszczanego w „Małej Fantastyce” – dodatku kwartalnym do naszego miesięcznika.

Opowiadania i nowele

Mike Resnick
Łowy na jednorożca
z karabinem i kamerą

4

...Byli przyzwyczajeni do różnych temperatur i terenów. Nie przeszkadzało im, jeżeli w piwie trafił się jakiś robak lub gdy nocą w namiocie pojawiały się duchy. Wiedzieli, że grają w śmiertelnie niebezpieczną grę...

Gene Wolfe
Pierzaste tygrysy

6

...Nie było czasu na to, żeby zawiadomić Dondila, czy w ogóle na cokolwiek poza błyskawicznym podenwaniem miotacza i naciśnięciem na spust. Błask ognia rozświetlił na moment mroczniejszą dżunglę...

Nikołaj Gudaniec
Arka

10

...Akademiści wszystko jedno, dawno go pozatł płakojaszczur i jego popiersie stoi w Głównym Kosmoporcie naprzeciwko baru. A my do dzisiaj wozimy różne paskudy...

Daniela Piegai
Strażnicy entropii

12

...Tak więc choć przypuszczałem, że jestem w mocy jakiegoś demona – nic o tym nie mówiłem. Cóż, lepiej być nieczystą, ale żywą, niż oczyszczoną przez ogień, lecz martwą...

Z polskiej fantastyki

Feliks W. Kres
Demon Walki

21

...nie zdołali powtórnie naciągnąć kuszy, trzykrotnie liczniejsza zgraja wpadła na nich z zaciętością stada wilków. Szczęknięty krzyżowane miecze, gdzieś gdzieś zaśniedział w migotliwym blasku deptanych pochodni grot włóczni i krzywe ostrze szerokiej pirackiej szabli...

Powieść

Jonathan Carroll
Kraina Chichów (4)

25

...Ojciec wierzył, że skoro on był w stanie stworzyć Galeńczyków, to po jego śmierci na pewno znajdzie się ktoś, kto potrafi odtworzyć jego samego...

Poezja i fantastyka

Edgar Allan Poe

41

Słynna ballada „Kruk” w nowym przekładzie Jolanty Kozak oraz w wersji oryginalnej. Ponadto, aby ukazać, jak doszło do powstania utworu, przypominamy fragmenty „Filozofii kompozycji” Poe'go.

Krytyka

Finis coronat opus!

54

Andrzej Niewiadowski, Lech Jęczyński, Dorota Malinowska, Maciej Pańkowski i Rafał A. Ziembiewicz przedstawiają swe refleksje po lekturze prac nadesłanych na konkurs „Fantastyki” (werdykt jury w poprzednim numerze). O konkursie pisze też Adam Hollanek w swym felietonie „3.2.1...”

Słownik polskich
autorów fantastyki

56

Adolf Nowaczyński (1976–1944) – dramaturg, satyryk, publicysta. Na „pożółkłych kartkach” fragment utopii humorystycznej „System doktora Caro”.

Recenzje

58

Pisza: Włodzisław Jurasz o „Solans” i „Niezwyciężonym” Stanisława Lema, Małgorzata Skórska o „Kozle ofiarne” René Girarda, T. Zbigniew Dworak o „Mieszkańcach światów alternatywnych” Marcina Ryszkiewicza

Spotkanie z pisarzem

Gene Wolfe

60

...nie podoba mi się, że moje utwory sprzedawane są z etykietką SF...

Nauka i SF

Powrót Minotaura

62

Czy biologowie przekroczą granice dotychczas nieprzekraczalne z punktu widzenia zarówno nauki, jak i etyki? – Maciej Ilowiecki o eksperymentach w laboratorach inżynierii genetycznej.

Film i fantastyka

Galopem w magię

64

„Biały smok” (reż. Jerzy Domaradzki i Janusz Morgenstern) – tak! „Critters” (reż. Stephen Herek) – nie! Takie jest zdanie naszej recenzentki o dwóch filmach, które weszły na polskie ekrany w lipcu br.

Co dała nam druga tura nieustającego konkursu literackiego, oprócz niezbitego dowodu (w postaci nadesłanych 1148 zestawów prac), że zainteresowanie fantastyką jako gatunkiem pisarstwa nie tylko nie maleje, lecz rośnie?

Czy usatysfakcjonował nas poziom, czy wyłoniły się nazwiska nowych, nieznanych dotąd pisarzy, a może jakieś większe nadzieje, talenty? Czy nie zraża startujących niezbyt przychylny dla gatunku, lub co najwyżej protekcyjny, stosunek czołówki, czy raczej części czołówki krytyków do młodych pisarzy, wyraźnie zamaniestrowany w książce wydanej zeszłego roku przez „Iskry”? Także i materialne podstawy działalności piszących fantastykę, uważaną przez wydawnictwa za dojmą krowę, za dostarczyciela dużych zysków, w ostatnim czasie znacznie osłabły – przy takim tempie wydawania książek, przy takich cenach, odstręczających wręcz czytelnika, w ogóle bodźce do stawiania się literatem, a jeszcze do tego traktowanym lekko pisarzem fantastycznym, musiały zmaleć. Z każdego, nawet i fantastycznego pisania trudno w ogóle wyżyć.

Mieliśmy też obawy innego rodzaju: rozpisywać konkurs po konkursie i oczekiwać cudu, to naprawdę trzeba być fantasta. Sądziłyśmy, że po „Trzeciej bramie”, wydanej przez sławną krakowską oficynę, jedyną, w której Stanisław Lem się produkuje, trudno będzie zapewne zmontować następną książkę na takim poziomie i to taką, która by się jak „Brama” dobrze sprzedawała. Niepokoił nas także rozwój wypadków po pierwszej turze konkursu. Spośród tych kilkunastu młodych, którzy tak świetnie wystartowali i zdobyli laury, tylko nieliczni potrafili się utrzymać na powierzchni, reszta nadsyłała rzeczy słabsze, jakby myślano, że po zwycięstwie można sobie odpocząć, połogować – to znaczy, nie zaniechać o wysokie loty. I takich opowiadań nie wydrukowaliśmy. Niestety, literatura jest dziedziną – jeśli się ją poważnie traktuje – w której nie liczy się odcinanie kuponów od uprzedniej sławy. Sprawdzają się tutaj trzeba raz po raz, inaczej kłopot. Ludzie przestają czytać – koniec kariery.



Wprawdzie wydawało się i jeszcze wydaje w wielu naszych olicynach rzeczy zwane cegłami, ale praktyki te wykluczy szybko, tak że prawie całkiem będą musiały zniknąć, obecna sytuacja rynkowa – za takie pieniądze nikt złej książki nie kupi.

Na przekór jednakże wszelkim niepokojom, które targają nami, nagroda za mozolną pracę czytania utworów, wykonaną przez bez mała cały zespół redakcyjny przyszła w postaci planu drugiej tury konkursu literackiego. Okazało się, że poziom warsztatowy tych, którzy nam swoje opowiadania nadesłali jest wyższy niż poprzedników. Ale równocześnie trzeba sobie uświadomić, że mamy do czynienia tym razem raczej z grupą osób reprezentujących nie najmłodsze pokolenie, dopiero co startujące – lecz osoby w wieku, no powiedzmy, średnim, w każdym razie to nie sama młodzież. Wśród zdobywców nagród są przecież nawet zawodowi pisarze i dziennikarze, a w każdym razie ludzie, którym i wcześniej nieobce było pisanie.

Dla mnie ogromną niespodzianką i radością stała się możliwość przyznania pierwszej nagrody Markowi S. Huberathowi z Krakowa i to nie jedynie dlatego, że żywię szczególny sentyment dla tego miasta i wierzę w jego *genius loci*, lecz przede wszystkim dlatego, iż jest to opowiadanie ze wszech miar godne uwagi. Autor potrafił nadać swemu utworowi niezwykle wartkie tempo i stworzyć atmosferę nieustannego napięcia, a równocześnie to co się dzieje z konkretnymi bohaterami ma charakter głębokiej

metafory. Przecież każdy z nas jest w jakiś sposób kaleki, ułomny, zarówno fizycznie, jak i psychicznie, pełen kompleksów. Kalecy bohaterowie opowiadania – i to jest znamienne w dążeniu do uzyskania pełni normalnego życia – nie kierują się egoistycznymi interesami, przeciwnie, starają się sobie wzajemnie pomóc, są tu więc mocne wartości etyczne. Opowiadanie, choć rozgrywa się w mrocznej, potwornej atmosferze miasta po wojnie atomowej (stopniowo ukazywanej i ujawnianej, a przez to jak gdyby ostrzej nas atakującej) nie wzbudza poczucia beznadziei, długo pozostaje w pamięci krótka historia miłości bohatera do niemej, ułomnej dziewczyny, nie ma chyba drugiej takiej we współczesnej literaturze SF. Może za bardzo chwalebnie Huberatha za jego nagrodzoną przez nas pracę, ale wydaje mi się, że tę jego pierwszą nagrodę dzieli spory dystans od następnych, mimo że i resztę nagród i wyróżnień przyznaliśmy bez taryfy ulgowej.

Mam nadzieję, że książka, jaka z tego powstanie zdobędzie sobie publiczność, podobnie jak „Trzecia brama”. Także i tym razem czytelnicy dostrzegą z pewnością znaczną różnicę między fantastyką, wyróżnioną przez nas w pierwszej i drugiej turze konkursu, taką samą, jaką od tematyki uprawianej przez pokolenie Zajdla dzieliła tematyka opowiadań generacji Boryczki. Konflikty romantyczne jednostek wychodzą w tej nowej prozie fantastycznej, bardziej dojrzałej literacko i lepiej pisanej, na pierwsze miejsce, a i baśniowość coraz bardziej daje o sobie znać. Nie jest to jednak absolutnie typowa fantasy i szczerze wątpię czy u nas baśniowość ma jakąś większą i szczęśliwszą szansę na przyszłość.

Fakt pozostaje faktem: przez ostatnie miesiące mogliśmy dostarczać naszym Czytelnikom tej nowej, a w każdym razie innej fantastyki. Dziewięciu jest wyróżnionych i nagrodzonych, jak Państwo zapewne pamiętają z werdyktu jury ogłoszonego przed miesiącem. Czy wszyscy zostaną pisarzami, czy wytrzymają trudy tej profesji? 10-9-8-7-6-5-4-3-2-1-0

Adam Hollanek

MESECEK LITERACKI Fantastyka

Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA,
ul. Mokotowska 5/6

Telefony: 25-34-75 (red. nac., sekretariat, działy: techn., graf., literatury polskiej), 25-50-51 (z-ca red. nac., sekretariat, działy: zagr., krytyki).

Redaktor naczelny: Adam Hollanek.

Zespół redakcyjny: Andrzej Brzeziński (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczyński (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Andrzej Niewiadowski (z-ca red. nac.), Maciej Parowski, (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nac.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Dariusz J. Toruń, Marek K. Zalejski, Rafał A. Ziemkiewicz.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Noakowskiego 14, 00-866 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-35-36. Skład: Zakłady Włókiendrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Zam 2908/87, K-22
Nakład 150 000 egz.

Czytelnicy i „Fantastyka”

Lądowanie LVI

W pełni lata (niespodziewanie upalnego) otrzymaliśmy mniej listów niż normalnie. Jest to zjawisko doroczne, po prostu na urlopach pisanie korespondencji ulega chwilowemu zawieszeniu, aby następnie wybuchnąć po sezonie całymi lawinami różnych wniosków z letniej lektury i propozycji jako wyniku wakacyjnych przemyśleń. Gdy porcja ta, którą w skrótach przygotował Wam Wasz Redaktor, ukaze się w druku, będzie już zapewne okres stół jesiennych „Fantastyki” wkroczy w systematyczne orbitowanie u progu nowego pięcioletnia swej egzystencji. Zaczynamy dziś od wiadomości niespodziewanej i drastycznej.

Eutanazja

Przykro mi, że przesyłam tak smutną wiadomość, myślę jednak, że Czytelników „Fantastyki” zainteresuje – dotyczy przecież bardzo znanego autora, a raczej autorki. Podobne wrażenie, jak niegdyś śmierć słynnego Ernesta Hemingwaya wywołała tragiczna śmierć pisarki Alice Sheldon (lat 71), która drukowała swe utwory pod pseudonimem James Tiptree Junior, i jej ciężko chorego, przykutego cierpieniem do łóżka męża Huntingtona Sheldon (lat 84). Obydwoje martwych, z ranami postrzałowymi głowy, znaleziono pewnego wczesnego letniego poranka w ich domu. Z listu pozostawionego przez pisarkę wynikało, że aby skrócić cierpienia swoje i nieuleczalnie chorego męża, przecięła ona życie swoje i jego dwoma strzałami z pistoletu. Znany autor, także i z Waszej „Fantastyki”, Robert Silverberg, przyjaciel obojga, oświadczył, że jeszcze w grudniu 1986 r. w liście do niego pani Sheldon donosiła o zamierzonym czynnie eutanazjnym, czyli o skróceniu cierpień męża i swoich, z nim uzgodnionym. Jak wiadomo, eutanazję, czyli samowolne skracanie cierpień poprzez samobójstwo lub zabójstwo, większość systemów moralnych i prawnych surowo potępia.

Pisarka była córką znanego podróżniczki i uczoney, wystartowała bardzo późno ze swoim pisarstwem, bo przed blisko 20 latami; mając wówczas około lat 50. Traktowała tę swoją twórczość fantastyczną jako relaks po wieloletniej pracy nad doktoratem. Wykładała na Uniwersytecie Amerykańskim i Uniwersytecie Jerzego Waszyngtona

na psychologię eksperymentalną i statystykę. Czytelnicy polscy na pewno pamiętają jej szokujące opowiadania z tamów „Fantastyki”. W ubiegłym roku w eseju o publikowanym w znanej gazecie „Washington Post” określono Alice Sheldon-Tiptree jako jedną z najlepszych nowelistek lat siedemdziesiątych!

Donosząc więc z przykrością o tym wydarzeniu, wstrząśnięty tragedią, polecam się taskawej pamięci jako Wasz sympatyk, autor i fanastyka.

Andrzej Urbańczyk
Montara (USA)

Więcej pań?

Tak. Waszemu Redaktorowi wydaje się, że trochę zmienia się skład naszych Czytelników, jako że dostajemy więcej listów od pań, rzadko przecież sięgających po literaturę fantastyczną. Oto fragmenty dwóch listów:

Czy nie uważacie, że pisarstwo fantastyczne jest w gruncie rzeczy antykobiece, opisuje raczej pozytywnych lub negatywnych Supermanów, nam, kobietom, pozostawiając bardzo drugorzędne role. Właściwie nie wiadomo czemu się tak dzieje. Wprawdzie w klasycznej literaturze przygodowej mężczyźni również dominowali, ale na przykład nasz Sienkiewicz w swojej „W Pustyni i w Puszczy” uczynił Nel postacią pierwszorzędą i równorzędną bohaterką powieści, podobnie stało się w „Na srebrnym globie” Żuławskiego. Kobiety w tej jego trudnej i smutnej opowieści mają olbrzymie pole do popisu. Czemu podobnej drogi pisarskiej nie obserwujemy we współczesnej polskiej powieści przygodowej, której niewątpliwie ważny etap stanowi science fiction? Może by ktoś pokusił się o napisanie esaju na ten temat, może pisarze zmieniliby front. Toż w „Fantastyce” jest jak przed wiekami, tymczasem w rzeczywistości współczesny świat spoczywa pod pantofelkiem wpływowych, rządzących kobiet i jakoś najnowsza literatura tego nie odzwierciedla...

Lena Drozdowska z Wrocławia

„Fantastykę” czytuję od dawna. Nie wszystko jednak mi się w niej podoba, na przykład poezja. Nie jest to taka poezja, jaką sobie można wymarzyć, czyżbyście nie mieli dostępu do lepszej? W dołch-

czas drukowanych utworach znalazłam dla siebie zaledwie dwa, trzy wiersze, które mi się podobały... Niektóre dobre ilustracje zamieszczacie niestety w środku i trzeba je oglądać przez lupę, a wiele słabszych obrazków wędruje na okładki. Lubię bardzo Siudmaka i Achilleosa za ich przedstawianie kobiet. Co z komiksem, kiedy wystartuje jakiś dodatek, o którym słyszałam, że ma być; teraz – czyste kpiny – dwie kartki na komiks w „Fantastyce”, koń by się uśmieł. Bardzo cenię sobie w numerach pisma krótkie biografie autorów oraz szkice o filmie. To jest dobre. Poszukuję „Fantastyki” nr 1-3/82, 4-10/83, 20 i 24/84, 28, 29, 34, 38 i 39/85 oraz 45 i 47/86.

Marzena Rzeszutok
Kopernika 2/60
Leżajsk

A propos komiksu

Będzie mnie interesować „Komiks-Fantastyka”, jeśli powstanie. Uważam, że taki dodatek nie powinien zawierać jedynie jednego komiksu, lecz kilka komiksów w odcinkach. Poszczególne odcinki powinny być od siebie oddzielane malarsztwem i grafiką SF. Moglibyście także pisywać szerzej o twórcach, opisywać słynnych bohaterów komiksowych. Dobrze by było, abyście drukowali, także w formie komiksowej, klasykę SF. Każdy z fanów wie, kto to Superman, kto Flash Gordon itd., ale tak naprawdę to kto i gdzie oglądał komiksy z nimi? Na dodatek w języku polskim?

W numerze kwietniowym drukowaliście tzw. fantastykę ekstrawagancką. Nie była ona znowu taka najlepsza i taka ekstrawagancka, ale sądzę, że podobnych utworów można by drukować więcej i częściej. W tej samej „Fantastyce” gościł Frank Frazetta, to było wspaniałe. Jego też przydałoby się częściej. Najlepiej w dodatku kwartalnym.

W związku z pięcioletnim „Fantastyki” przesyłam komiksowe życzenia. Uważam także, że redaktor AH z drugiej kolumny powinien mieć z tej okazji bardziej promienne oblicze.

Grzegorz Weigt z Prudnika

Przypominam wszystkim naszym Czytelnikom, że już ostatnia chwila, aby opłacić prenumeratę „Fantastyki” na następny rok. Warunki podajemy w ogłoszeniu poniżej.

Redaktor

UWAGA CZYTELNICY!

Przypominamy o mijającym niedługo terminie prenumeraty „Fantastyki” na rok 1988!

Warunki prenumeraty: ● Dla zakładów pracy: instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i miastach, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach; instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy. ● Dla prenumeratorów indywidualnych: osoby zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy; osoby zamieszkałe w miastach-siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora przy użyciu „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch”. ● Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictwa, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zlecających indywidualnie i 100% dla zlecających instytucje i zakłady pracy.

Terminy przyjmowania prenumeraty: do dnia 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny, do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Cena prenumeraty: kwartalnej 300 zł, półrocznej 600 zł, rocznej 1200 zł.

Przypominamy, że w kioskach „Ruchu” są przyjmowane zlecenia na opłatawanie prasy do teczek.



Mike Resnick

Łowy na JEDNOROŻCA z karabinem i kamerą

(Stalking the Unicorn with
Gun and Camera)



Kiedy Rheela z Siedmiu Gwiazd zbliżyła się do stada południowosawannowych jednorożców, które tropiła od czterech dni, złożyła hołd Quatr Mane'owi, Bogowi Polowania, potem założyła Amulet z Kobassen i sprawdzając, czy wciąż znajduje się od wewnętrznej strony stada, zaczęła się doń zbliżać z kamerą w ręce.

Ale Rheela z Siedmiu Gwiazd popełniła jeden błąd – błąd zaniechania i w trzydzieści sekund później była już martwa, brutalnie przebita rogiem jednorożca – byka.

Hotack Zwierzobójca ostrożnie wspinał się po zboczach Góry Bezimiennego. Był umiarkowanym tropicielem, nie znającym strachu myśliwym i świetnym strzelcem. Odnalazł trop, doszedł zwierzę na odległość wzroku i cisnął swoją maczugą. Leciała prosto do celu.

A jednak, w niecałą minutę później, Hotack, z poważnie zranioną lewą nogą, ledwie był w stanie doczołgać się do dającego schronienie Tęczowego Drzewa. On także popełnił błąd – błąd ignorancji.

Bort Niewinny miał za sobą udane safari. Jego łupem padły trzy chimery, gorgona i pięknie dobrana para gryfów. Podczas gdy jego trolle obciążały skórę z gorgony, Bort zauważył jednorożca zabawiającego się swym rogiem o rekordowych rozmiarach. Ruszył za nim z bronią w ręku. Teren powoli zmieniał się i nagle Bort znalazł się w smoczej trawie, sięgającej mu do ramion. Niezrażony szedł dalej, wchodząc w coraz gęstsza roślinność.

Ale Bort Niewinny także popełnił błąd – błąd głupoty. Ja-

kies sześć godzin później trolle znalazły to, co z niego pozostało, a nie było tego dużo.

★

Zaniechanie, ignorancja i głupota – prowadzą do większej liczby wypadków śmiertelnych wśród myśliwych polujących na jednorożce, niż wszystkie inne powody razem wzięte.

Przyjrzyjmy się naszym przykładom. Wszyscy troje – Rheela, Hotack i Bort mieli duże doświadczenie w polowaniach. Byli przyzwyczajeni do różnych temperatur i terenów. Nie przeszkadzało im, jeżeli w piwie trafiał się jakiś robak lub gdy nocą w namiocie pojawiały się duchy. Wiedzieli, że grają w śmiertelnie niebezpieczną grę i zanim ją rozpoczęli, podejmowali wszystkie rozsądne środki ostrożności.

A mimo to dwoje z nich straciło życie, a trzeci został ciężko okaleczony.

Przeanalizujmy ich błędy i zobaczmy, jakie można wyciągnąć z nich wnioski. Rheela z Siedmiu Gwiazd wiedziała wszystko, co jej osobisty czarnoksiężnik mógł powiedzieć o jednorożcach, była wyposażona w profesjonalny sprzęt fotograficzny, wynajęła przewodnika tubylca, który miał za sobą wiele polowań na jednorożca i otrzymała od miejscowej wiedzy-znaczorki błogosławieństwo dla swego Amuletu z Kobassen. A jednak kiedy nadszedł atak, Amulet nie pomógł, bowiem błędnie zidentyfikowała napólkany typ jednorożców – a przecież ciągle podkreślałam podczas moich wykładów, że Amulet z Kobassen działa tylko przeciwko rzadko występującym i prawie zanikającym jednorożcom leśnym. Na jednorożce południowosawannowe działa jedynie Talizman z Triconis. Zaniechanie.

Hotack Zwierzobójca zlekceważył z kolei wszystkie formy nadprzyrodzonej ochrony. Dla niego istotą polowania była fizyczna walka sam na sam z wybraną zwierzyzną. Jego maczuga, misternej roboty i świetnie wyważona – wspaniałe narzędzie zagłady – położyła już niejednego simurgha, humbaba czy nawet przerażającą, welnistą hydre. Hotack wybrał jako cel głowę i maczuga prawie ją osiągnęła. Ale zapomniał o fenomenalnym zmyśle powonienia jednorożców, a także o szybkości, z jaką te dzikie zwierzęta mogą się poruszać. Zaalarmowany obecnością Hotacka jednorożec odwrócił głowę, żeby zobaczyć swego prześladowcę – i zabójcza maczuga świsnęła obok jego rogu. Gdyby Hotack porozmawiał z którymkolwiek ze starych myśliwych polujących na jednorożce, wiedziałby, że cios w głowę praktycznie nie może się udać i zdecydowałby się celować w kolano. Ignorancja.

Bort Niewinny, świadomy wyjątkowej przewagi, jaką ma nad jednorożcem osoba czysta, zachowywał całkowitą abstynencję seksualną od czasu, gdy zaczął rozumieć, co ten termin oznacza. A jednocześnie naiwnie wierzył, że skoro zwierzę pozwoli mu – dzięki jego niewinności – bardziej się zbliżyć, to stanie się też łagodniejsze. Podążał więc za złośliwym stworzeniem, które wprowadziło go w łąkę wysokich traw, gdzie było dość miejsca do manewru koniecznego podczas nieuchronnego ataku. Głupota.

Każdego roku setki pełnych nadziei myśliwych wyruszają w poszukiwaniu jednorożców i każdego roku prawie wszyscy wracają z pustymi rękami – jeżeli w ogóle wracają. A przecież jednorożca można podejść zupełnie bezpiecznie i upolować go, jeżeli tylko łowca poświęci trochę czasu, żeby poznać swój przyszły łup.

W istocie rzeczy, jednorożec jest względnie łagodnym zwierzęciem (chyba że został rozjuszony). Jest to stworzenie o stałych nawykach, których poznanie umożliwi przyszłemu fotografowi lub zbieraczowi trofeów myśliwskich powrót do domu ze zdjęciami lub rogiem, po przeżyciu przygody nie groźniejszej niż pojedynkę z ośmiocgoniastym smokiem, a na pewno łatwiejszej niż łapanie na łące dzikich minotaurów, który to sport stał się

ostatnim krzykiem mody wśród odwiedzających Piatynowe Pismo.

Jednakże, zanim zdobędzie się fotografię lub zabije jednorożca, trzeba go najpierw odnaleźć - a najłatwiejszą drogą do napotkania stada jest podążanie za rodziną snerpów, biorąc udział w wielkiej migracji. Snerpy, jak wiadomo, nie mają naturalnych wrogów poza rafsheenami i rumakinami, a więc pozwalają się zbliżyć do siebie ludziom (lub nadludziom) całkiem blisko.

Tu słowo ostrzeżenia przed snerpami: dzięki swym długim uszom i ruchliwemu, kosmatemu ciału bardzo przypominają zające - ale snerp to nie zając i błędem byłoby nie doceniać siły tych paskudnych, małych padlinożerców. Chociaż zazwyczaj polują one w grupach po dziesięć do dwudziestu osobników, nieraz widziałem pojedynczego snerpa, którego emanacja świeciła z dziwną siłą, zdolną powalić nawet młodego jednorożca. Snerpy są słabo odżywione, a ich skóra niewiele jest warta ze względu na trudności w konserwowaniu i garbowaniu ich emanacji. Trofea z nich są raczej kiepskie (chyba że komuś uda się zdobyć naprawdę wspaniałą parę uszu) i na wielu obszarach są one, prawdę mówiąc, traktowane jako szkodniki. Rozważny myśliwy może jednak zaoszczędzić sobie wiele czasu i wysiłku, jeżeli po prostu pozwoli poprowadzić się snerpom do swojej ofiary.

Nie zdarzają się już legendarne stada jednorożców, liczące po tysiąc sztuk, które istniały w czasach, kiedy kłusownictwo na te zwierzęta dopiero się rozpoczynało, a typowa grupa w dzisiejszych czasach składa się z pięćdziesięciu do siedemdziesięciu pięciu osobników. Bezpowrotnie minęły czasy, kiedy fotograf bezpiecznie ukryty u wodopoju mógł utrwalić na filmie nie kończący się strumień ciągnących do wody zwierząt. Można doznać absolutnego szoku, jeżeli uświadomimy sobie, ile musiało paść jednorożców, żeby ich rogi mogły być sprzedawane na czarnym rynku. Tym bardziej zatrważające jest to, że w naszych oświeconych czasach wszyscy nadal wierzą, iż proszek uzyskany z rogu jednorożca może służyć jako afrodyzjak. (A przecież byle mag może wam powiedzieć, że róg jednorożca należy namoczyć w wytlągu z gracha, a potem gotować na wolnym ogniu w roztworze krwi sfinksa. I dopiero wtedy otrzymuje się afrodyzjak.)

Ale odbiegam od tematu.

Jednorożec, będąc roślinojercą, zadowala się zarówno trawą, jak i liśćmi, owocami czy nawet niekiedy niewielkimi paprociowcami. Na pastwiskach sąsiaduje z różnymi innymi zwierzętami, najczęściej centaurami i pegazami.

Kiedy już natrafimy na stado jednorożców, podchodzić do nich należy z ogromną ostrożnością i rozważą. Mają co prawda słaby wzrok i niewiele lepszy słuch, ale za to niestychany zmysł węchu i zupełnie niesamowity zmysł grimschu, o którym napisano już tyle, że nie ma powodu, byśmy wdawali się w ten temat jeszcze raz.

Jeżeli ktoś z was wybiera się na safari z kamerą, zdecydowanie odradzałbym zbliżanie się na odległość bliższą niż sto metrów, nawet jeżeli ma to być spotkanie z pojedynczą sztuką, a nie całym stadem - chodzi mi znowu o zmysł grimschu, to jasne - a większość znanych mi fotografów zareca, że odległość taka jest zupełnie wystarczająca przy użyciu soczewki 85/350 mm, oczywiście pod warunkiem, że została ona pobłogosławiona przez Czarownika Trzeciego Zakonu. Jeżeli nie uda nam się zrobić odpowiednich ujęć przed zachodem słońca, jak najgorzej zalecałbym przerwanie zdjęć i powrócenie następnego ranka. Używanie lampy błyskowej jest oczywiście możliwe, ale ma tę wadę, że może przywabić gołębia i inne, nawet bardziej niepokojące nocne drapieżniki.

I jeszcze jedna uwaga końcowa dotycząca zdjęć: z powodów, których żaden z alchemików nie był dotąd w stanie wyjaśnić, nie udało się nigdy zrobić zdjęcia jednorożcowi przy użyciu filmu o standardowej emulsji, niezależnie od czasu ekspozycji. Należy więc upewnić się, czy używamy jednego z popularnych filmów do podczerwieni. Trudno byłoby sobie wybaczyć spędzenie ca-

łych tygodni na safari, wraz z opłatami przewodnika, kucharza i trollów, gdybyśmy wrócili z plikiem zdjęć lasu, który na naszych fotografiach miał być jedynie tłem.

Natomiast jeżeli chodzi o polowanie, najważniejszą do zapamiętania rzeczą jest to, że zwierzęta dzieli od nas taka sama odległość, jak nas od nich. Z tego powodu, chociaż daleki jestem od niedoceniaenia krwawych ofiar, używania amuletów, talizmanów i błogosławieństw, z których każde ma swoją wagę, sam zawsze czuje się lepiej, jeżeli trzymam w rękach wielkokalibrowy Nitro Express. Trochę dodatkowej mocy w broni zawsze dobrze działa na samopoczucie.

Niewątpliwie będziecie chcieli upolować jednorożca-byka. Ich rogi są bardziej okazałe niż rogi łań - a gdy róg jest już tak duży, żeby wario go było zdobyć, jego właściciel jest prawdopodobnie bardzo stary i stanowi tylko obciążenie dla stada.

Strzał w głowę, z powodów podanych wcześniej, nigdy nie jest rozsądny. Jeżeli czarnoksiężnik obdarzy was Magicznym Znakem Mamhoteta, który pozwala podejść zwierzę tak blisko, żeby nasypać mu soli na ogon, co przykulo by go do miejsca, w którym się znajduje, zalecałbym strzał w serce (przy czym obojętne jest, w które - a jeżeli macie karabin z podwójną lufą, można starać się trafić równocześnie w oba, tak na wszelki wypadek).

Gdy nie będziecie mieć szczęścia i jedynie zranicie zwierzę, ucieknie ono natychmiast między drzewa lub w wysoką trawę, co postawi was w bardzo niekorzystnej sytuacji. Niektórzy myśliwi w takim przypadku pozwalają zakończyć robotę snerpom - które przecież rzadko pozerają rogi, chyba że są naprawdę bardzo głodni - ale takie postępowanie trudno nazwać sportowym. Przyzwyczajony, honorowy myśliwy, świadomy niepisanych praw tego krwawego sportu, sam podaży za jednorożcem.

Należy dążyć do tego, żeby spotkać go na całkowicie odsłoniętym terenie. Gdy jednorożec schyli głowę do ataku, jest praktycznie ślepy. Jedynie, co musicie wówczas zrobić, to zwinąć mu umykać i w odpowiednim momencie znowu strzelić. Gdybyście jednak posiadali Znak Mamhoteta, będzie to idealny moment na użycie soli i posypanie ogona.

Myśliwy znajduje się w znacznie poważniejszej sytuacji, gdy reguły gry dyktuje jednorożec. Zwierzę zazwyczaj zawraca i kładzie się w wysokich trawach w pobliżu swego wcześniejszego tropu, gdzie czeka, żeby zaatakować nadchodzącego myśliwego.

W takim właśnie przypadku polujący musi wykorzystać cały swój spryt. Prawdopodobnie najrozsądniejsze jest wówczas wypatrywanie Ziejących Ogniem Łatających Smoków. Te szkodliwe, małe insekty często żyją w symbiozie z jednorożcami, oczyszczając ich uszy z pasożytów i ich obecność oznacza zwykle, że gdzieś w pobliżu znajduje się także jednorożec. Innym jeszcze znakiem, że wasz hup jest niedaleko, będzie obecność głodnych harpii, krążących wokół i czekających, żeby rzucić się i posilić szczątkami ofiary. No i najważniejszym oczywiście dowodem będzie wściekle pochrząkiwanie i widok wpatrzonych w was, małych, przekrwionych, pełnych nienawiści oczu zranionego stojącego nie dalej niż trzy metry od was, a może nawet bliżej. W takich momentach czuje się naprawdę, czym jest życie, zwłaszcza że łatwo wtedy sobie uświadomić, że jest to stan, który łatwo może ulec zmianie.

W porządku. Założmy teraz, że polowanie się powiodło. I co dalej? Cóż, wasze trolle ściągną skórę i z wprawą zajmą się odłączeniem i konserwacją rogu. Jeżeli są to dobrze przeszkolone trolle, to przy okazji zrobią ze skóry dywanik, z kopyt - popielniczki, z zębów - naszyjnik, z ogona - packe na muchy, z moszny - woreczek na tytoń. Moim zdaniem należy to wszystko zrobić, żeby udowodnić walczącym o prawa jednorożców mieczakom, iż polowanie daje znacznie więcej niż tylko kilka minut sportowej przyjemności i róg.

A gdy już mówię o tym, co można uzyskać z jednorożca, chciałbym podkreślić, że straciecie naprawdę pamiętne przeżycie, jeżeli powrócicie z safari nie skoszłowawszy mięsa tego zwierzęcia. Nie ma nic, co można by porównać z jednorożym pieczoną na ognisku, więczącym udane polowanie (ale należy pamiętać, żeby zostawić coś dla snerpów, które mogłyby niepotrzebnie dojść do wniosku, że myśliwy jest równie smaczny, jak jego hup).

A więc bierzcie amulety i talizmany, odwiedzajcie magów i czarowników, pakujcie swe kamery i karabiny - i udanych to-wów!



W następnym tygodniu: Pojedynke wzrokowy z meduzą.

Przełożyła Dorota Malinowska

Mike RESNICK

Urodził się w roku 1942, w Chicago, gdzie ukończył uniwersytet. Pisząc pierwszą powieść przygodową chciał wyrobić sobie pojęcie o szermierce i zapędził się do mistrzostw kraju. Jest również jednym z czołowych hodowców owczarków szkockich. Wraz z żoną Carol bierze żywy udział w życiu Fandomu. Mike Resnick pisze zawodowo od 22 roku życia, otrzymał kilka nagród za opowiadania i książki - nie tylko fantastyczno-naukowe. Najbardziej znana jest jego seria („Tales of the Galactic Midway”) humorystycznych powieści o artystach z wędrującego po kosmosie wesołego miasteczka.

LJ.

-Ta wielka rzeka w dole to Mekong – powiedział jacht powietrzny. – To bardzo słynna rzeka. Moi panowie prowadzili w jej okolicach wojnę, która trwała... z pewnością nie uwierzylibyś, jak długo.

– Zgadza się – odparł Quoquo, psycholog. Był miękki, niebieski i przypominał trochę wyrosniętego nad miarę królika. – Nie uwierzylibym. I ciągle nie mogę zrozumieć, po co twój, jak ich nazywasz „panowie” stworzyli maszyny, które kłamią.

– Wydawało mi się – zauważył z szacunkiem jacht – że twoim głównym zadaniem jest właśnie zrozumienie moich odeszłych w niebyt szacownych panów. Z całą pewnością...

– Zamilcz, proszę – powiedział Quoquo, który co prawda rejestrował tę rozmowę z myślą o swoich przyszłych wykładach, ale teraz wolałby zdecydowanie porozmawiać za pośrednictwem przytroczonego do pasa komunikatora z jednym ze znajdujących się w dole uczestników ekspedycji.

– Oczywiście. Czy mam zniżyć lot? Mogłbym wtedy pokazać ci wiele interesujących rzeczy. Gdybyś chciał, moglibyśmy nawet przelecieć kilka razy nad Angkor Thom.

– Leć tam, gdzie ci kazałem.

Jacht rozpostarł skrzydła (podczas lotu z prędkością naddźwiękową były one przyciśnięte do kadłuba i maszyna przypominała wysmukłą, srebrną strzałę, teraz jednak, z rozstawionymi szeroko płaszczyznami i rakietowym ogniem liżącym niezniszczalną powłokę, jacht wyglądałby jak Feniks, gdyby oczywiście przyglądała mu się choćby jedna para oczu, którym widok Feniksa byłby znajomy) i wylądował nieopodal Eksperymentalnej Stacji Biologicznej 73, celu podróży Quoquo.

– Znają historię i geografie – mówił. – Geografia to nazwy miejsc, a historia to bezsensowne walki i wyprawy. Pewien mój kolega spędził wiele razy po dwadzieścia okresów czuwania, żeby udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że Paryż we Francji i Paryż w Teksasie nie miały ze sobą nic wspólnego oprócz nazwy. „Francja” znaczy tyle, co „Kraina Franków”, czyli tych, którzy zawsze mówią prawdę. „Teksas” oznacza „Kraj Przyjaciół”, czyli tych, którzy ze sobą nie walczą. „Przyjaciele”, na których cześć tak nazwano tę Krainę, byli kanibalami. Czy to nie robi wrażenia?

– Z psychologicznego punktu widzenia może i tak – przyznał Dondiil – ale jako biolog uważam za zupełnie naturalne, że obszary nadmorskie i wyspy są deficytowe, jeżeli chodzi o proteiny pochodzenia zwierzęcego.

– Obecnie – kontynuował swoją myśl Quoquo – mam zamiar badać te istoty w ich najbardziej prymitywnym stadium rozwoju.

– A jak ja mogę ci pomóc?

– W trakcie moich przygotowań skatalogowałem ponad dziesięć dwudziestek takich prymitywnych grup i uszeregowałem je według ilości informacji, jakimi na ich temat dysponuję. Jedną ze stojących na najniższym szczeblu rozwoju nazywała się „Ludźmi Żółtych Liści”. Czy wiesz coś może na ich temat?

Dondiil poglądził się poziomo po brzuchu.

– Zamieszkiwali dokładnie ten obszar. Cechowało ich posiadanie pewnego przesądu, nie występującego w żadnej innej części planety – wierzyli w istnienie „pierzastych tygrysów”.

Uszy Dondila ustawiły się w pozycji wyrażającej wielkie zainteresowanie.

– Wiesz, nad czym pracuje – wpadł w słowo kolega. – Usiłuję odtworzyć ten wymarły gatunek, to znaczy te

Gene Wolfe

PIERZASTE TYGRYSY

(Feather Tigers)

– Za życia moich panów miejsce to było częścią Kamboży – oznajmiła maszyna. – Nie mogę ci podać nazwy miasta, bo żadnego nie ma w pobliżu. Te góry, które widzisz, to Pasma Dangrek.

Quoquo tylko chrząknął w odpowiedzi.

Nieco później Dondiil, biolog przebywający na stałe w Stacji, zapytał z podziwem w głosie:

– Przyleciałeś jedną z ich maszyn?

– Oczywiście – parsknął Quoquo. – Chciałem się czegoś dowiedzieć, a poza tym są znacznie szybsze od naszych.

– I dowiedziałeś się czegoś?

Quoquo pogłaskał się po brzuchu, zaczesując sobie futerko w poziomie pasy. Był to zwyczajowy gest wyrażający negację połączoną z zakłopotaniem.

– Spędziłem już tysiące godzin próbując wyciągnąć coś z tych maszyn i powinienem wiedzieć, że to beznaziejna sprawa... Ale cóż, zawsze przecież ma się nadzieję.

Dondiil przyznał mu rację energicznym potrząśnięciem całego ciała.

– Przekonałem się, że ich maszyny dysponują bardzo ograniczonym zasobem wiedzy – powiedział dyplomatycznie. – Biologicznej wiedzy, rozumie się.

Quoquo zdawał się go nie słyszeć.

zwierzęta, które oni nazywali „tygrysami”... – Przerwał, żeby po chwili dodać: – Ale, szczerze mówiąc, nie wiem, jak to może pomóc w rozwiązaniu twego problemu, czyli zniknięcia rasy, która niegdyś władała tym światem.

Quoquo stał przez chwilę w miejscu, poruszając szybko swym ogonkiem, po czym zaczął przechadzać się po pomieszczeniu.

– Wiemy z badań nad pozostawionymi przez nich zapisami, jak również z tego, co usłyszeliśmy od ich maszyn, że przed ich zniknięciem wyginęło wiele gatunków dzikich zwierząt.

Dondiil przytaknął mu energicznym potrząśnięciem ciała.

– Na przykład pewne prymitywne plemię zamieszkuje basen Kongo, Batwa – kontynuował Quoquo – wyginęło mniej więcej w tym samym czasie, co goryl nizinny. Podobnie po wytrzebieńiu pelikana brązowego nie spotyka się już wzmianek o francuskojęzycznej ludności zamieszkującej obszary nad dolną Mississipi.

– A Ludzie Żółtych Liści?

– Zniknęli w tym samym czasie, co twoje tygrysy.

– Ale chyba nie uważasz, że ponowne pojawienie się tygrysów...

- ... spowoduje ponowne pojawienie się związanego z nimi plemienia - zaśmiał się Quoquo. - Oczywiście, że nie. Ale jako psycholog bardzo chciałbym wiedzieć, jak obecność tych zwierząt wpływała na umysłowość mieszkających tu niegdyś istot. W przypadkach, o których ci wspominałem, nie ma żadnych szans na przekonanie się o tym, a to dlatego, że po tamtych zwierzętach nie pozostał nawet najmniejszy ślad. Tobie natomiast udało się odtworzyć tygrysy i to dokładnie w tym samym miejscu, gdzie żyła związana z nimi grupa. Chciałbym spróbować odczuć to, co czuły te wymarłe istoty. Mogę nauczyć się myśleć tak, jak one i wtedy dowiemy się o wiele więcej, niż udało nam się dowiedzieć do tej pory.

- Ale przecież tygrysy istniały naprawdę - zaprotestował Dondiil. - Odnaleźliśmy kilka kompletnych szkieletów. Ty zaś powiedziałeś, że pierzaste tygrysy były tylko przesądem.

- Bo były. Ludzie Żółtych Liści wierzyli, że tygrysy - te prawdziwe, którymi ty się zajmujesz - potrafią oddzielić swoją duszę od ciała i wysłać ją naprzód w poszukiwaniu zdobyczy. Ich obecność można było stwierdzić na podstawie specyficznego układu światłocieni, słonecznych plam, drżenia liści i temu podobnych fenomenów, kojarzących się obserwatorowi z prawdziwymi tygrysami.

- A dlaczego nazywano je „pierzastymi”? - zapytał Dondiil.

- Przy najłżejszym podmuchu wiatru te „tygrysy”, rzecz jasna, znikły. Ludzie Żółtych Liści tłumaczyli to tym, że dusze tygrysów są niezwykle lekkie, jak pióra, i że wiatr unosi je po prostu ze sobą. - Westchnął. - Gdy ludzie z grup stojących na wyższym szczyblu rozwoju przybywali w te okolice, nie mogli się nadziwić, że przesąd ten jest przyczyną tak ogromnego strachu i przerażenia. A jednak, gdy zniknęły tygrysy, zniknęli też Ludzie Żółtych Liści, być może byli bardziej związani z naturą niż przypuszczali to ci, którzy ich odwiedzali. Zdaje się, że tak też miała się sprawa z całą tą rasą.

- Czy nie nadużyje twej cierpliwości, jeśli poproszę cię o wyjaśnienie, dlaczego te grupy nazywano Ludźmi Żółtych Liści? - zapytał Dondiil.

- Bali się bardzo znacznie liczniejszej i bardziej zaawansowanej w rozwoju grupy zwanej Syjamczykami - wyjaśnił Quoquo. - Syjamczycy zabijali ich mężczyzn i zabierali ich kobiety. Z tego powodu całe plemię kryło się w najbardziej niedostępnych częściach gór, schodząc do dolin tylko wtedy, gdy zmuszał ich do tego głód. Najczęściej było to w okresie suszy, przed nadejściem zimowego monsunu.

- Rozumiem. Wtedy wyschnięte liście, szczególnie bambusu, są właśnie koloru żółtego.

- Otóż to. I tylko wtedy mógł ich zobaczyć ktoś obcy. Czy mógłbyś mi teraz pokazać swoje tygrysy?

Klatki, w których Dondiil trzymał zwierzęta stanowiące owoc jego doświadczeń, znajdowały się na zewnątrz. Jego asystenci utrzymywali wokół nich dwudziestokilometrową szerokość pas wolny od roślin; w miejscu, gdzie się kończył, zaczynała się nieprzebita ściana dżungli wschodniej Azji. Quoquo przyglądał się temu przez chwilę, po czym odwrócił się w stronę okazów Dondiila.



- Niezwykle ciekawe - zauważył. - Czy te czarno-pomarańczowe pasy są autentyczne?

- Jak najbardziej - odparł Dondiil.

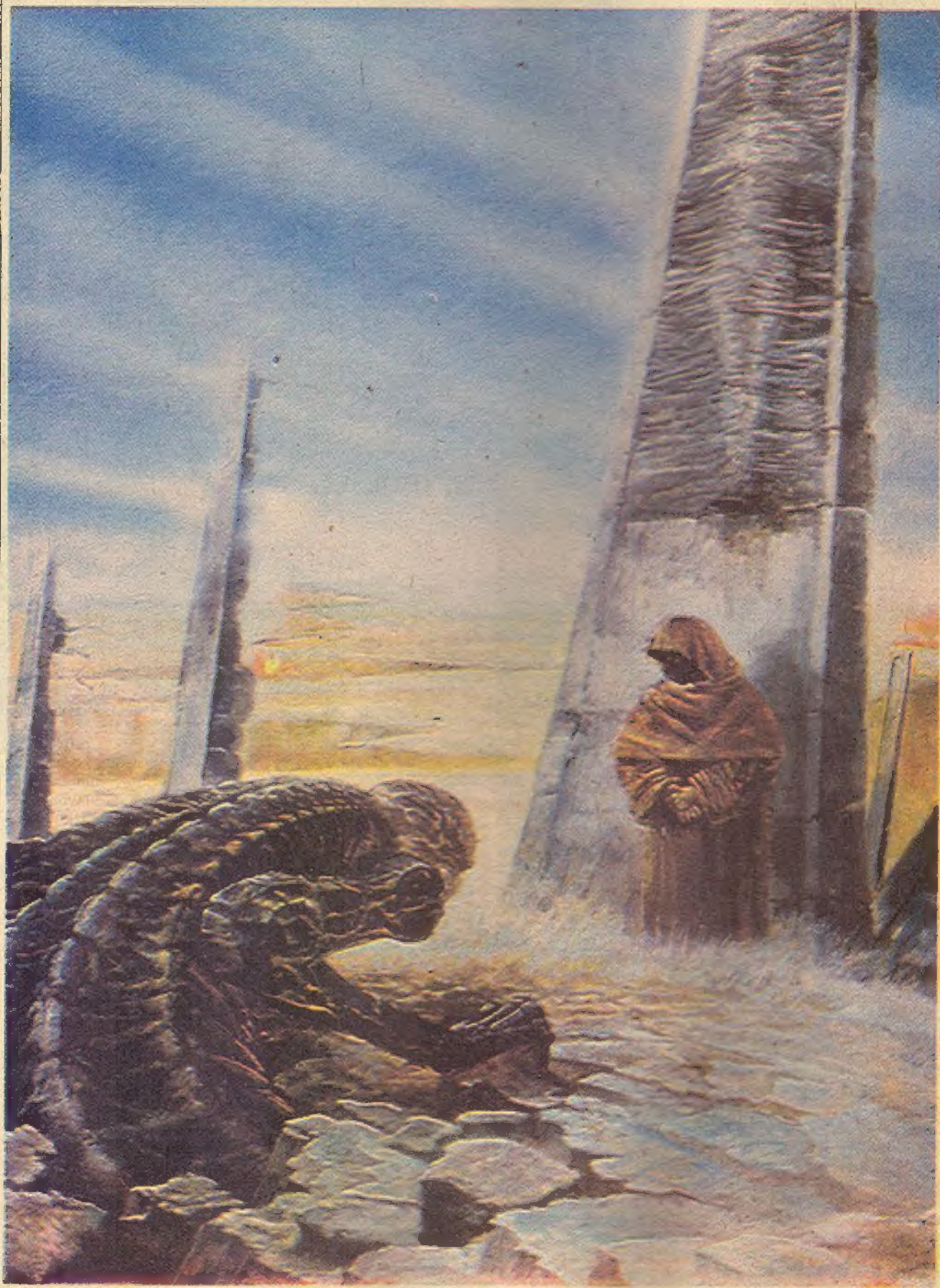
- Powiedz mi, jak to osiągnąłeś? Jak można odtworzyć zupełnie umarły gatunek zwierząt?

Mówiąc to Quoquo dotknął ręką swego prawego ucha, co znaczyło, że chociaż wie, co za chwilę usłyszy, to jednak uważa, że zwykle zasady dobrego wychowania wymagają, żeby jednak zadał te pytania i ewentualnie skorygował lub poszerzył zakres posiadanych przez siebie wiadomości.

- Odkryliśmy sporo materiałów, w tym także kolorowe zdjęcia - odparł skromnie Dondiil. - Do tego jeszcze natrafiliśmy na szkielety, o których już ci wspominałem. W dodatku, chociaż tygrysy jako takie wyginęły, zachowało się wiele gatunków mniejszych, spokrewnionych z nimi kotów. Krzyżowaliśmy je przez dwie dwudziestki obiegów tej planety dokoła Słońca, zmieniając ich kod genetyczny i dobierając materiał z każdego następnego pokolenia pod kątem rozmiarów, ubarwienia i innych cech charakterystycznych dla tygrysów.

- Ale - odezwał się Quoquo unosząc dłoń w geście przerywającym rozmowę wypowiedź, chociaż Dondiil i tak przestał już mówić - czy moglibyście przeprowadzić selekcję również pod kątem charakterystycznego dla tygrysów zachowania? Mam przed sobą pięć wielkich, przegrywanych zwierząt, które obserwują mnie niesamo-

ANDRZEJ WRONSKI



witymi, pięknymi oczami, ale czy to mają być właśnie te okrutne bestie, siejące postrach wśród Ludzi Żółtych Liści? Leżą właściwie bez ruchu, jeśli nie liczyć koniuszków ich ogonów i jeżeli mam być szczerzy, to ich widok wcale nie wywołuje u mnie dreszczu przerażenia.

- Jest całkiem prawdopodobne, że pod tym względem mój eksperyment niezupełnie się powiodł - przyznał markotnie Dondiil - chociaż muszę powiedzieć, że dostarczane im bydło zabijają niezwykle sprawnie.

- Nie znam się na psychologii zwierząt, ale jeśli chcesz, dam ci adres mojego kolegi, który być może mógłby ci coś doradzić. - Mówiąc to odwrócił się, żeby odejść, ale w tej właśnie chwili jeden z tygrysów zakaszlał. Był to głęboki, wibrujący dźwięk, zakończony długim, powtarzanym wielokrotnie „rrr”.

- Któres z twoich zwierząt jest chyba chore - zauważył Quoquo.

- Och, nie - odparł Dondiil. - To charakterystyczny dla nich odgłos. Zbliża się pora karmienia, dlatego robią się trochę niespokojne.

Quoquo ponownie spojrzał w kierunku klatek. Jedno ze zwierząt usiadło i w momencie, kiedy na nie patrzył, rozwarło paszczę w szerokim ziewnięciu.

- Mają wspaniałe zęby - zauważył Quoquo.

- Ten akurat jest jednym z mniejszych. Powinieneś zobaczyć tego dużego, tam, w kacie.

- No cóż, bardzo to było ciekawe - powiedział Quoquo zacieraając dłonie w geście wyrażającym zadowolenie z gościnności gospodarza. - Zyskałem wiele nowych wiadomości, ale teraz muszę już zająć się moimi własnymi sprawami.

- Zamierzasz przejść się po dżungli?

- Oczywiście. Jakże inaczej mogłbym obserwować i fotografować te cienie i plamy światła, o których ci mówiłem? Mam przy sobie komunikator, więc gdybys był uprzejmy włączyć nadajnik wysyłający sygnał kierunkowy, to z pewnością uda mi się uniknąć zabłądzenia, sam natomiast zatroszczę się o to, żeby nie wpaść do żadnej przepaści.

- Nie chcesz zobaczyć, jak karmimy zwierzęta? - zapytał z lekkim rozczerwaniem w głosie Dondiil. Niebyst często miewał tutaj gości.

- Najpóźniej jutro muszę być z powrotem za biurkiem - odparł Quoquo sprawdzając, czy wszystko w porządku z jego aparatem. - Jest tu jakieś wejście do dżungli, czy będę musiał używać miotacza?

- Będziesz musiał - powiedział Dondiil. - Tak właśnie zawsze robimy. Trzeba iść prosto przed siebie, a przede wszystkim później zawsze trafi się na trop jakiejś zwierzęcy.

Quoquo pochylił głowę (konwencjonalny gest oznaczający przyjęcie czegoś do wiadomości), odbezpieczył miotacz, ustawił przełącznik mocy rażenia w pozycji środkowej i nacisnął spust. W zielonej ścianie pojawiła się stukokowej długości i jednokokowej średnicy dziura.

W ciągu dwóch godzin udało mu się przejść spory kawał w głąb dżungli i sfotografować ogromną liczbę cieni, poruszających się liści i zielonych drzew, które jednak, jak musiał przyznać w duchu, w najmniejszym nawet stopniu nie przypominały

Gene WOLFE

Był już przedstawiany na naszych łamach z okazji wcześniej drukowanych utworów (10/84, 12/85, 5/86, 9/86, 4/87). Jego nowe opowiadanie może służyć za przykład dojrzałości artystycznej, jaką SF osiągnęła w ostatnich dwóch dziesięcioleciach. Oto głęboko w tle mamy dwa typowe tematy: samobójstwo cywilizacji ziemskiej (tędnie podsumowuje ten temat tytuł opowiadania Aleksieja Penszyna - jak wskazuje nazwisko, Amerykanina - „Jak mogliśmy utonąć, skoro potrafilimy latać”) oraz drugi - odtwarzanie wymarłej fauny na podstawie zapisu genetycznego w zachowanych komórkach (dość częsty pomysł w prymitywnej fantastyce z pogranicza popularyzacji nauki). Dla Wolfe'a są to rzeczy tak oczywiste, że nie warto się nad nimi rozwodzić. On z tego zrobił bardzo poetycką, utrzymaną w stylu wschodnim przypowieść o naturze strachu, tak istotnej dla całej SF, która w znacznej części jest paranoiczną: czy człowiek, który się raz przestraszył widzi wszędzie zagrożenie, czy też człowiek, który się dobrze nie przestraszył, pozostaje ślepy na wazachobecne zagrożenie?

L.J.

pregowanych zwierząt Dondiila. Na użytek przenośnego rejestratora powiedział:

- Od jakiegoś czasu wędruję po porośniętych dżunglą zboczach Gór Dangrek, stanowiących niegdyś ostatnią ostoję prymitywnego plemienia zwanego Ludźmi Żółtych Liści i dużego, mięsożernego zwierzęcia zwanego „tygrysem”. Przekonałem się, jak bardzo odizolowani od reszty świata byli Ludzie Żółtych Liści i jak trudna była ich walka o przetrwanie - walka, którą ostatecznie przegrali. Nie uzyskałem jednak żadnego potwierdzenia teorii łączącej ich zniknięcie ze zniknięciem tygrysów. Plamy światła docierające tu przez gestwiny galezi i liści tworzą często najfantastyczniejsze kształty, zaś tyki bambusów, choć niemożliwe do zgicia, chwieją się w najlżejszych podmuchach wiatru, ale ani te zjawiska, ani żadne inne nie wywołują skojarzeń z jakimikolwiek zwierzętami. Krótko mówiąc, nie widziałem żadnych „pierzastych tygrysów”.

Wylączył rejestrator i nashuchiwał przez moment cierpliwego popiskiwanie sygnału naprowadzającego, zastanawiając się, czy powinien iść jeszcze dalej, czy może lepiej by było wracać już do Stacji. Właśnie zdecydował się na to drugie, kiedy popiskiwanie ucichło, a zamiast niego z komunikatora odezwał się podekscytowany głos Dondiila:

- Quoquo! Quoquo, słyszysz mnie?

- Słyszę - odpowiedział. - Przyszła do mnie jakaś wiadomość?

- Quoquo, moje zwierzęta uciekły. Potrzebuje twojej pomocy.

- Chyba żartujesz?

- To było w czasie karmienia - bełkotał Dondiil - jeden z moich asystentów otworzył drzwi klatki, żeby wypuścić do środka małego wolu, a tygrysy niespodziewanie rzuciły się do wyjścia. Na zewnątrz opanowało je prawdziwe szaleństwo, nie zwróciły w ogóle uwagi na jedzenie, tylko rzuciły się od razu w kierunku przejścia, które wypaliły. Jeden zahaczył łapą biednego Anipana, który jest w stanie krytycznym. Chyba rozumiesz, że trzeba je koniecznie schwytać. Gdyby zginęły, opóźni to znacznie moje badania. Czy mógłbys mnie poinformować natychmiast, jak tylko zobaczysz któregoś z nich i nie spuszczać go z oka, dopóki się tam nie zjawimy?

- Oczywiście - odparł Quoquo wyjmując miotacz i sprawdzając stan ładunku. - Ale muszę cię uprzedzić, że właśnie zamierzałem wracać i nie zmieniłem decyzji. Również jeżeli uznam, że moje własne bezpieczeństwo wymaga, bym zranił któregoś z tych stworzeń, nie zawaham się tego uczynić.

- Rozumiem - potwierdził Dondiil i przerwał połączenie.

Quoquo nie przeżył nawet stu skoków, kiedy zauważył pierwszego tygrysa przycajonego w gestym poszyciu. Nie było czasu na to, żeby zawiadomić Dondiila, czy w ogóle na cokolwiek poza błyskawicznym poderwaniem miotacza i naciśnięciem na spust. Błysk ognia rozświetlił na moment mroczniejącą dżunglę, a gdy minęło napięcie, Quoquo obejrzał dokładnie miejsce, w którym znajdowało się zwierzę. Szukał jakichś jego fragmentów, które można by później zbadać. Nie znalazł jednak nic oprócz popiołu, popekanych kamieni i spieczonych grudek ziemi.

Drugiego zabił po nie więcej niż pięćdziesięciu skokach, a trzeciego po następnych trzydziestu. W chwili, gdy ujrzał czwartego, był już pewien, że to niemożliwe, żeby wszystkie były prawdziwe. Zawahał się przed naciśnięciem spustu i ujrzał z przerażeniem, że pregowana bestia niknie w gestwinie dżungli. Wypalił, ale za późno, a potem - zamiast sprawdzić rezultat swego strzału - stał jak wrośnięty w ziemię, rozglądając się powoli dokoła siebie, najdłużej Przyglądając się cieniom rzuconym przez potężne pnie drzew. Pierzaste tygrysy. Wszędzie pierzaste tygrysy. Wrzasnął przeraźliwie i rzucił się na oślep do ucieczki, a błyszczące niespotykaną u żadnego zwierzęcia inteligencją oczy patrzyły w ślad za nim z kępy żółknących bambusów.

Przełożył Arkadiusz Nakoniecznik

* Frank - szczerzy (ang.).

Uwaga! Na stronie 60 „Mitologia słońca” - wywiad z Gene'em Wolfe'em.



Nikołaj Gudaniec

Arka

(Kowczeg)

Najważniejsza rzecz na statku, chłopcze, to czystość i pełna równowaga ekologiczna. Tak żeby nikt nikogo nie zżerał, nie krzywdził, żeby nikt nie sprawiał sobie potomstwa, jasne? Jak tylko zauważysz coś takiego, natychmiast wal do mnie, a ja już znajdę na nich sposób. Sam się do takich spraw nie miesza. Zjesz może i nie zjedzą, ale kalekę mogą z ciebie zrobić.

Usiadł, nie krepuj się. O, na tym worku z paszą. Możesz się do mnie zwracać bez żadnych tam, ceremonii - wujaszek Krunk. Zdarzają się, co prawda, gówniarze, którym trzeba natrzeć uszu i ci nazywają mnie starym swistakiem, ale ty chyba do takich nie należysz. Więc wujaszek Krunk i kropka.

W zeszłym miesiącu też mieliśmy praktykanta takiego jak ty. Szlurman nie miał dla niego czasu i rzecz jasna, spalwiono go mnie do ładowni. Jako pomocnik był strasznie inteligentny, czyli jak sąp rozumiesz, do niczego. Nie, żeby się wykrecił od roboty, ale przez cały czas kombinował, jakby tu nie pracować tylko myśleć. Zamiast samemu umyć podłogi w ładowni, ściągnął, parszywiec, robota z pokładu mieszkalnego. Zwierzyna, jak tylko zobaczyła tego robota, wpadła w normalną histerię. Szczypany podniosły hałas, smokogłowy ze strachu zapaskudził klatkę pod sufit, a zebogon z Hanenbazy wylał przegrodę, złapał robota i zżarł. Potem weterynarz przez dwa dni grzebał mu w brzuchu, żeby odzyskać wyposażenie okrętowe. O, tam siedzi ten zebogon, za terrarium. Nie musisz się go bać, poki jest najedzony nie ma z nim najmniejszych kłopotów.

Więc pamiętaj, żadnych robotów. To tutaj, to jest szczotka ryżowa. Pewnie pierwszy raz widzisz, co? Nie martw się, opanujesz, technika nie jest skomplikowana. Jak bydle ma zęby, to do klatki nie wlaż, zmyj podłogę węzłem i koniec. A tego z trzema głowami w ogóle obchodź z daleka, bo pluje ogniem.

Widzę, że chłopak z ciebie spokojny i poeiny. To dobrze. Słuchaj mnie tylko jak rodzonej matki i żadnych własnych pomysłów. Poprzedniemu praktykantowi zachciało się klatki pomalować. Na oko pomysł słuszny, ale ledwo chłopak wlaży do skunsa olbrzymiego z Tamaloty, ten tak go urządził, że prosię ślaść. Już kto jak kto, ale ja do wszystkiego jestem przyzwyczajony, a i to wywracało mnie na drugą stronę, kiedy się zbliżał. Dosłownie płał w wodzie koloniskiej i wszystko na nic. Bez maski gazowej ani przystap. Takie sprawy.

Coś ty tak podskoczył? Spokojnie, to kamieniojad tak ryczy. Nudzi mu się. Śledź spokojnie, porczyz sobie z godzinie i sam przestanie. Jak mawiała moja święta pamięci staruszka, na każde kichnięcie nie nadażysz zdrowia życzyć.

O czym to ja? Aha. Jestem na Arce od pierwszego dnia, to jest od czasu, kiedy akademik Fusk wymyślił ten program ratowania rzadkich gatunków zwierząt. Była taka planeta Pirytea, na której aż roilo się od najrozmaitszych zwierząt. Badano ją wzdłuż i w poprzek i na wszystkie możliwe sposoby. Na każdego zwierzątko przypadało po jednym profesorze w asyście całej kupy doktorantów, nie licząc studentów z laborantami. Do dziś rozwijałby tam naukę ku radości nas wszystkich, ale pewnego pięknego dnia zwał się na Piryteę pokaznych rozmiarów asteroid. Planeta zdrowo zatrzęsło i pół kontynentu diabli wzięli. To by jeszcze było pół biedy, ale na dodatek zmieniło się nachylenie osi do ekliptyki, roztopiły się czapki polarne i na Pirytei zdarzył się autentyczny ogólnoswiatowy potop. Wtedy to Fusk przedstawił swój program. Żeby całą florę i faunę zabrać stamtąd i przesiedlić na inną odpowiednią planetę. Akademikowi wszystko jedno, dawno go pożarł ptakojaszczur i jego popiersie stoi w Głównym Kosmoporcie naprzeciwko baru. A my do dzisiaj wozimy różne paskudy - najpierw z Pirytey, potem z innej planety, gdzie zgasiło słońce, a potem z różnych innych.

Weźmy choćby taką Mariandę. Rada Galaktyczna postanowiła całą planetę puścić na ruderę. A my mieliśmy ewakuować stamtąd biosferę. Ta biosfera do dzisiaj mi stoi w gardle. Zabraliśmy, powiedzmy, z Mariandy czerwone termity. Zbieraliśmy je, kiedy były w stanie uspienia. No, a w drodze wzięły i obudziły się. Poprzegryzały sobie przejścia, podziurawiły z pół tuzina grodzi, dobrały się do rezerwowego silnika i zżarły tam cały uran. Całe

szczęście, że nie zdążyły się dostać do głównego silnika. Musielismy te cholery zamrażać płynnym helem. A potem jeszcze dwa miesiące przesiedzieliśmy w kapitalnym remoncie.

Albo taki Almar. Tam się zdarzyła taka historia, że ty... Chyba słyszałeś? Naprawdę nie? Przecież głośno o tym było w całej Galaktyce.

Co się tak krzywisz? No tak, zapach tu rzeczywiście nie nadzwyczajny, niektórzy na początku mdleją. Masz tu butelkę, tyknij sobie. Nie pijesz? Szkoda.

Więc na tym Almarze hodowano kapustę. Ach, co to była za wspaniała kapusta, mówię ci, mojego wzrostu. Wszystko szło jak po maśle, póki nie pojawiły się dziesięcionogi. Takie sobie robaki wielkości ołówka. Rozmnożyło się to nieprawdopodobnie, kapustę żre, żadne środki chemiczne nie skutkują. Profesorowie podrapali się w głowy i urządzili rozmnożyć na Almarze szerokodziobę tukany. Jak postanowili, tak zrobili, namnożyli tych tukanów straszną masę i dziesięcionogi zostały załatwione. A razem z nimi błękitne przedziolki. Jak tylko wyginęły przedziolki, zaczęły zdychać z głodu czteroskrzydłe gąski. Zaczęto więc łepić tukany, hodować przedziolki i ratować gąski, bo od ich nawozu zależał rozwój dubabowych zająników, w których mieszkali wkretaki, żyjące w symbiozie z brodawkowcem pełzającym, którym odżywiają się charby. A z charbami nie ma żartów. No i zaczął się cyrk. Jak mawiała moja stara, nos wyciągniesz, ogon uwieź. Kiedy zaczęły zdychać zebodmuchy, trzeba już było przesiedlać całą biosferę. Przylecieliśmy na Arce, rozglądaliśmy się - pusto. Cała planeta łysa, tylko gdzieś tam jakieś glodomory kuśtykają po piasku. Nawet połowy ładowni było za dużo na to, co tam zostało przy życiu. Taka wyszła z tego, proszę ciebie, kapusta.

A teraz tak: masz tu szczotkę, szmate, wiadro. Jakbyś się poczuł słabo, to tam jest ten niebieski kranik. Odkręć sobie i pooddychaj tlenem. Uszy możesz sobie zatkać wata.

Ja będę w sąsiednim sektorze, wlec nic się nie bój. Za bardzo się nie opalaj, bo roboty jest tu po uszy. Najważniejsze jest, rzecz jasna, mycie, ale i na zwierzątko miej oko. Nie daj Bóg, żeby nam tu zaczęły romansować. Pamiętam w jednym rejsie dwugłowa pylonica zasła w ciążę z jeżozwierzem trzcinowym. Dzieci zaczęły się rozmnażać dalej. Prawie codziennie nowa porcja. Cholernie żywotne bydła, nic ich nie brało. W końcu wymontowaliśmy z wieżyczki działo przeciwmeteorytowe, całą załogę przeczłapnęło je do ładowni i wystrzelaliśmy te gadziny. Gdyby nie to, zżarłyby biosferę dwóch planet i mnie na dodatek. Działo teraz tu leży na wszelki wypadek. Bardzo polecna sztuka, choć rzadko z niej korzystamy. Beze mnie jej nie dotykaj, bo jeden ruch i można zrobić dziurę w pancerzu jak ta lala.

Aha, jeszcze jedno. Trzymaj się, synku, z daleka od tej klatki. Trzymamy tam najbardziej krwiożercze i złośliwe stworzy w całej Galaktyce. Wściekle dwunogie soldaciki. Nic tylko się biją, całą swoją planetę zapaskudziły na amen i zostały raptem trzy ostatnie okazy. Uważaj z nimi. Wczoraj się zagapiłem przy karmieniu, to jeden mi mało co nie oderwał górnej macki.

No dobra, idę. Zagadalem się tu z tobą, a muszę jeszcze chryplaka nakarmić. Za godzinę zajrzę zobaczyć, jak sobie radzisz.

Wujaszek Krunk wstał, wziął w macki worek i odczołgał się do sąsiedniego sektora. Praktykant ujął w kieszcze szczotkę i zabrał się do sprzątania, starając się nie patrzeć na klatkę z dwunogimi soldacikami, które wywijały piściami i bluzgały potokami przekleństw w swoim nieznanym języku.

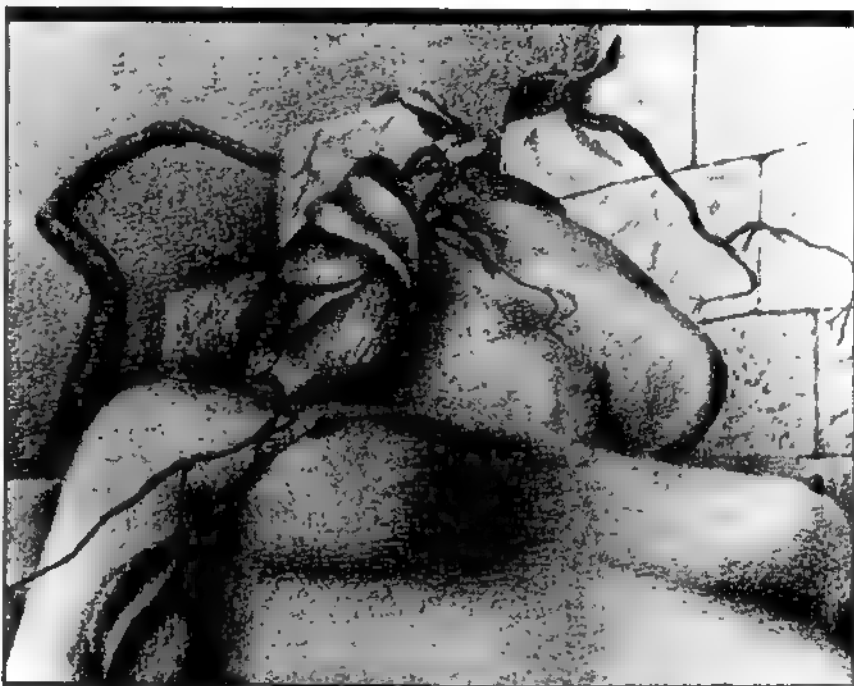
Przełożył Lech Jeczmyk

Nikołaj GUDANIEC

Radziecki autor z Rygi (ur. 1957) był już prezentowany na naszych łamach w sierpniu br. Krótkie opowiadanie „Arka”, ukazujące nieco odmienny aspekt jego twórczości, zdobyło młodemu pisarzowi dużą popularność i zostało przetłumaczone na wiele języków.

STRAŻNICY ENTROPII

(Le sentinelle dell'entropia)



Jacek Gaudasinski

Byłam żołnierską dziewczką, przeszłam pół Europy śladem pokrwawionych kompanii, a ich szorstkie, przyjacielskie śmiechy rozgrzewały mnie jak by mi dawano kwiaty i ustępowano pierwszeństwa. Kiedy spali obok porozrzuconej broni, przykrywałam się krajem ich płaszczy, dbając o to, by nie pobrudzić błotem sukienki. Często zmieniałam towarzysza nocy, ale suknie miałam tylko jedną. Nigdy nie dreczyły mnie moralne rozlerki, jakoś przecież trzeba było żyć.

Zakończenie długoletnich wojen z Maurami zastało mnie w grupie bezdomnych włóczęgów, wojowników bez Pana, do tego niezbyt zręcznych złodziei kur. Zawsze pociągali mnie pechowcy.

Podróżowaliśmy nocami. Na ścieżkach Apeninów, gdzie nigdy nie brakowało strażników i ich wież, straciliśmy niejednego towarzysza. Ścieżki wydeptane były przez kozice i wilki, niech je Bóg przeklnie, niełatwo było chodzić po nich nocami. Jedni wczepili się w brudne spódnice wieśniaczek, drudzy wstąpili na służbę, a pozostali podążyli za Madonną Śmierci. Zostałam sama.

Wreszcie moje nogi i łono spoczęły w cichym klasztorze, gdzie już w listopadzie rozpalano w kominkach. W tych właśnie stronach urodziłam się wiele lat temu. Jest chyba trochę prawdy w powszechnym mniemaniu, że na śmierć wybiera się miejsce, w którym przyszliśmy na świat.

Czasami wspominałam ogniska w połu i ogarniał mnie dziwny niepokój, wielkie pragnienie, by usłyszeć szczęk

broni, by ujrzeć młodych mężczyzn ścierających się jak kozły rogami podczas rui, by któryś z nich mnie wziął taką jaką byłam, na ziemi, dla zapomnienia o śmierci, chłodzię, bólu. Lecz wszystko szybko wracało do normy i znowu w pokorze, ze spuszczoną głową wytrwale poddawałam się czynności czyszczenia garnków. Do tego zajęcia przeznaczona byłam od samego początku, nie tylko w klasztorze. Mogłam oglądać, w błyszczących naczyniach, odbicie własnej twarzy, zniekształcone, jak z koszmarnego snu.

- Kapitanie, w sektorze B 54 są jakieś zakłócenia.
- Czy jest prawdopodobieństwo, że to jakiś przeciek?
- Nasze rejestry nie notują potencjalnego źródła, ale możemy dokonać rekonesansu.
- OK. Drugi. Proszę przekazać polecenia do hali maszyn, niech się włączą do opracowywania danych.
- Kapitanie! Kapitanie! Wskaźnik sygnalizuje tendencję wzrostu entropii!

Czasami sporządzałam barwniki ucierając w móżdżku wysuszone ziola i koszenile, a potem farbowałam nimi duże płyty lnu na habity lub świeżo oczyszczoną wełnę. Długo potem palce miałam uwalane na zielono lub niebiesko, a skórę szorstką i kruchą jak jaszczurka. Ale że zmiana kolorów tkanin wydawała się moim paniom magiczną sztuczką, rzadko pozwalały mi to robić.

Praca nie była ciężka: w pobliżu klasztoru znajdowało się opactwo mnichów. Pomagali oni moim mniszkom, a prawdę mówiąc, to czasem nie tylko pomagali. Mężczyźni są wszyscy jednakowi, żoldacy czy święci. Też bywają samotni i też jest im zimno podczas długich, śnieżnych styczniowych nocy. Cóż zresztą pozostaje z idei, kiedy się już zdejmie okrycie i spoczywa razem w ciemnościach?

- *Zakłócenia są już bardzo silne, Kapitanie.*
- *To jakieś zakodowane wezwanie?*
- *Nie, Kapitanie. To raczej sygnał z nadajnika nie najwyższej mocy.*
- *A czujnik entropii?*
- *Tendencja wzrostowa utrzymuje się.*
- *Proszę kontrolować sygnały z B 54.*

Pewnej czerwcowej nocy, pełnej świetlików jak miska z wodą gwiazd, cieplej jak pieniążek na piersi, zaczęłam myśleć nieznanymi słowami. Tłumaczyłam sobie, że to echa pozostałe w mej pamięci, fragmenty rozmów usłyszanych w pobliżu wiejskich lepiarek na pograniczu, czy też w sąsiedztwie ulepionych z odchodów i słomy stajni, gdzie tylekroć obozowaliśmy po meczących wędrownikach błotnistymi ścieżkami Pirenejów. W miarę upływu czasu te dźwięki nabierały pełniejszego znaczenia, aż miałam w sobie cały nowy język, język opisujący historię, których nie znałam.

Nie powiedziałam o tym nikomu. Niewiele trzeba było wówczas, żeby zostać spaloną na stosie. Cień podejrzeń ogarnął całą Europę i wystarczał byle pretekst, by się w nim znaleźć, a prawie zawsze był on cieniem śmierci. Tak więc choć przypuszczałam, że jestem w mocy jakiegoś demona – nic o tym nie mówiłam. Cóż, lepiej być nieczystą ale żywą, niż oczyszczoną przez ogień, lecz martwą. W gruncie rzeczy poznałam już tyle demonów, że jeden więcej nie stanowił dla mnie żadnej różnicy.

Często bywałam roztargniona i zamysłona z powodu tego rozdwojenia, ale zakonnice przypisywały to wiekowi i przeżytym poniewierkom. Od dawna nie byłam już młoda, lecz niejednemu chrześcijaninowi służyłam za Ziemię Świętą, ale o tym moje panie nie musiały wcale wiedzieć.

Czasami myślałam też o dzieciach, które wydałam na świat: kość z mojej kości, porzucone, bez jednej lzy skargi w tłustych, spoconych ramionach wiejskich mamek. A myślałam o nich z pewną ciekawością. Jedno z nich było chłopcem, różowym i krzykliwym, stworzonym do życia. Duża głowa i sztywne, ciemne włoski, nastrożone niczym kogucik grzebień przed walką. Jezeli jeszcze żył, powinien przebywać gdzieś w tej okolicy. Przechodziłam wtedy setki lat i bitew temu, a piersi i brzuch bolały mnie tak, że ledwie mogłam się poruszać. Wielki, okrutny jednooki kazał mi odejść:

- To jest wojsko – powiedział napuszony – a nie zamęt z ciężarnymi i bachorami!

- Nawet nie wiesz jak bardzo wojsko jest podobne do zamtuza, Panie – odpowiedziałam, bo znałam jedno i drugie. Myślałam, że mój stan ochroni mnie przed jego gniewem; o pomyśle przekonałam się natychmiast. Jednooki uderzył mnie ciężko, krzycząc:

- Nie odpowiadaj, kobieto!

Tak, jednych błędów żałuje się od razu, innych dopiero po dziewięciu miesiącach. Cóż, chyba z powodu uderzenia, mój chłopiec urodził się przed czasem, a ja porzuciłam go gdzieś w tych okolicach. Jakby pewne etapy mojego życia były nierozzerwalnie związane z tymi tu kamienistymi wzgórzami, szerokimi zachodami słońca, z tutejszym kolorytem. A noce tutaj zapadały delikatnymi cieniami leków.

- *Kapitanie, zlokalizowałam nadajnik. Zaczynamy?*
- *Tak, Drugi. Proszę przekazać rozkazy.*

Czas mijał i jak zwykle nadszedł listopad. Tego dnia układałam w słomie ulegalki, było mgliście: zwiewny całun mgły okrywał klasztor. Głosy i dźwięki wydawały się

dochodzić znikąd, nawet obfite krzaczki jagód były jakby trawione przez jasną mgłę pozbawiającą wszystko kolorów.

Gdzieś z mgły dotarł brzęk żelaza.

Gruszki wypadły mi z fartucha i potoczyły się po ziemi, nawet nie próbowałam ich zbierać i popędziłam w dół po kamienistym zboczku wzgórza, przez rumowiska kamieni. Suche korzenie i kolczaste krzaki morwy czepiały się mojej sukni, ale ja byłam jak bojowy rumak, który poczuł smak walki, jak ropucha, która czuje zbliżający się deszcz, jak wygłodzony myszołów uwolniony z uwięzi, byłam jak...

Żołnierze – myślałam gorączkowo – żołnierze, zaczekajcie na mnie! Rycerze, pamiętam was! Szłam przez błoto za kopytami waszych koni, kochałam was wszystkich, pocieszałam gdy byliście załamani, bandażowałam wasze rany rwąc zębami długie pasy jedwabiu, trzymanego zazdrośnie przez Jednookiego na jego wozie, jedwabiu, którego ja nawet nie uszczknęłam sobie na suknię... Zaczekajcie...

Nie słyszałam już niczego z wyjątkiem własnego oddechu. Zatrzymałam się, by się rozejrzeć gdzie jestem i upadłam niczym ścięta, jak stary zeschły kwiat, nie wiedząc jak i dlaczego.

- Zaczekajcie... – wydawało się mi, że wołam jeszcze i znalazłam się we śnie, o którym sądziłam, że jest ostatnim.

- *Rozkazy wykonane, Kapitanie.*
- *A tendencja wzrostowa entropii?*
- *Chyba zastrzymana. Kapitanie... chciałbym wyrazić formalnie mój sprzeciw wobec całej tej operacji.*
- *Co?!*
- *Mój sprzeciw, Kapitanie. Nie postępowaliśmy zgodnie z prawem.*
- *O czym ty u diabła mówisz, Drugi?*
- *Moim zdaniem, Kapitanie, osiągnęliśmy cel metodami nielegalnymi.*

...może minęły wieki, ale nie miałam sposobu, by je liczyć: nie miałam żadnego punktu odniesienia. Żadnego wschodu słońca, żadnego zmierzchu. Nie było śniegu ani deszczu, ani lodowatych wiatrów, chłodnych pór roku. Byłam uwięziona w miejscu, gdzie z trudem przychodziła świadomość samego istnienia: tak, żyłam.

I pragnęłam, pragnęłam zobaczyć swoje dłonie: kościste palce starej kobiety pozbawionej sił, która wchłaniała wilgoc ziemi podczas tysięcy nocy pod gołym niebem. Pragnęłam zobaczyć moje stopy wędrowniczki, moje koślawe, ale silne nogi, które kroczyły po błocie i końskim łajnie przez połowę znanego świata. Pragnęłam zapłakać, żeby poczuć słony smak łez. Pragnęłam się śmiać, żeby usłyszeć dźwięk własnej radości.

Do diabła z tym wszystkim: chciałam być żywą w dawny, dobry sposób.

- *Kapitanie, chciałem przedstawić moje stanowisko...*
- *Drugie, przypominam, że jest pan aresztowany.*
- *Ale wskaźniki zmian entropii...*
- *Zajmie się nimi Technik.*
- *Kapitanie, proszę posłuchać, Technik nie jest w słanie, proszę...*

Daniela PIEGAI

Uważana jest za jedną z czołowych autorek włoskiej SF. Podobnie jak wiele z pań piszących oscyluje na granicy fantazy i science fiction. Jej tematy to pochwała natury przeciwstawionej rozbuchanej, agresywnej technologii, co łączy się z podziałem na pierwiastek żeński i męski, i znana z terenu amerykańskiej SF krytyką dominacji męskości w kulturze.

Wkrótce zamieścimy powieść Daniela Piegai „Znak błętego księżycy” napisaną wspólnie z innym znanym autorem włoskim – Lino Aldanim.

W tym przypadku lojalność Technika, Drugi, jest ważniejsza niż jego kompetencje. Nie życzę sobie żadnych dyskusji. Proszę wracać do swojej kabiny.

...Światło, jest światło, widzę! Moge także poruszać nieco palcami... co u licha tu się dzieje?

Ktoś szepce coś obok mnie i są to dziwne dźwięki natarczywe hałasy, jakby świergot ptaków, czy może skrzypienie drzwi, ale jestem przekonana, że nie pochodzą ani od ptaków ani od drzwi.

Jest jeszcze wzruszony szept jakiegos głosu, ale nie rozumiem co mówi... och tak! Przecież rozumiem, to język, który mam w głowie. Cóż, gdziekolwiek jestem, demon dotarł do mnie. I mówi mi... mówi: „witaj na pokładzie”.

- Kapitanie!

- Tak, Techniku?

- Kapitanie, zechce pan sprawdzić? Myślę, że znowu pojawiła się wzrostowa tendencja entropii.

- Mhm... wydaje się, że ... Techniku, proszę wezwać Drugiego.

- Jest przecież aresztowany, Kapitanie.

- Wiem, proszę go wezwać!

„...Proszę, nie powinnas myśleć, rozumiesz? Nie powinnas myśleć, bo się zorientują” - szepce głos obok mnie. Jest w nim coś zdesperowanego, rozkazującego, ale i niezdecydowanego. Coś, co rozpoznałem. Demony także cierpią i bywają niepewne siebie. Nie wiem jak go zadowolić. Jak to jest nie myśleć? Teraz, kiedy moje zmysły znowu funkcjonują, jak moge zatrzymać strumień informacji, które docierają do mnie, a zwłaszcza jak moge powstrzymać pytania, które przychodzą mi do głowy: co się dzieje? dlaczego?

- Drugi, zechce pan sprawdzić przyrządy?

- Czy mam rozumieć, że nie jestem już aresztowany, Kapitanie?

- Pan ma sprawdzić wskaźniki, nie rozumieć, Drugi!

- Kapitanie, mimo wszystko chciałbym zauważyć, że zostałem aresztowany i mam prawo odmówić wykonania rozkazów.

- Drugi, w tej chwili nie jest pan aresztowany. Proszę sprawdzić przyrządy!

- Przyrządy wskazują prawdopodobieństwo wzrostu entropii. Sugeruje uwolnienie kobiety. To chyba nie ona spowodowała te zaburzenia!

- Chyba... chyba, że ktoś osłabił pole izolujące, w którym ta kobieta obecnie przebywa... w takim przypadku mogłaby mieć wpływ na rozwój sytuacji...

- Osłabić pole izolujące, Kapitanie? A kto mógłby to zrobić?

- Mam pewną koncepcję, Drugi. Sądze, że wiem jaki typ osobowości mógłby osłabić pole wokół zatrzymanej.

- Mam nadzieję, że nie zamierza pan insynuować mi odpowiedzialności za to, Kapitanie?

- Drugi, proszę odejść do kabiny. Jest pan ponownie aresztowany!

„...Wybacz, ale znowu muszę cię umieścić w izolacji mentalnej, jak tylko będę mógł, zwróć cię sobie samej” - mówi głos mojego demona.

I oto znowu zapadam w nicość: nie słysze, nie widzę, nie czuję...

Do czarta, nigdy nie wierzyłam w raj: zawsze brakowało mi porównań, ale czasem kusiło mnie, żeby uwierzyć w piekło. Czy to jest piekło? Biedna, biedna kobieta: po tym, jak porwałaś w strzepy swoją część życia, zlaną deszczu, słońca, wiatru i miłości, entuzjastko dłu-

gich, gwiazdzistych nocy i promiennych świtów i południ wypełnionych graniem świerszczy; po tym jak rzucałaś się, żeby chwycić wszystko, co mogłaś, pozostałaś z niczym. Twój kawałek piekła, twój nienasycony, pierwotny głód. Tylko... to... ci zostało...

- Panskim zdaniem, Techniku, izolacja zatrzymanej była całkowita, czy też w jakiś sposób uległa awarii?

- Trudno mi powiedzieć, Kapitanie. Nie jestem w stanie tego stwierdzić.

- Doceniam pańską uczciwość, Techniku.

- Kapitanie, czy mogłbym prosić o ponowne wezwanie Drugiego?

- Nie, nie może pan. Jeżeli ktokolwiek uszkodził pole izolujące, mógł to być tylko Drugi.

„...Proszę cię, nie powinnas myśleć...” - Jak mój demon może mi proponować coś równie absurdalnego? Przecież oddał mi część moich zmysłów, a teraz prosi, żebym nie myślała?

W niewyraźnej poswiacie dostrzegam jakiś ruch. Z trudem obracam głowę w tamtą stronę i widzę JEGO przymrużone oczy, JEGO gładkie oblicze.

Jest coś głęboko dziwnego w tych oczach, czego chwilowo nie jestem w stanie określić

Przypominam sobie pragnienie, które mnie męczyło. Chęć zobaczenia własnych dłoni, jakaś potrzeba oparcia się o coś powszedniego, znanego, pcha mnie do wysiłku podniesienia dłoni na wysokość oczu. Za chwilę ujrzę kciuk ze złamanym paznokciem, zobaczę stawy, pogrubione i zdeformowane przez czas, i blizny, zielone jak łąki w kwietniu, jak zadrapania, które mi się przytrafiły podczas barwienia tkanin. Pozostały na mej skórze niczym tatuaż.

...ALEŻ TO NIE SĄ MOJE DŁONIE!

- Uspokój się! Co się stało? Nie denerwuj się! - mówi mój demon.

JESTEM zdenerwowana. Co się, do diabła, stało z moimi rękami? Na piekło! To są dłonie piętnastoletniej mniszki, palce delikatne jak u dziewczynki, nie moje! Jak to możliwe, żebym miała skóre tak jasną i gładką? Nawet rozlupany migdał nie jest aż tak biały.

Mój demon pochyla się nade mną, ma twarz w nieokreślonym wieku, jak asceci lub umarli. Twarz kogoś, kto niczego nie przeżył: ani jednej zmarszczki. Jeszcze dobrze nie dotarło do mnie znaczenie tego doniosłego obrazu, a już nagle nurzam się w pustkę, właśnie w chwili, gdy pytania cisną mi się na język... a... ja... pytam... go...

- Kapitanie! Tendencja wzrostu entropii jest bardzo silna, sądze, że więzień lada moment uwolni się! Proszę o pozwolenie wezwania Drugiego!

- Udzielam pozwolenia, Techniku.

...Święty Boże, jeszcze jeden promień światła w moim polu widzenia: sztuczny świt wywołany przez mojego demona? Oto moge poruszać się ze zwykłym mozolnym trudem. I natychmiast próbuje spojrzeć na dłonie... tak, są gładkie, jasne, delikatne.

MUSZĘ zobaczyć swoją twarz!

Próbuję rozmawiać z demonem, ale nie wiem gdzie on jest. Poruszam ustami i stare, dobre słowa rodzą się jak na ustach dziecka, z taką samą pracowitą cierpliwością, z takim samym męczącym skupieniem: - Demonie, daj mi lustro...

Słyszę okrzyk zdziwienia i ktoś pochyla się nade mną i jestem pewna, że to nie ON. Potem następują błyski światła, moje ramiona poruszają się same, bez mojej

GALERIA

ANDRZEJ WRONSKI





woli, przeszywa mnie szarpiący ból, jakby to były promienie słońca na liściach, jakby te promienie mogły ranić. Czuje się bezbronna i bez możliwości podjęcia jakiegokolwiek działania, oto czuje smak własnych łez. Czy naprawdę wystarczy czegoś pragnąć, by to się stało?

CHCĘ WSTAĆ I IŚĆ!

- *Kapitanie! Kapitanie! Nie ma już pola izolującego!*
- *Sprawdź szybko wskaźniki, Techniku!*
- *Wszystkie do maksimum! Entropia wzrasta!*
- ...

Wstaje powoli i po raz pierwszy, choć wszystko wokół faluje, pogrążone w koszmarnym, czerwonym świetle, widze miejsce, gdzie jestem: metalowe ściany, błyszczące jak miedź; odbija się w nich kobieta blada jak srebro, która porusza się jakby płynęła. Ma włosy do kolan; spowijają ją niczym ciemny płaszcz. Bogowie piekieł, w których przebywam, to ja! To ja w wieku piętnastu lat!

Bez zainteresowania oglądam moje nowe delikatne ciało, potrząsam lekko włosami, które laskoczą mnie w skórę. Zginam palce i czuje jakbym się dopiero narodziła: moje paznokcie są delikatne i długie jak u małego kota.

A potem czuje, że mdleje i że podnosi mnie demon, który w samą porę pojawił się w ścianie. NIE MOGĘ STRACIĆ ŚWIADOMOŚCI: wspinam się po ramionach demona, żeby na nowo nie pogrążyć się w nicości i widze siebie w jego wytrzeszczonych zaskoczeniem oczach. Nie potrafię nazwać ich wyrazu, ale czuje, że on także przy-ciska mnie jakby sam bał się utonąć... Czyżby to mój stary, dobry czar? Jestem srebrzystą syreną, a on jest jedynie rybakiem... tylko rybakiem...

- *Techniku, może wiedzieć co pan tu robi?*
- *Podnoszę zatrzymaną, Kapitanie.*
- *Ja ją podtrzymam, pan niech się zajmie przyrządami. Dlaczego zawiodło pole? Proszę sprawdzić generator pola, inaczej znowu będziemy mieli kolejny wzrost entropii.*
- *Kapitanie... czy mogę wezwać Drugiego? Nie panuje nad sytuacją.*
- *To widać. Proszę wezwać Drugiego.*
- *Proszę także o pozwolenie wezwania Lekarza.*
- *Pozwalam.*

O, cholera! Jestem wśród jakichś dziwnych Demonów. Wszyscy spoglądają na mnie z jednakowym wyrazem twarzy. Zdaje się, że zadam moje stałe, ulubione pytanie: Gdzie jestem?

Szepcą między sobą. Sztuywni i surowi. Po chwili, gdy w ścianie pojawia się MÓJ Demon, jeden z nich występuje o krok i mówi: - Proszę mi wybaczyć wtargnięcie w Pani czas, ale powodowała Pani wzrost entropii. Naszym zadaniem jest neutralizować każde możliwe źródło zakłóceń w normalnym procesie starzenia się Wszechświata...

- *Kapitanie, co się tu dzieje? - pyta mój Demon.*

Cholera, sama chciałabym to wiedzieć. Potem ON podchodzi do mnie, bierze delikatnie za rękę i próbuje uspokajać, ale nie ma potrzeby, naprawdę. Nie jestem przestraszona, życie mnie nigdy nie przerażało. Czego nie znosiłam, to pustki, jaka mnie dotąd otaczała.

Przez chwilę trwa zamieszanie, wszyscy mówią jednocześnie i wszyscy wydają się pytać o coś mojego Demona. Niby zdenerwowani, ale czuje, że to nieprawda, w gruncie rzeczy są tylko zakłopotani. Nie rozumiem dobrze sytuacji, lecz czuje, że mogę nad nią zapanować, potrzebuję jedynie czasu. Te Demony zadziwiająco przypominają ludzi...

A potem nagle, podstępny, ostry jak wicher, przeszywający jak ból... upadek... w... nicość.

- *Drugi, od tej chwili jest pan wolny, odstawiając zatrzymaną do pola izolującego odkupił pan swój poprzedni błąd.*

- *Tak jest, Kapitanie.*

...nie ma światła, dźwięków, a przecież mogę myśleć. Niektóre myśli przesączają się jak obłoki przez watę, która mnie otacza. Co się dzieje? Może jest możliwy jakiś inny rodzaj życia. Ktoś do mnie mówi, chociaż o tym nie wie. SŁYSZĘ czyjeś myśli...

- *Kapitanie, pojawia się kolejny wzrost entropii. Nie rozumiem dlaczego?*

- *Drugi, jest pan w stanie zlokalizować nadawcę?*

- *Moim zdaniem nadawca jest na pokładzie.*

- *Drugi, proszę sprawdzić, czy zatrzymana jest wystarczająco izolowana.*

...hej, przyjacielu. Kimkolwiek jesteś, myśl jeszcze, czuje potrzebę śledzenia pokretnego biegu twoich myśli. Potrzebuję tego, rozumiesz? Ty nie wiesz, że cie słyszę: jak się z tobą POROZUMIEĆ? Może wystarczy tylko tego chcieć, tak, jak wtedy, gdy chciałam mówić? Tak, muszę uczynić myśl ostrą jak igła, żeby przedziurawić twoją nieświadomość.

Usłyszał mnie... USŁYSZAŁ MNIE... USŁYSZAŁ MNIE! Usłyszał mnie i myśli, że jestem duchem. Bogowie, czasami życie jest naprawdę śmieszne! Gdybym mogła, śmiałabym się tak, jak śmiał się wiatr, w taki dziwny, lkający sposób, kiedy przeciskał się między kamieniami starej wieży strażniczej obok klasztoru.

Hej, przyjacielu, jeśli mnie jeszcze słyszysz, odpowiedz: co ja tu robię? KTO mnie tu sprowadził? Dlaczego wyglądam jakby urodzona zaledwie piętnaście, siedemnaście lat temu? Co się stało z moim poprzednim życiem?... tak, to ja mówię w twojej głowie. JA!

- *Kapitanie, Drugi chyba zemdlął...*

- *Proszę go chwilowo zastąpić i wezwać Lekarza, Techniku.*

...nie odpychaj mnie, co ty robisz, śpisz? Co za burdel, zemdlął! Ej, odpowiedz, przestraszyłam cię? Ja też nie mam żadnego doświadczenia w tych sprawach, ale to przecież nie powód, żeby zaraz mdleć, człowieku.

O tak, świetnie, nie bój się. Wiem, że to ty pomogłeś mi, pokazałeś światło po raz pierwszy. Teraz musisz zrobić to samo. Jeśli będziesz ze mną rozmawiał, to będzie tak, jakbyś mi oddał resztę zmysłów.

Przyjacielu, nie chcę się skarżyć, ale będę sama, jeśli nie będziesz ze mną rozmawiać... no, dalej, może nie wiesz, o czym masz opowiadać? Opowiedz mi o sobie, opowiedz co to za miejsce. ...Przyszłość?... jeśli w niej jesteśmy to to jest terazniejszość, nie wydaje ci się, przyjacielu? Co to za diabeł, ta entropia?...

- *Kapitanie, sytuacja pogarsza się! Sygnalizatory wskazują dalszy wzrost entropii! Proszę o pozwolenie ponownego wezwania Drugiego, nawet jeśli nie czuje się najlepiej.*

- *Ma pan pozwolenie, Techniku... Co za patrol! Entropia rośnie jak nigdy dotąd, Drugi odkrywa w sobie drugie ja..., a zatrzymana oddziałuje na wskaźniki pomimo totalnej izolacji... Techniku, przekazuje panu dowodzenie na kilka minut... myślę, że ja... muszę trochę odpocząć. Jest pan upoważniony do podejmowania decyzji w razie potrzeby.*

- *Kapitanie!...*

... i nie myśl, że jestem zazdrosna, chce tylko wiedzieć, kto to taki ta entropia, jeżeli to z jej powodu tu się znalazłam... Czekał, chyba zrozumiałam; powtórz od początku... Wszechświat starzeje się... tak, zgoda, to rozumiem. A wy jesteście strażnikami pilnującymi, by nie zestarzał się za bardzo... Co wy, u licha, robicie? Jesteś pewien, że to możliwe? Wracając do przeszłości, mówisz?... Ale jeszcze mi nie wytłumaczyłeś, co ma z tym wspólnego ta entropia...

- Witam, Kapitanie.

- Gratuluje, Techniku. Poradził pan sobie ze swoim... to jest z... moim zadaniem znakomicie.

- Dziękuję panu, ale muszę pana uprzedzić, że zanotowałem dalszy wzrost entropii. Sądze, że zbliża się do punktu krytycznego.

- W jakim stanie jest Drugi?

- Fizycznie w porządku, ale nie reaguje na bodźce zewnętrzne. Wydaje się być pogrążony we własnych myślach.

- We własnych, Techniku?

...tak ...to ci dopiero niespodzianka. Chcesz powiedzieć, że jedyne o czym myślicie, to tylko wzrost ciepła? Myślałam, że entropia to kobieta.

Hm, dobrze, dobrze, nie ciepło, lecz temperatura, ale cóż to za różnica?... Tak, to jest wiek Wszechświata, tak, już mówiłeś. Kiedy jakiś przedmiot znajduje się na stole, na pewnej wysokości nad ziemią, posiada pewną energię potencjalną upadku, tak. A kiedy spada, energia nie jest już potencjalna, wyzwala się. Każdy rodzaj przekształcającej się energii wydziela ciepło jako produkt uboczny i w miarę, jak upływa czas to ciepło wzrasta, tworząc w ten sposób jednostki miary wieku Wszechświata. Zrozumiałam. A potem? Myśli też wydzielają ciepło, mówisz? I co? Czekał, nie zmieniał tematu, po co te uniki. Tak, tak, chce, żebyś mówił dalej. Podaj przykłady, używaj nawet niezrozumiałych dla mnie słów. Wszystko postępuje stopniowo do pewnego momentu, po którym następuje skok i zdarza się coś nagłego, przykład: woda chłodzi się powoli, a osiągnąwszy pewien punkt niespodziewanie zamienia się w lód. Tak, wiem, sama to widziałam.

Z entropią dzieje się coś podobnego: wzrasta stopniowo, a chwilami następują skoki i wtedy wy interweniujecie. Zauważyliście, że te skoki mają miejsce w dokładnie określonych okresach w historii. Na przykład w latach, kiedy Leonardo da Vinci pracował nad swymi latającymi maszynami... ależ człowieku, co ty wygadujesz za bzdury? Tylko myszolowy, sokoły i wróble potrafią latać. Albo muchy... I nie przepaszaj mnie, czuje, że jesteś tak samo zagubiony jak ja...

- Kapitanie, wskazania nadal rosną!

- Techniku, proszę wezwać do sterowni Lekarza. Musi postawić na nogi Drugiego, inaczej nasza misja się nie powiedzie.

- Rozkaz.

...dobrze, są ludzie, którzy w jakimś sensie kumulują idee swego czasu, którzy „objasniają” je w sposób dla wszystkich jasny. Ich mózgi, myśląc, wytwarzają skoki entropii. Wy interweniujecie i podsuwacie już gotowe pomysły, zapuszczając w ich umysły instrukcje podprogowe... (Co to za cholerstwo, te instrukcje podprogowe?...) W ten sposób oszczędzacie im wysiłku umysłowego, wytwarzającego wzrost entropii... Załóżmy, że rozumiem, przyjacielu, choć jeszcze muszę nad tym pomyśleć. A powiedz mi, co ja mam wspólnego z całą tą prze-



kietą sprawą?... Myślałam za dużo... a to ci dopiero: JA MYŚLAŁAM ZA DUŻO! I dlatego należało mnie umieścić w polu izolującym...

Przyjacielu, nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek myślała o latających maszynach czy podobnych bzdurach, przysięgam. Po mojemu pomyliliście osoby... tak, to prawda, słyszałam jak mówicie, a dokładniej: słyszałam ciebie i myślałam, że jesteś Demonem... mówisz, że zakłócenia?... Czy mój umysł może przechwytywać myśli kogoś odległego w czasie... nie mogę w to uwierzyć, przyjacielu. I przestań, do diabła, przeproszać mnie. Jesteśmy już przyjaciółmi. Poza tym myślę, że sprawa nie zależy od ciebie. Co więcej, jesteś jedynym, który mi pomógł, człowieku. Ale chce ci zadać jeszcze jedno pytanie – dlaczego nie naszpikowaliście mi świadomości przy pomocy tych „instrukcji podprogowych”, tak jak to zrobiliście z tym facetem, tym da Vinci? Aha, nie byłam w stanie...

Chcesz powiedzieć, że byłam za głupia? Najpierw mi opowiadasz, że wywołuje wzrost entropii, bo zbyt dużo myślę, a potem zapominasz o tym i mówisz, że jestem głupia. Jesteś niekonsekwentny, przyjacielu. Nie, nie złościę się, tylko dziwię... Słyszałam, jak myślałeś, że stara kurwa z tysięcznego roku nie jest w stanie niczego zrozumieć. Ale teraz radzę sobie zupełnie nieźle, nie sądzisz? Nie chcę cię dłużej wprawiać w zakłopotanie. Zamiast tego zapytam jeszcze: dlaczego wyglądam tak młodo?... Zregenerowaliście moje komórki... a mogę wiedzieć po co, jeśli zamierzaliście mnie tu trzymać niemą, ślepa i głuchą, bez żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym? Aha, mówisz, że to automatycznie?... Człowieku, chwila mi cię nie rozumiem. W głębi twoich myśli jest pomieszanie prawie takie jak w moich... Choć nie dotyczy tych samych spraw...

ANDRZEJ WRONSKI



Jedyne dobre, co zrobiliście dla mnie (jeśli dobrem jest poczęstunek ze źródła miłości) stało się całkowicie przypadkowo. Przez niedbalstwo pozwoliliście, żeby automat mnie odmłodził, bo już kiedyś tak był zaprogramowany...

- Kapitanie, jest Doktor.
- Dziękuję, Techniku. Sądzi pan, Doktorze, że będzie pan w stanie postawić Drugiego na nogi, choćby na krótko?
- Mogę spróbować, Kapitanie, ale nie gwarantuję skutku. Istnieje serum, które, jak się wydaje, wzmacnia potencję układów myślowych. Brakuje, niestety, pełnej dokumentacji prób leku i nie znamy jego działań ubocznych.
- Jak na pokładzie mógł się znaleźć eksperymentalny lek?
- Coż, Kapitanie, w pewnym sensie nie jest to całkiem legalne, że się tak wyrażę. Faktem jest, że znalazł się w moim posiadaniu. Długo nad nim pracowałem przed rozpoczęciem patrolu i myślałem, coż, myślałem, że może znajdzie sposobność wypróbowania go na kimś...
- Pan, Doktorze, chce powiedzieć, że chciał nas wykorzystywać jako świnki morskie?
- Nie, Kapitanie.
- Nie rozumiem.
- Coż, myślałem, Kapitanie, że będę nad nim jeszcze pracował w czasie wolnym...
- Ale teraz sugeruje pan wypróbowanie go na Drugim.
- Tak jest.
- A, pańskim zdaniem, jakie mogą być ewentualne skutki uboczne tego preparatu?
- Coż, może się zdarzyć, że ten ktoś będzie nieco za bardzo wzmocniony...
- To znaczy?
- Powiedzmy, że mógłby stracić nieco cywilizacyjnej ogłady.
- Nadal nie rozumiem, Doktorze.
- No, stałby się zbyt żywotny, pełen wigoru, prymitywny.
- Tylko tyle?
- Myślę, że tak, Kapitanie.
- Dobrze, Doktorze. Może pan wypróbować lek na Drugim.

...Hej, przyjacielu, co się z tobą dzieje?... Gołowasie, co robisz? Wygląda jakby coś eksplodowało w twoim mózgu... Nie, nie zostawiaj mnie samej, proszę... Cholerny świat, nikogo w życiu o nic nie prosiłam, popatrz co ze mną zrobiliście, wy nadludzie: zabraliście mi wszystko... Tak, stara kobieta, materac setek żołdaków, nie jest w stanie zrozumieć instrukcji podprogowej, trzeba ją wyciszyć w inny sposób. Nie jest Leonardem da Vinci, jest kurwą i jej umysł nie wyczuwa pewnych subtelności...

Co za burdel. Ja może i przesadzałam ze swoimi szaleństwami i nie żyłam w zbytniej zgodzie z przykazaniami, ale, człowieku, mam taki stosunek do życia, o jakim tobie się nigdy nawet nie śniło. Gołowasie, mnie życie nigdy nie przerażało, do diabła z entropią, jeśli się starzejemy, trudno. Nigdy by mi jednak nie przyszło do głowy, żeby włączyć do innych stuleci, obcych umysłów i udawać Ducha Świętego. I przestań mnie przepraszać!

- Kapitanie, wygląda na to, że Drugi odzyskuje kontakt z rzeczywistością.
- Jest pan tego pewien, Doktorze?
- Praktycznie tak, Kapitanie. Jest teraz tak, jakby żył w dwóch światach jednocześnie, ale ma w sobie energie

wystarczającą, żeby pokierować sobą w obu światach na raz i będzie mógł zająć się instrumentami.

- Jak pan sądzi, w jakim jeszcze świecie żyje, oprócz naszego?

- Coż, Kapitanie... Sądze, że Drugi ma mentalny kontakt z zatrzymaną.

- Z zatrzymaną?

- Tak, proszę pana.

Ma pan jakieś dowody na potwierdzenie tych słów?

- Nie mam pewnych dowodów na to, co mówię, ale na obronę mojego twierdzenia mam prawie sto lat doświadczenia.

- To mogłoby tłumaczyć wzrost entropii: to diabeł wcielony z tej baby. Jej umysł jest przenikliwy jak... jak...

- Jak umysł GENIUSZA, Kapitanie?

- Mhm... ale do cholery, jak prymitywna kurwa może być geniuszem? Wykluczone. Musi być jakieś inne wytłumaczenie.

...oj, oj... kapitanie... jesteś kapitanem... słyszę także ciebie, a twoje myśli, muszę przyznać, nie są przyjemne... Taki przekonany, że wszystko rozumie... a nie potrafi zrozumieć mnie, „prymitywnej kurwy”!

...minelo tyle lat... tak, musiało ich wiele upłynąć... a male, nieczule, małostkowe przekonania tych, którzy zawsze uważali siebie za lepszych, pozostały nie zmienione. Tak jak nie zmienione pozostały ich pretensje do dyktowania praw, do utrzymywania, że są słuszne i do narzucania ich innym... Hej, Gołowasie, mój osobisty demonie, słyszysz myśli swojego kapitana? Zgadzasz się z nim? Powiedz przyjacielu, i przestań mnie przepraszać.

- Kapitanie, pan się źle czuje?

- Doktorze, ja... chyba nie czuje się dobrze...

- Techniku, niech pan zajmie miejsce Kapitana, podczas gdy ja zajmę się sprawdzaniem danych.

- Dobrze, Doktorze, ale regulamin nakazuje, by Kapitan sam przekazał mi, choćby chwilowo, dowodzenie.

- Obecnie Kapitan nie jest w stanie niczego przekazywać, zapadł w stan kataleptyczny i podejrzewam, że przyczyna tego jest ta sama, jak ta, która wyeliminowała Drugiego.

- Doktorze, słyszałem, jak pan mówił Kapitanowi, że Drugi pozostaje w łączności z zatrzymaną. Chce pan powiedzieć, że teraz także Kapitan jest z nią w łączności?

- Tak przypuszczam, Techniku.

- Mogę panu zaproponować sposób zneutralizowania zatrzymanej?

- A jak, jeśli wolno spytać, chciałby pan zneutralizować osobę zdolną porozumiewać się przez pole izolujące?

- Doktorze, wskaźniki sygnalizują prawdopodobieństwo wzrostu entropii. Proszę szybko wywołać Drugiego, jeśli pan może!

- Drugi jest już w stanie sam interweniować, choć żyje również w innym świecie. Czuje i może reagować. Jeśli tego nie robi, to znaczy, że nie chce. A ja nie mam lekarskiego na ludzkie chęci.

- Doktorze, może pan... zabić zatrzymaną?

- Tak, możemy zrobić piękny stos... jak mi się wydaje w jej czasach w ten sposób rozwiązywano podobne problemy.

- Mówi pan serio, Doktorze?

A pan rzeczywiście byłby gotów ją spalić?

...ale burdel. Zdaje się, że moja przyszłość to stos... Mój demon powiedział: „witaj na pokładzie”, a ci tutaj szaleńcy chcą grać z ogniem... Ale ja WIEM, że wszystkie istoty ludzkie są równe i że nikt nie ma prawa uważać się za lepszego i dysponować życiem innych. A ta świadomość zawsze uwalniała mnie od lęku. Także i tym razem poradzę sobie: tyle razy próbowali mnie spełać na różne sposoby i nie udało im się to.

- Doktorze, mógłby pan wstrzyknąć to serum Kapitanowi?

- Dlaczego miałbym to zrobić, Techniku?

- Ponieważ nie jestem w stanie robić wszystkiego: sama obserwacja wskaźników entropii wykracza już ponad moje zwykłe obowiązki. Normalnie robiłby to Drugi. Jeśli jednak mam zastępować i Kapitana, to cały patrol psu na bude.

- Cóż, chyba zrobię zastrzyk Kapitanowi.

- Kiedy on zacznie działać?

- Nie wiem dokładnie. Każdy ma własny czas reakcji. A ludzie są bardziej skomplikowani niż suma ich narządów.

...Hej, nadludzie, słyszę was wszystkich. Ale ty, Gołowiąsie, nadal podobasz mi się najbardziej z nich. Może dlatego, że ciebie pierwszego usłyszałam. Jestem, w gruncie rzeczy, sentymentalną staruszką. Wyobraź sobie, że do dziś pamiętam tego chudego chłopaka, którego obejmowałam pierwszy raz, chłopca, który chciał kochać się z dzikuską i dzieckiem, bo jeszcze nim byłam... ale mu nie wyszło. Zostawmy to. Jesteś zaskoczony czułością u prymitywnej kurwy? Człowieku, wy nie zmieniliście się zbyttno, możesz mi wierzyć.

- Techniku, co pan robi?

- Wstrzykuje sobie serum.

- Po co?

- Ja też chcę mieć więcej sił ducha, Doktorze!

...Widzisz? Nadal znaczący karty, by osiągnąć to, co mają inni. Do diabła z tym wszystkim, ja dobrze wiem czego chcę i myślę, że się trochę potrudzę, żeby to osiągnąć...

- Kapitanie, Kapitanie, słyszy mnie pan? Tu Doktor. Składam raport. Sytuacja jest następująca: pan, Drugi i Technik otrzymaliście po dawce mojego eksperymentalnego leku wzmacniającego energię umysłową. Na pokładzie jedynie ja żyję w jednym świecie. Właśnie wstrzykuje sobie ostatnią pozostałą dawkę serum. Sądze, że wkrótce także i ja będę mógł nawiązać kontakt z zatrzymaną. Z punktu widzenia nauki jest to okazja, której nie wolno mi stracić. Niech diabli porwą entropię, Kapitanie.

...no i jesteśmy razem. Wszyscy możemy porozumiewać się mentalnie, ciekawi siebie. Mniej lub bardziej naukowo. Zadowoleni, kpiący sobie ze wzrostu, może nawet skoku, entropii. Czy JA mam wam przypominać, że wasza misja ma na celu uciszenie myślicieli? To wy usypiacie mózgi przerywając myślenie, dostarczając gotowych rozwiązań. Jak to się stało, że znaleźliście się po tej samej co ja stronie?... Oj, oj, to chyba mój zabójczy wpływ: mężczyźni zawsze szaleli z mojego powodu. Tak, śmieje się, co w tym złego? Gołowiąsie, jeśli zawsze będziesz taki poważny, nie pożyjesz. Ale burdel... czasem tęsknię za moimi mniszkami, w porównaniu z wami były niemal święte! Ale ja kocham tych, którzy przyznają się do popełnionych błędów.

Żołnierze, starzy towarzysze, poprzebieraliście się w jakieś dziwne stroje i nie pamiętacie już smaku ryzyka!

Oto wstaje i widzę moje blade ramiona, moje blade palce: pragnę słońca i wiatru. Czuje się chora. Kapitan też jest tego zdania. Hej, Kapitanie, przyznasz, że skomplikowałam wam życie? A co, do diabła, myśleliście, że ze mną zrobicie?

...mówisz, że pozostawicie wszystko po staremu? A w jaki sposób? O, tak, to wszystko z mojej winy, oczywiście. Za dużo myślałam. A ponieważ, niepoprawna, urodziłam się kobietą i to w roku tysięcznym, nie miałam do tego prawa?

Rozsadziłam pole izolujące korzystając z diabolicznych zdolności mentalnych. Doprowadziłam do szaleństwa wszystkich na pokładzie i usidliłam wspaniałą załogę przy pomocy diabli wiedzą jakich czarcich sztuczek...

Twoje szaleństwo, Kapitanie, szybko mija: słyszę jak myślisz o zaleczeniu tej nieprzyjemnej historii.

A ty, Doktorze, masz swoje doświadczenie, a wnioski to już na spokojnie?...

Tak, Techniku-moralisto: patrzysz na nas i potępiasz.

Tylko ty, Gładkolicy, zaraziłeś się tym szaleństwem, jakim jest pragnienie życia. W gruncie rzeczy oni myślą o wyeliminowaniu także i ciebie: wprowadzasz zamieszanie, narzucasz innym wątpliwości, te ostatnie tworzą nowe idee i entropia rośnie...

...Dziwny jest ten listopad: mgła rozprasza się i kiedy spoglądam w dół na doliny widzę jeszcze jej resztki, zwiewne płaty uczeplone galezi zimowych dębów i dzikich jabłoni.

Ale co ja tu robię? Jest coś... jest coś w mych myślach takiego, jakbym miała o czymś pamiętać... Obok mnie spoczywa jakiś człowiek. Wygląda jakby spał.

Jakiś cudzoziemiec: skora jasna, gładka jak u dziecka. Potrząsam nim, żeby się obudził: - Ej, Gołowiąsie, skąd jesteś? - i imię jakiego użyłam, by go nazwać budzi echo w mej pamięci.

- Z przyszłości - odpowiada otwierając przymrużone oczy.

- Nigdy nie słyszałam o takim miejscu, chociaż dużo wędrowałam za młodu.

- Spójrz na siebie - mówi obcy chwytając mnie za rękę - nadal jesteś młoda.

Spoglądam na moją dłoń, dłoń delikatną, dziewczęcą.

- W pewnym sensie oboje jesteśmy teraz obcy - mówi cicho Gołowąs gładząc mnie po ręce.

I choć nie pamiętam, dlaczego, jestem pewna, że to prawda. Jestem rzeczywiście dziewczynką i nie wiem, co mi się przydarzyło. Ale jedno jest pewne: nie wrócę do klasztoru. Pomyslałyby jeszcze o czarach widząc mnie tak zmienioną i mogłabym źle skończyć.

Gołowąs uśmiecha się, trochę niepewnie, a ja poznaję ten uśmiech; widziałam go tysiące razy na twarzach mych starych towarzyszy...

Tak, człowieku, ty też możesz być moim towarzyszem, jeśli chcesz. Cóż prostszego, niż spoczywać obok siebie udając, że się rozumie bez słów, żeby zapomnieć nieco o trudach życia?

Schodzimy w stronę doliny otwierającej się łagodnie pod rzadkimi już płatami mgły. Krzewy jagód są purpurowoczerwone.

Przełożył Bogdan Sroka

z polskiej fantastyki

DEMON WALKI

Feliks W. Kres



Grzegorz Komorowski

G. W. Komorowski

I „Dziwne” – pomyślał Rapis. „Pierwszy raz w życiu widzę taką pogodę. Czyżby zła wroźba?” Istotnie. Morze burzyło się niespokojnie. Groźne, uwieńczone koronami pian fale z łoskotem tłukły o burty statku. W okolicach Garry burze nie należały do rzadkości, ale tym razem prawie nie było wiatru. I świeciło jasne, gorące słońce.

„Dziwne” – powtórzył w myślach Rapis.

Oderwał się od burty i rozkołysanym krokiem podszedł do sternika nieruchomo stojącego za kotłem.

– Co tam, Ramadan?

W porządku, kapitanie. Trzymam kurs.

Rapis w zamyśleniu skubał palcami pas. Wreszcie za pytał z wahaniem:

– Co myślisz o tej pogodzie?

Sternik spojrzał z ukosa. Kapitan rzadko przyznawał się do wątpliwości.

– Pierwszy raz widzę coś takiego, Panie.

– Właśnie.

Cisza. Lomot fal o burty statku. Dobiegające zewsząd poskrzypywanie takielunku, pod pokładem gniewne wrzaski bosmana.

– Jakby coś nie w porządku – melduj.

– Tak, Panie.

Kapitan postął jeszcze chwilę i odszedł. Po chwili był w swojej kajucie na rufie, pochylony nad stołem, na którym rozrzucone były mapy. Spojrzał na nie krytycznie i nagle, wściekłym ruchem zmiotł je na podłogę. W tej samej chwili zapukano do drzwi.

– Wejść!

Skrzypnęły zawiasy.

– Coś taki nie w sosie?

Spojrzał spode łba na intruza. Rrodan ostrożnie przekraczał ogromną mapę Bezmiarów. Rapis wskazał mu miejsce w kapitańskim fotelu. Sam usiadł na stole.

– Ta pogoda, ta sucza pogoda! – cisnął. – I jeszcze te mapy. Na Moc, co za żeglarze pływali po tych wodach, skoro wyspy jak ta, którąśmy dopiero co mineli, nie są na nich zaznaczone?

Rrodan wzruszył ramionami.

Dziwi cię to? Powiedz, iluż to żeglarzy wypływa tak daleko na południowy zachód od Garry?

– Jednak jacyś wypłyneli, skoro są mapy, choćby i niedokładne...

– Czyż musieli płynąć dokładnie tym samym szlakiem, co my?

Rapis w zamyśleniu kołysał nogami. Odwrócił głowę.

– Masz chyba rację, ale... – Przechylił się w bok i huknął pięścią w stół. – ...ale ta pogoda doprowadza mnie do szału! Słyszał kto kiedy o czymś takim na Bezmiarach?

Teraz zamyślił się z kolei Rrodan.

– Bezmiary... Coż my w końcu o nich wiemy?

Co za bzdury mi tu opowiadasz?! Pytam: słyszałeś kiedy o takiej pogodzie?

– Nie, A słyszałeś kiedy o ptakach wielkich jak okręt? – odparował Rrodan.

Rapis zamilkł. W samej rzeczy, nie słyszał o nich nigdy. A przecież – widzieli je.

Z westchnieniem spuścił nogi na podłogę.

– Wydadź rozkazy. Zawracamy. Kurs na Bane.

– Za wcześnie. Cesarskie okręty z pewnością jeszcze kręcą się po morzu.

– Niech Moc nam pozwoli spotkać choć jeden z nich.

– Oszalałeś?

– Nie – gdy Rapis mówił aż tak cicho, oznaczało to, że zaraz zacznie krzyczeć.

Rrodan otworzył usta, ale kapitan chwycił go za ramie.

– Słuchaj, Rrod, to chyba jakiś zły czar, czyjaś złośliwa a silna wola powstrzymuje nas od walki, napawa ostrożnością... tchorzostwem. Tak, tchorzostwem. Cesarskie okręty, pomyśl, Rrod, przecież to śmieszne! Dawniej zrabowalibysmy ze dwa, przeszliźneli się między pozostałymi, po to tylko, by niespodzianie znowu doskoczyć z boku i spalić następny. Bywało tak przecież, bywało! Pamiętasz, pływaliśmy jeszcze na „Mewie”, scigala nas Flota Dartańska. I co? Zatopiliśmy jeden okręt, zdobyli drugi, a potem spaliliśmy port w Lla. A dziś? Na widok dwóch galer – słyszysz, nieuzbrojonych galer Floty Armektu robimy zwrot i miast na północ płyniemy na południowy zachód. I to jak! Cztery dni temu znikły nam z oczu brzo gi ostatnich otaczających Garre wysp, a my wciąż ucieka-

my! Jeszcze dwa-trzy dni i spragniona łupów załoga podniesie bunt. To świeży zaciąg, marzyli o stosach klejnotów i złota, o walce, WALCE! – słyszysz Rrod? A my uciekamy.

– Uspokój się, Rap.

– Uspokój? Ależ człowieku, jestem tak spokojny, że mógłbym niańczyć strażników, bo chyba już do tego tylko się nadaje. Ty mówisz „uspokój się”?

– Uspokój się. Masz trochę racji, ale nie we wszystkim. Posłuchaj.

Prawie siłą posadził Rapisa w fotelu. Oparł się o ścianę.

– Masz rację, że ostatnio staliśmy się zbyt ostrożni – przyznał. – Ale w tym jednym, jedynym wypadku ostrożność jest uzasadniona. Nie uciekamy przed parą małych okrętów i ty wiesz o tym. Cóż dwie bezbronne w końcu galery mogłyby robić poza pasem Wysp? Same? Nie, Rap, za nimi stoi cała Flota Armektu, może nawet wszystkie jego Floty... To oblawa, Rap, oblawa na nas, na Kitasa, na Brorroka, na Alagere. Recze...

– Wiec dobrze, Rrod, stały za nimi wszystkie Floty Armektu, niechby i wszystkie Floty Imperium. Ale inne okręty były daleko – tak czy nie? Mogliśmy pozwolić sobie na zatopienie tych galer. Nie mam racji?

Wstał.

– Postanowiłem. Jeszcze dzisiaj bierzemy kurs na Bane.

– Przemysł to jeszcze.

– Przemyslałem. Mamy pod pokładem osiemdziesięciu sześciu niewolników...

Osiemdziesięciu trzech.

– Właśnie. Sam widzisz. Za tydzień nie będzie już z czym płynąć do Bany. A nawet jeśli połowa z nich przeżyje, w co wątpię, w jakim będą stanie? Nie zamierzam odstępować łupu za poidarmo.

Rrodan myślał.

– Ty dowodzisz tym statkiem – powiedział wreszcie. Wyprostował się. – Czekam na rozkazy.

– Kurs na Bane. Wydać ludziom po pół kubka wódki. Czyścić broń. Rokona i tego drugiego...

– Lastene.

– Właśnie. Wypuścić z karceru. Po dziesięć batów na głowę. To prezent dla załogi.

– Słucham, kapitanie.

Trzasnęły drzwi. Rapis splótł ręce na plecach i szerszym krokiem przemierzył kajutę. Podniósł z podłogi mapy. Rozłożył je na stole i zmarszczył brwi. Oczywiście – prąd, który niosł teraz statek, nie był na nich zaznaczony.

II – Słyszeliście, ojcie Karder, że ludzie z Akeru dotąd nie znają żagla?

– A jakże, synu, a jakże. To dzicy.

Rapis pochylił głowę i przez wąskie, niskie drzwi wsunął się do komorki cieśli.

– W porządku, chłopcy – rzekł – pogadaliście sobie, a teraz jazda na pokład. Drugi oficer ma dla was robotę.

Stary, przestraszony pojawieniem się kapitana, szybko powstał z cuchnącego barłogu. Za jego plecami błyszczały w polmroku oczy kilkunastoletniego wyrostka.

– Na pokład, powiedziałem! I przysłać mi tu bosmana.

Marynarze wypadli na zewnątrz, zadudniły bosa plety na wąskich stopniach. Potem cisza. Rapis podszedł do migoczącej w kącie pomieszczenia świecy i uniósł ją w górę. Z obrzydzeniem skrzywił twarz.

Minutę później przybiegł bosman

– Słucham, Panie?

Rapis odwrócił się powoli.

– Słuchaj, Dorol, co jest, do cholery? Myślisz, że jak pływamy razem od paru lat, to co, to już nie musisz nic robić? Co, wszystko masz w dupie? Jak tu wygląda? Przed chwilą byłem w kubryku – to samo. Zaraza na statku nie jest potrzebna. Jeśli nie potrafisz wytłumaczyć tej zbieraninie, gdzie znajduje się okrętowa latryna – wyrzuć za burty. I raz na tydzień mają być wietrzone koce i hamaki.

Ruszył ku drzwiom. Bosman skwapliwie zszedł z drogi.

Jeszcze dziś zgłosisz się do magazyniera po latarnie. Ci tuśi postawili sobie świeczkę. Tobie też jedną postawie, jeśli jeszcze raz zobaczę na statku otwarty ogień. A

ANDRZEJ WRONSKI





to – kopnął leżący na podłodze nóż – jest broń. Nie powinna być zardzewiała, Dorol. Naprawdę. A teraz won.

Bosman znikł jak zdmuchnięty. Rapis zgasił świecę i wyszedł na pokład. Zaczepił świeżego powietrza.

Świtało. Rozpięte sprawnie żagle z hukiem łapały wiatr. Chwała Mocy! Myślał, że ta przeklęta cisza już nigdy się nie skończy.

Pokrzykiwanie i przekleństwa majtków wywołały uśmiech na pochmurnej zwykle twarzy. Gromko okrzyknął marynarza na oku.

– Pusta, Panie kapitanie!

– Oczy otwarte!

– Tak, Panie kapitanie!

Okręt nabierał chyżości, lekko pochylony prul fale jak legendarny wąż morski, którego imię nosił. Wiał rzadki w tych okolicach południowo-zachodni wiatr, szparko płynął forewinda wprost na północny wschód. Ramadan pewnie trzymał ster.

– Do stu gromów, Rap! Wcześniej dzisiaj wstałeś!

– Jak widzisz, Rrod. Muszę cię jednak rozczarować: od trzech dni wcale nie sypiam.

Ruszyli ku rufie. Rrodan otworzył drzwi swojej kajuty.

– Wejdiesz?

– Czemu nie?

Weszli. Rapis przeskokczył porzucone na podłodze mapy. Spojrzał na Rrodana. Roześmieli się.

– Jak widzisz i ja nie sypiam ostatnio – powiedział oficer. – Staralem się odnaleźć górny bieg tego prądu, który dwa lata temu pociągnął nas aż pod Kirre.

– I co?

– A jak myślisz?... Nic.

Zalotano do drzwi.

– Wejść!

– Panie... wrak na horyzoncie!

Oparty o ścianę tuż przy drzwiach Rapis ukazał się marynarzowi. Rrodan wstał z koł.

– Kapitan... to dobrze – ucieszył się majtek. – Samon krzyczał z gniazda.

– Słyszałem. Chodźmy, Rrod.

III Widok był straszny. Oniemiali ze zgrozy marynarze tłoczyli się wzdłuż sterburty. Zimny już, wypalony doszczętnie wrak dryfował powoli z wiatrem na północny wschód. Na wytrawionej ogniem burcie widniał ledwie czytelny napis „Północ”. Były to resztki wielkiej i dumnej niegdyś kogi Alagery. Ona sama – Rapis poznał ją po szkarłatnej odzieży – wisiała na obłamanych i osmalonym kawałku rei. Podobnie kołysała się z wiatrem ta część jej załogi, która uniknęła mieczy i włóczni strażników morskich. Trupi zaduch dolatywał aż na pokład „Weża Morskiego”.

– Miałeś rację, Rrod – powiedział niegłośno Rapis. – To była oblawa.

– Chyba nie zostawimy ich tak... – powiedział któryś z marynarzy. – Przecież to... nasi.

Rapis oderwał się od relingu.

– Obsługa do dział!

Zakotłowało się na pokładzie. Kanonierzy w mig zajęli stanowiska.

– Ognia!

Powietrze rozdarł szereg potężnych, prawie jednocześnie grzmotów. Wielkie, kamienne kule z łoskotem uderzyły w zniszczoną burzę, wybijając w niej kilka ogromnych dziur. Zgruchotały wrak „Północy” ciężko jak kamień, bez żadnych wirów i bulgotu runął w głebiny Bezmiarów.

– Morze wzięło... – rzekł Rapis.



Tego samego dnia wieczorem stojący na oku marynarz obwołał ziemię. To była Garra, a raczej jedna z przyległych wysepek.

Nie przez przypadek Rapis skierował okręt w jej stronę. Sprawdził – i jego przewidywania: niewolnicy, których wioził na handel, w większej części powymierali; ładownia świeciła pustką.

Tę wysepkę Rapis znał dobrze, kilkakrotnie uzupełniał na niej zapasy żywności. Miała niewielki port, w którym prócz kryjerek stacjonowały zwykle dwa lub trzy małe okręty strażników morskich. Dla „Weża Morskiego” nie były one żadnym zagrożeniem, co w końcu mogły poradzić trzy stare jak świat szniki przeciw największej pływającej po Bezmiarach karace? Dlatego gdy Rapis zawijał do portu, strażnicy zwykle siedzieli zupełnie cicho, udając, że ich w ogóle nie ma i ciesząc się, jeśli odpłynął nic nie spaliwszy. Kilkakrotnie już urządzano na niego zasadzki, ale żołnierzom brakło szczęścia: przyplwał wtedy, gdy nikt go nie oczekiwał, by potem przez rok nie pokazać się ani razu.

Zwykle przybijał do przystani za pomocą szalup, tym razem jednak zależało mu na czasie, poza tym chciał uniknąć kłopotliwego ludzkiego transportu. Wiedział, że port jest dość głęboki, by przyjąć nawet tak wielki okręt jak jego.

Był środek nocy, gdy wpływali do przystani. W strzegącej jej wrót wartowni zabłysło wąte światelko; z brzegu zabrzmiał okrzyk:

– Ktoś ty?!

Cisza. Olbrzymia bryła okrętu naparła na belki pomostu. Marynarze rzucili cumy.

Ktoś ty?!

Rzucono trap. Tuż przy nim jeden z majtków postawił pionąca maźnicę ze smołą. Trap rozjechał się pod uderzeniami marynarskich nóg. Każdy z zabijaków niósł pochodnię, którą zanurzał w maźnicy. Jeszcze chwila i dwie setki ruchomych ogni rozświetliły cały port. Natarczywy głos z wybrzeża ucichł, w leżącej nie opodal włosce zaśnity migoczące światelko w oknach. Nagle huknęły wszystkie lewoburtowe działa. Chwile potem z pokładu zabrzmiał silny, wyraźny głos:

– Wieśniaków żywcem, śmierć strażnikom! Naprzód!

Od strony zgruchotałej salwą z bliskiej odległości strażnicy dobiegli odgłos pojedynczego wystrzału z ciężkiego działa. Zawirowały w powietrzu pływające szmaty i grube łańcuchy. Strzał był celny, przesyczone smołą węże spadły na pokład okrętu. Ugaszono je w mgnieniu oka, po czym rozległa się druga salwa, tym razem ze średnich, rejteradowych dział karaki. Gromada półdzikich marynarzy runęła ku rozbitej pociskami wartowni. Na czele zgrai biegł Rapis.

Kilkudziesięciu strażników postanowiło drogo sprzedać swe życie. Nadbiegający ludzie Rapisu ujrzeli nagle w półmroku zwarty, równy szyk wyćwiczonej piechoty, stanowiącej uzupełnienie załóg stojących w porcie okrętów. Większość wyrwana ze snu, bez zbroi, czasem w groteskowych szlafmycach i koszuliach – przecież prezentowali się groźnie. Od strony przystani rozległ się nowy huk: to „Wąż Morski” prowadził bezlitosną walkę z załogami cesarskich okrętków, odpowiadającymi ogniem ze swych pojedynczych, dziobowych dział. W tej samej chwili, jak na umówione hasło, pierwszy szereg żołnierzy przykleknął, celując z kuszy; żołnierze w drugim także unieśli broń do oka. Świsnęły złowrogie bełty, grupa piratów zatrzymała się nagle, zwinęła w miejscu jak raniony śmiertelnie rekin. Nad jękami bólu i charkotem konających zapanował głos Rapisy:

– Bij! Adgared, adgared!

Adgared! – podchwycili z bojową wściekłością inni. Żołnierze nie zdolali powtórnie naciągnąć kuszy, trzykrotnie liczniejsza dzika zgraja wpadła na nich z zaciekleścią stada wilków. Szczeknęły krzyżowane miecze, gdzieś zaśnity w migotliwym blasku deptanych pochodni grot włóczni i krzywe ostrze szerokiej pirackiej szabli. Nagle w środku linii żołnierzy zakotłowało się coś gwałtownie i w pobliżu ostatnich gasnących iskier zapłonął topór Rapisy. Linia strażników pękła, rozpadła się na dwie osobne grupy, które natychmiast otoczono. Część żołnierzy wpadła w panikę, inni walczyli każdy na własną reke, ale tak sprawnie, że trup po stronie piratów ścielił się gęsto. Stłoczono ich jednak, przemieszczano... Walka zmieniła się w rzeź.

Tymczasem druga setka piratów pustoszyła wieś. Tu dowodził Rrodan. Gdy Rapis docinał niedobitki żołnierzy, pływały już niepewnie pierwsze domy. Co chwila grupa zbiorów wpadała do jakiejś chałupy, skąd natychmiast dobiegały krzyki, płacz i wycie rybaków. Żadni krwi majtkowie rzucali się pośród domów jak wściekli, psy ujadły na łańcuchach, z ogarniętego pożarem kurnika wysypały się otumanione dymem kaczki i kury, powiększając jeszcze zamieszanie. Tam, gdzie wieśniacy stawiali rozpaczliwy opór – zabijano bez litości. Krew płynęła strumieniami, przywykli do operowania bronią, nie-

Właśnie przetransportowałem go z Północnej Karoliny do Nowego Jorku, żeby popróbować kariery na Broadwayu, kiedy będąc przypadkiem na poczcie, zobaczyłem paczkę adresowaną do niejakiego Ryszarda Lee, gościnnie w Gasthaus Steinbauer. Paczka spoczywała na stoliku za urzędnikiem w okienku. Dzięki ci, Boże, za małe europejskie urzędy pocztowe! W trzy sekundy wszystkie torby i notatki były już w moim nowiutkim *deux chevaux* i pedzłem z nimi ku nizinom tak szybko, jak tylko mój żabomobil był do tego zdolny.

Blisko trzy miesiące dekowałem się w Stresa, bo było tam pięknie i bezludnie, a poza tym, tam właśnie odpoczywał porucznik Henry ze swą Catherine przed przeprawą na drugi brzeg jeziora Maggiore do Szwajcarii.

Idiotyzmem było wysłać w pogoń za mną Ryszarda Lee, ale może i w tym tkwił jakiś cel. Korzystając z nieobecności Ryszarda, galenczyści chcieli być może oczyścić Galen do reszty – nigdy więcej prawdziwych ludzi! Nigdy więcej normalnych w Mieście Marshalla France'a! Anna nareszcie nie musiałaby chodzić do łóżka z panem Lee. Kto wie, czy nie sama Anna będzie następna? Ojciec może ją przecież odtworzyć, i to w udoskonalonej wersji – nowy, doskonalszy model Anny. Nigdy się nie zestarzeje, nigdy nie zachoruje. Może dlatego właśnie pozbył się Ryszarda – jeżeli nawet coś mu się przydarzy, pan i władca stworzy nowego.

To zresztą nieważne. Zaczailiśmy się na niego w Zermatt i załatwiliśmy Ryszarda w bocznej uliczce, w samym środku nocy.

- Siemasz, Ryszard!

- Tom! Tom Abbey! Coś podobnego!

W reku trzymał długi, stalowy nóż, który starał się ukryć tuż przy boku. Z uśmiechem rozejrzał się na obie strony, na wypadek, gdyby w pobliżu mieli się przypadkiem kręcić moi kumple i dał krok w moją stronę.

Kiedy znalazł się o pięć albo sześć stóp od nas, Papcio wyłonił się z mroku za moimi plecami i jakby nigdy nic zagadnął mnie przez ramię:

- Przytrzymać ci kapelusz, synku?

Zarzałem ze śmiechu i wystrzeliłem w sam środek smutnej, pełnej niedowierzania gęby Ryszarda.

KONIEC

Rozdział VI

Przy drzwiach czekała na mnie jakaś kobieta. Uśmiechała się. Złapała mnie za rękę i ścisnęła z całej siły.

- Dzień... tego... witam panią.

- Nie wie pan, kim jestem? - W jej uśmiechu czaił się cień szalenstwa. Ciekaw byłem, gdzie się podziewała Anna.

- Istotnie, nie wiem, bardzo mi przykro. - Spróbowałem uśmiechnąć się przeproszająco, ale nic z tego nie wyszło.

- Hau-hau. Wrr... - Złapała mnie za ramiona i przytuliła.

- Pańcia?

- Zgadł pan, Pańcia! Tylko trochę zmieniona, prawda?

- O Boże! To znaczy, że naprawdę...

- Tak, Tomaszu, mówiłam ci przecież, że to koniec. Wróciłam z tamtego życia i znów jestem sobą. So-bą. So-bą. So-bą. - Poklepała się z dumą po wydatnym biuscie. Promieniowała niepohamowanym uśmiechem.

- Nie wiem... Rany Boskie, nie wiem, co powiedzieć. Moje... tego... najserdeczniejsze gratulacje. Bardzo się cieszę, że pani się cieszy. Tylko, że...

- Rozumiem, rozumiem. Proszę wejść. Anna jest w salonie. Chciała, żebym to ja panu otworzyła i zrobiła niespodziankę.

Przelknąłem ślinę i odchrząknąłem. Mimo to mój głos zabrzmiał jak pociągnięcie twardą kredą po tablicy.

- To... to istotnie spora niespodzianka.

Anna siedziała na kanapie i piła kawę z grubego porcelanowego kubka. Zapytała, czy i ja napiłbym się kawy, a kiedy odparłem, że owszem, zerknęła znacząco na Pańcie, a raczej na Wilme, która tanecznym krokiem wybiegła z pokoju po drugą filiżankę.

- Czy nadal niepokoi cię to, co ci powiedziałam?

- Saxony wie o nas, Anno.

Usiadłem w fotelu na wprost niej.

Podniosła kubek i oburącz przytknęła go do ust. Popatrzyła na mnie znad krawędzi kubka.

- Jak zareagowała?

- Trudno powiedzieć. Typowo. Półporządnie, półwstępnie. W końcu zaczęła płakać, ale nie były to żadne łkania i histerie. Zdaje mi się, że Saxony to twarda sztuka.

- A ty, jak się czujesz?

Sączyła kawę, ale nie spuszczała mnie z oka. Cienka smużka pary z kubka uciekła pospiesznie wraz z jej oddechem.

- Jak się czuje? Szmatławo. A co myślałaś?

- Przecież nie jesteś jej mężem.

Skrzywiłem się i zabębniłem palcami po oparciu fotela.

- Tak, wiem, nie jestem jej mężem, nie mam wobec niej żadnych zobowiązań, oboje jesteśmy wolnymi ludźmi... Tysiąc razy wykladałem to sobie w myślach, a mimo to czuję się jak szmata.

Wzruszyła ramionami i oblizała krawędź kubka.

- W porządku. Chciałam tylko...

- Coś ci powiem, Anno, nie mieszaj się w to. To moja sprawa i sam ją muszę rozwikłać.

- Częściowo także moja, Tomaszu.

- Okej, niech ci będzie: to nasza sprawa. Ale umówmy się, że na razie poczekamy i zobaczymy, co się stanie, dobrze? Całą noc spędziłem na trudnych rozmowach i wolalbym nie zaczynać dnia od tego samego. Zgoda?

- Zgoda.

Żadne z nas nie odezwało się ani słowem aż do nadejścia mojej kawy. Przypomniłem sobie, że kobieta, która mi tę kawę podaje, jeszcze poprzedniej nocy była psem. Kiedy stawiała przede mną kubek, dyskretnie pociągnąłem nosem, żeby sprawdzić, czy pachnie jak pies.

Anna coś powiedziała, ale nie dotarło do mnie. Przerwałem obwąchiwanie Wilmy i spojrzałem na Anne.

- Przepraszam, nie dosłyszałem.

Anna zwróciła się do Wilmy.

- Przepraszam cię, Wilmo, chcemy chwilę porozmawiać w cztery oczy.

- Ależ naturalnie, Anno. Na kolację będzie zapiekanka. Jak to frajda znów móc gotować. Nigdy nie myślałam, że coś takiego powiem.

Wyszła. Stukot jej wysokich obcasów przypominał odgłos psich pazurów na parkiecie.

- To prawda, Anno? O Wilmie?

- Tak. Ojciec wściekł się przed laty na Inklerów, bo maltretowali swoje dzieci. Nie mógł znieść, żeby ktoś krzywdził dziecko. Kiedy się dowiedział, że Inklerowie biją syna, zamienił ich w psy. Nie patrz na mnie z takim niedowierzaniem, Tomaszu. On ich przecież stworzył – mógł z nimi robić co chciał.

- I zechciał zamienić ich w bullterierów?

- Tak, do śmierci Gerta Inklera. Wówczas Wilma miała się na powrót zamienić w kobietę. Ojciec nie życzył sobie, żeby żyli dalej razem jako para ludzi. Jako para psów specjalnie mu nie wadzili. Nie znosił psów.

Anna zachichotała drwiąco i rozpostarła ramiona na oparciu kanapy.

- Czy wobec tego wszystkie zwierzęta w Galen są ludźmi?

- Wiele. Ale mówić umieli tylko Kulfon i Pańcia. Ojciec specjalnie tak robił. Pamiętaj, że psy mogą być w miejscach niedostępnych dla ludzi i robić to, czego ludzie nie robią. Właśnie dlatego, kiedy zjawiłeś się w Galen, Kulfon zamieszkał w domu Gaseczki Fletcher. Normalnie oboje, on i Pańcia, mieszkali tu ze mną. Przyznaj się, nie wiedziałeś nawet, że Kulfon was szpieguje.

Przypomniły mi się wszystkie jego poranne wejścia do pokoju, spanie z nami w nocy na jednym łóżku. Patrzył nawet, jak się kochaliśmy.

- Wszystkie bullterierzy w mieście to ludzie. Ojciec twierdził, że być bullterierem to jeszcze najmniej-sza hańba, bo one są takie komiczne, i że jeżeli już coś musi się koło nas petać, niech to coś przynajmniej interesująco wygląda.

Przejechałem dłonią po czole. Byłem zdumiony spokojnym tonem Anny. Chciałem nawet coś powiedzieć i wiedziałem co, ale nie było jak. Kawa w pewnym stopniu przywróciła mi głos.

- No dobrze, ale skoro mu się nie podobali, to dlaczego ich po prostu nie starł gumką? Dlaczego ich nie wykonał za pomocą zwykłej gumki do atramentu? O moją Boże, sam już nie wiem, co mówię. Dlaczego, do jasnej cholery, kazałaś psu, żeby mnie szpiegował?

Wydzwignąłem się z fotela i nie patrząc na nią przeszedłem do okna.

Mała dziewczynka w żółtej pelerynie przejechała ulicą na rozklekotanym, odrapanym rowerze. Ciekawe, kim ta była – może kanarkiem? A może gaźnikiem samochodowym? Czy też dla odmiany zwykłym dzieckiem?

- Tomaszu?

Rower znikł za rogiem. Nie miałem ochoty na dalszą rozmowę z Anną. Miałem ochotę zasnąć na dnie oceanu.

- Tomaszu, czy ty słuchasz, co do ciebie mówię? Czy wiesz, dlaczego pozwalam ci pisać książkę? Dlaczego udostępniam ci wszystkie informacje o ojcu?

Odwrociłem się do niej. Dzwonek telefonu rozdzielił nas wrzaskliwą kurtyną. Anna nie podnosiła słuchawki. Odczekaliśmy pięć – siedem dzwonek, telefon umilkł. Pomyslałem, że to mogła być Saxony.

- Tam, na moim biurku, leży czarny notes. Zajrzyj na stronę 342.

Notes był całkiem inny niż ten, który oglądałem poprzedniej nocy. Był wielki. Musiał mieć z pięćset albo i sześćset stron, a każda strona mierzyła jakieś czterdzieści cali wysokości. Przerzucałem kartki od

Nie wiedziałem, ile mam czasu, ale wiedziałem, że muszę wykorzystać każdy ułamek sekundy. Samochód stał o parę kroków dalej. Wszystkim władał ogień. Już siedziałem za kierownicą, żółty blask tańczył po desce rozdzielczej. Pomyslałem, pamiętam, że przez jakiś czas nie będę musiał włączać świateł – tak było jasno. Wrzuciłem wsteczny bieg, powoli wycofałem się ulicą. Zbiornik oleju? Kolejna laska dynamitu? Patrząc w lusterko wsteczne, widziałem rozmaite przedmioty unoszące się nad domem wysoko i w zwolnionym tempie.

EPILOG

Widziałem niedawno bullteriera. Nie był to pierwszy bullterier, jakiego spotkałem od tamtego czasu, ale pierwszy, na widok którego ani nie ścierpiał mi skóra, ani nie zacząłem wiać. Był biały w czarne łaty i przypominał Piotrusia Psa z cyklu komediowego „Nasza paczka”. Siedziałem przy zeliwnym stoliku na zewnątrz kawiarni. Pilem pastis i pisałem pamiętnik.

Samochód mi wysiadł, ale na szczęście w miasteczku działała stacja obsługi citroena, z jednoosobowym personelem męskim w niebieskim berecie, palącym żółtawe Gitanes. Tak czy owak, nie było zle zatrzymać się w miejscu na parę dni. Podczas podróży ze Strasbourga kilka razy przytapała nas burza, a kierowcą byłem przeważnie ja. Ledwo jednak wjechaliśmy do Bretanii, niebo się wypogodziło, a słońce rozścieliło przed nami powitalną wycieraczkę.

Pies wabił się Bobo i należał do właściciela kawiarni. Przyglądałem mu się dobrą chwilę, po czym wrociłem do pamiętnika. Od czasów Galen dość systematycznie prowadziłem rejestr wydarzeń.

Pamiętnik nabyłem w Burke, stan Michigan. Pierwszy wpis liczył mnóstwo stron. Był nieskładny, chaotyczny, paranoiczny, przepełniony klimatem „Już po mnie idą!” Ten lek nie opuścił mnie do końca, ale po trzech latach człowiek potrafi do wszystkiego przywyknąć, nawet do strachu. Nie wiem, jak długo trwało, zanim się pokapowali, że jednak nie zginąłem w eksplozji, ale od początku wiedziałem na pewno, że kiedy tylko to stwierdzą, puszczą się za mną w pogoń.

Wialem więc, jakby mnie ścigał sam diabeł, na chwilę zatrzymałem się w Detroit po paszport, po czym przesadziłem rzekę wprost do Kanady. Przez krótki czas pracowałem w księgarni tanich edycji w Toronto, po czym skontaktowałem się ze swoim bankiem w Ameryce i poprosiłem o transfer wszystkich oszczędności do Kanady. Kiedy pieniądze nadeszły, rzuciłem pracę i wsiadłem w samolot do Frankfurtu w Niemczech. Moja dalsza trasa? Frankfurt, Monachium (w sam raz na Oktoberfest), Salzburg, Mediolan, Stresa, Zermatt, Grindlwald, Zurych, Strasbourg, Dinard....

Moja matka nie rozumie, co się dzieje, ale jako równy kumpel nie zadaje pytań. Kiedy ni stąd, ni zowąd dostała ode mnie telegram z prośbą o wszelkie dostępne materiały biograficzne na temat ojca, w dwa tygodnie później przysłała mi na małą, śmieszna pocztę w Altensteig pięknie opakowaną paczkę, w której znalazłem książki i artykuły, a także pozostałe scenopisy, które, jak widać, przez wszystkie te lata skrzętnie przechowywała.

Zacząłem pisać w Niemczech, zimą, i pracowałem nad książką bez chwili przerwy, mieszkając w małym uczęszczanych kurortach górskich. Tylko pisanie uwalniało mnie za dnia od myśli o Saxony. Mam już za sobą płacz i nienawiść do siebie za to, że jej nie uratowałem, ale brakuje mi jej bardziej niż cokolwiek na świecie. Właściwie myślę, że bardziej za nią tęsknię, niż ją kochałem. Jeżeli wyznanie to brzmi dziwnie, to bardzo mi przykro, ale chwilowo nie stac mi na nic lepszego.

Zacząłem pisać również dlatego, że potrzebowałem konkretnego zajęcia na okres podejmowania decyzji, co dalej ze mną będzie. Tylko jedno wiedziałem na pewno – że któregoś pięknego dnia, w jakiejś Holandii czy Grecji, spotkam ni ślad, ni zowąd znajomą galenską gębę z diabelskim uśmiechem. Jak długo będą mnie ścigać? Do końca życia? Czy tylko do chwili upewnienia się, że nie mam zamiaru mścić się na nich za śmierć Saxony? Zacząłem pisać biografie ojca, żeby odsunąć nieustanny lek, a także dlatego, że Saxony uważała, że dobrze by mi to zrobiło. No i dlatego, że sam chciałem.

W ostatnim roku długich wpisów w dzienniku było niewiele. Raczej krótkie zapisy radości lub depresji, które czyniłem pośpiesznie, w chwilach wolnych od życia Stephena Abbeya, gwiazdy srebrnego ekranu.

Won sosny i spalin towarzyszyła mi przez całą drogę do przejazdu kolejowego, którą przemierzałem już setki razy. Spojrzałem na zegarek. Była piąta dwadzieścia jeden. Dojście do stacji uliczką równoległą do torów mogło mi zająć pięć do ośmiu minut. A więc ledwo-ledwo. Ryzykowałem, ale było to ekscytujące i już czułem, jak serce wali mi pod żebrami.

Skreśliłem w prawo i ulicą Hammond skierowałem się na wschód, co chwila przechodząc w krótki sprint. Na chodnikach leżało trochę śniegu, czułem go pod podeszwami, jakbym siedł po ostrych kamkach.

Sapałem głośno, a moje ręce pracowały u boków jak tłoki parowozu. Co oni tam robią? Jak będą wyglądali do kładnie o piątą trzydzieści? Co się...? I wtedy usłyszałem to z oddali. Zatrzymałem się i mgła zasnęła mi oczy. Dwa krótkie gwizdnięcia, a potem jedno długie. Długie, które zawisło w powietrzu jak sygnał zwierza nie z tej ziemi. Zeskoczyłem z chodnika na jezdnię. Ponownie rozległ się gwizd, tym razem bliżej, właściwie już prawie na stacji Galen. Przecież pociągi pasażerskie od dawna nie zatrzymują się w Galen... Ulica kończyła się ślepo, ale przesadziłem kamienny mur i pedziłem dalej. Nareszcie zobaczyłem stację. Była rzeszście oświetlona, jak do kręcenia filmu. Skąd ta iluminacja? Na peronie klebiły się setki ludzi. Byłem za daleko, żeby rozróżnić twarze, ale rwetes panował niebawymy, wszyscy krzyčeli jednocześnie. Nagle ktoś wrzasnął: „Jest! Jest!” – i wszystkie głosy gwałtownie umilkły. Z czerni przeciwnielego końca stacji, ze wschodu, od strony Nowego Jorku, Oceanu Atlantyckiego i Austrii, wynurzyło się białozółte światło, a kiedy przystanąłem w biegu, zobaczyłem, jak na stację włącza się lokomotywa. Stałem i dygotałem na całym ciele. Parowóz był bardzo stary i bardzo czarny. Buchał parą z komina i siał snopy iskier. Wtarabanił się na stację, holując srebrzyste wagony pasażerskie.

Pociąg stanął. W absolutnej ciszy słychać było tylko syk i dzwonki parowozu.

Jak przez mgłę zobaczyłem konduktora, który schodził na peron. Tłum rzucił się lawą do jednego wagonu.

I wtedy nad dworcem przeszła fala niewiarygodnego gorąca. Widziałem, jak nadciąga, a kiedy mnie minęła, odczułem ją jak mocny powiew upalnego letniego powietrza. Dokładnie tak. Było to przyjemne. Pamiętam, jak pomyślałem, że to bardzo przyjemne.

Ludzie coraz ciasniej tłoczyli się koło pociągu. Harmider użył na nowo.

Nagle za plecami usłyszałem huk eksplozji. Huk rozdarł niebo, a ja mimowolnie odwróciłem głowę, żeby zobaczyć, co się dzieje. Wielka chmura płomienia barwy ochry wykwiła nad miastem i zatrzymała się na wysokości dachów i koron krzew. Pojedyncze płomienie strzelały i znikwały tu i ówdzie.

Spojrzałem na stację: tłum otaczał kogoś na peronie. Nikt nie zwrócił uwagi na eksplozję. Pociąg gwizdął dwa razy i zabrał wagony w swoją stronę.

Pedziłem z powrotem ulicą Hammond, pedziłem do domu. Słyszałem gwizd pociągu, widziałem płomienie na niebie.

Pociąg nabierał szybkości, słyszałem go tuż za sobą, kiedy minąłem przejazd i skreśliłem w lewo, w swoją ulicę. Zobaczyłem ogień i poznałem dom. Chciałem na chwilę przystanąć, popatrzeć i ogarnąć myślą to, co się działo. Chciałem skorzystać z elementarnego prawa człowieka, któremu pali się dom, któremu ktoś zastrzelił żonę, któremu samochód zabił dziecko – z prawa skazanego do przyjrzenia się czekającej go przyszłości. Ale nie zatrzymałem się. Słyszałem, jak za moimi plecami przejeżdża pociąg i pedziłem dalej. Dom płonął jak zimne ognie.

– AN-NO! AN-NO! ALE TY JESTEŚ CWANA! JAK CHOLERAAAA!

Wiecej nic od nas nie chciała. Wystarczyło zmusić nas do napisania wstępnej szkicu, który byłby tak dobry, że nie wymagałby już poprawek ani przerobek. Wystarczyło kazać nam napisać biografie do chwili przybycia Marshalla France’a do Galen. Wtedy mogli wyjść na stację i sprawdzić, czy to działa, czy pociąg przyjedzie o piątą trzydzieści... czy ON przyjedzie o piątą trzydzieści. Gdyby nie przyjechał – mała strata. Gdyby przyjechał – pozostawało pozbyć się skrybów, pozbyć się dowodów. Już niepotrzebni. Ojciec wrócił do domu.

Stałem po drugiej stronie ulicy i patrzyłem, jak dom płonie. Bliżej podejść nie mogłem. Na wszystkie strony leciały przedmioty, niektóre jeszcze z pióropuszem ognia: poduszka, krzesło obrócone do góry nogami, książki. A przy furtce leżały niekompletne zwłoki. Miały na sobie postrzeżone resztki jaskrawo czerwonej kurtki, którą kupiłem w domu towarowym Lazy Larry.



konca. Wszystkie zapisane były kaligrafią France'a. Na stronie 363 kartki uciekły mi spod lewego kciuka aż po 302, więc musiałem wrócić.

Kolor atramentu zmieniał się kilka razy na przestrzeni zeszytu: na stronie 342 miał barwę zjadliwie zieloną. *Problem polega na tym, że to, co stworzyłem w Galen, może się okazać wyłącznie produktem żywej wyobraźni. A zatem możliwe, że wraz z moją śmiercią, umrze całe Galen. Jest to myśl intrygująca i straszna zarazem. Muszę jednak brać pod uwagę taką możliwość i odpowiednio się przed nią zabezpieczyć. Cóż by to była za strata!*

Zamknąłem zeszyt, zakładając to miejsce palcem wskazującym i spojrzałem na Anne.

- Bał się, że po jego śmierci Galen zniknie?
- Nie, nie Galen jako miejsce, do niego należeli tylko ludzie i zwierzęta. Miasta nie stworzył, tylko ludzi.

- W takim razie widać, że nie miał racji, prawda? Wszyscy żyją dalej w najlepszej.

Gdzieś w oddali zabuczał pociąg.

- Owszem, chociaż nie całkiem. Ojciec przed śmiercią napisał historię miasta aż do roku trzytysięcznego...

- Trzytysięcznego?

- Tak, dokładnie do roku trzy tysiące cztertnastego. Umarł podczas pracy. Całkiem niespodziewanie. Zdrzemnął się po obiedzie i już nie wstał. To było coś potwornego. Wszyscy mieszkańcy miasteczka bali się, że znikną w chwili, kiedy on wyda ostatnie technienie, więc kiedy już je wydał, a jednak nic się nie zmieniło, szaleliśmy z radości.

- Czytałaś takie opowiadanie Borgesa „Koliste ruiny”?

- Nie czytałam.

- Facet chce stworzyć w wyobraźni człowieka, ale nie człowieka marzeń, tylko prawdziwego, z krwi i kości. Autentyka.

- I udaje mu się? - poglądziła dłonią siedzenie kanapy.

- Tak.

Nawet gąbka ma swój punkt nasycenia. Zbyt wiele doznań, zbyt wiele wydarzeń naraz, wszystkie nie z tej ziemi - mój mózg gotował się jak przy grze w pieciowymiarowe szachy.

Anna poklepała poduszkę, która koło niej leżała.

- Chodź tu, Tomasz, chodź, siadaj koło mnie.

- Nie jestem pewien, czy akurat w tej chwili mam na to ochotę.

- Chce, żebyś wiedział wszystko, Tomasz. Chce być z tobą całkiem szczerą, a przynajmniej spróbować tego. Chce, żebyś wiedział o mnie, o Galen, o ojcu - o wszystkim. A wiesz dlaczego? - obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni i popatrzyła na mnie ponad oparciem kanapy. Jej przekięte piersi spoczyły na miękkim obiciu oparcia. - Jeszcze kilka lat temu wszystko działało się zgodnie z tym, co ojciec napisał. Jeżeli w piątek, dziewiątego stycznia, miał się urodzić chłopiec - to się rodził. Wszystko działało się według „Kronik Galeńskich”. To była utopia.

- Utopia? Czyżby? A co z umieraniem? Czy tutejsi ludzie nie boją się śmierci?

Przymknęła oczy i pokręciła głową. Tępy uczeń znów zadał kretyńskie pytanie.

- Ani trochę, bo śmierć oznacza nicosć.

- Och, daj spokój, Anno, nie wpadaj w ton podniosły i religijny. Odpowiedz mi po prostu na pytanie.

- Złe mnie zrozumiałeś, Tomasz. Pamiętaj, że kiedy umiera ktoś z nich, to nie jest to tak jak ze śmiercią zwykłego człowieka. Kiedy my umieramy, wierzymy, że istnieje jakieś niebo lub piekło. Dla ludzi z Galen ojciec nie stworzył życia pozagrobowego, więc ten problem dla nich w ogóle nie istnieje. On znikają. Puf! - Wyrzuciła rozpostarte dłonie na obie strony, jakby wypuszczała w powietrze roj światełek.

- Raj dla egzystencjalisty, co?

- Owszem, a ponieważ wiedza, że po śmierci nic ich nie czeka, więc i nie martwią się tym. Nikt ich nie będzie sądził ani wtrącał w piekielne czeluście. Żyją, a potem umierają. Skutek jest taki, że większość z nich stara się przeżyć swoje życie jak najszczęśliwiej.

- Ale czy nikt się nie buntuje? Czy przynajmniej niektórzy z nich nie mają ochoty żyć dłużej?

- Oczywiście, są i tacy, ale to nie jest możliwe. Muszą się z tym pogodzić.

- I nikt się nie skarży? Nikt stąd nie ucieka?

- Galencyk, który próbuje ucieczki, umiera.

- Ach tak, rozumiem. Słuchaj...

Roześmiała się i zatrzepotała dłonią.

Chociaż nie znośe przyjąć i spedom towarzyskich, bytem wyjątkowo podeksytowany nadchodzącym wieczorem.

Okolo czwartej po południu, Saxony przerwała prace nad głową nowej marionetki - bulteriera, a jakże - i zabarykadowała się w łazience za murem piany do kąpieli i szamponu.

Próbowałem poczytać Bettelheima „O skuteczności czarów”, ale bez powodzenia. Ciekaw byłem, czy Saxony przepasała się z Geoffem Wiggensem. Potem próbowałem odgadnąć, co to za potrawa pichci się na gorze.

O czwartej czterdzieści pięć, pani Fletcher wyszła z domu, nie zegnając się z nami ani nie zostawiając poleceń w sprawie pieczenia. Patrzyłem na nią, jak szła ulicą, a ledwie zniknęła z pola widzenia, poczułem, że za wszelką cenę muszę być na stacji o piątej trzydzieści i zobaczyć, co oni robią. Mówiłem sobie, że mam wszelkie prawo tam być. Do licha, to przecież przede wszystkim nas powinno się było zaprosić!

Wstałem i podeszedłem do drzwi łazienki. Po chwili wahania wszedłem do środka. W łazience panowała parna szarość, momentalnie spocłem się cały od gorącej wilgoci.

- Sax?

- Słucham?

Wystawiła głowę spomiedzy zasłon prysznicza. Na głowie miała turban z białej piany.

- Sax, postanowiłem zakraść się na stację i zobaczyć, co oni robią. Muszę to zobaczyć.

- Och, Tomasz, nie rób tego, proszę cie. Jeżeli ktoś cie tam przytłapie, wściekną się na całego i...

- Cos ty, nikt mnie nie przytlapie. Zakradnę się tam kwadrans po piątej i na pewno zdąże przed paradą. Pomyśl, Sax, to niepowtarzalna okazja.

Pokiwała na mnie palcem, żebym podeszedł bliżej.

- Kocham cie, Tomasz. Kiedy wyjechałam, myślałam o tobie bez przerwy. Błagam, zrób tak, żeby cie tam nikt nie zobaczył. Byliby wściekli!

Przyciągnęła moją głowę za kark i kąpiąc mi wodą za koszulę pocałowała, bardzo mocno i mokro.

Od poł godziny było już całkiem ciemno, kiedy zamknąłem drzwi i na palcach zszedłem po schodkach, jak rozbójnik z bandy Ali Baby. W pierwszym zetknięciu z nocą pomyślałem, że pewnie znów spadnie śnieg. Nie było tak zimno jak przedtem. Powietrze stało nieruchomo, a niebo miało brązowawy odcień mlecznej czekolady, jaki przybiera zwykle tuż przed opadnięciem pierwszych płatków śniegu.

Rozdział X

Upłynęły przeszło trzy lata, zanim zrozumiałem, dlaczego wtedy nie wrzuciłem Saxony do samochodu i nie nawiałem z Galen, korzystając z tego, że wszyscy wyszli na stację w oczekiwaniu na „przyjazd”.

On mnie o to zapytał któregoś dnia. Siedzieliśmy w Grinwald, na zalanym słońcem tarasie restauracji w środku miasta, skąd patrzyliśmy na góry i szczyt Eiger. Odwróciłem się do niego, ale poranne słońce siedziało mu dokładnie na ramieniu, więc spojrzałem z powrotem na szczyty.

- Bog mi świadkiem, że trzeba było tak zrobić. Jakże to było proste! Ale należy pamiętać, co się działo - nigdy w życiu ani przez moment nie podejrzewałem, że mam dusze artysty - a tu nagle stałem się kims... kims. nie wiem jak to nazwać... kims w rodzaju Prometeusza czy co - wykradałem ogień bogom! Poprzez swoje dzieło, czy też raczej poprzez nasze wspólne dzieło, miało zostać odtworzone życie ludzkie. W dodatku osoba, wespół z którą tego dokonywałem, była moją ukochaną! Kobietą, z którą chciałem zostać do końca życia. Było jeszcze mnóstwo innych powodów. Zawsze są w takich chwilach. Znow byłem bożyszczem Galencyków, co znakomicie wpływało na moje samopoczucie. Nawet Anna robiła, co jej kazałem. Z chwilą, kiedy Saxony wróciła, wydarzenia w mieście przestały się kłębować. Czulem, że jestem niezwykleszy. Dopoki byliśmy razem, nie mogło nas spotkać nic złego. Bo i jakże? Byliśmy, bądź co bądź, nowymi Marshallami France'ami. Mieliliśmy jego siłę. Panowaliśmy nad całym pieprzonym miasteczkiem.

- I ani przez moment nie pomyślałeś... - Zajrzał do swojej filiżanki z kawą, żeby nie wprawiać mnie w zakłopotanie.

- Nie, ani przez ułamek sekundy.

Podniosłem łyżeczkę do kawy i umieściłem ją w filiżance.

Domy po obu stronach ulicy były odświeżone iluminowane ale nie zauważyłem w nich znaku życia. Wszyscy mieszkańcy udali się na stację Galen, szczęśliwi, że chociaż na chwilę wychodzą z domów wszyscy razem, aby odbyć generalną próbę tego momentu w przyszłości, kiedy Marshall France rzeczywiście wróci i obejmie na zawsze dyrygenturę nad ich życiem.

- Mnie to bardziej przypomina program złotu gwiazdowego Ku Klux Klanu.
- Och, Tomaszu, chociaż raz nie bądź cyniczny i wstępnym.
- Masz rację, przepraszam. Ale dlaczego my też nie moglibyśmy wyjść na stację? Skoro już przywracamy, i tak dalej?

Anna przygryzła dolną wargę i spuściła wzrok. Wiedziała, że powie „nie”.
- Chcesz usłyszeć prawdę? Omówiliśmy to już między sobą i wszyscy byłiby wam bardzo zobowiązani, gdybyście zechcieli zostawić nas samych. Czy mówię coś strasznego? Czy cie uraziłam?

Owszem, uraziła mnie, ale rozumiałem dlaczego. Niezależnie od roli, jaką odgrywaliśmy w przywracaniu do życia Marshalla France'a, nigdy nie moglibyśmy w pełni należeć do Galen. Nigdy.

- W porządku, Anno. Wszystko rozumiem.
- Naprawdę? Jesteś tego pewien? Nie darowałabym sobie, gdybyście...
- Nie, naprawdę, nic już nie mów. Wszystko rozumiem. Będziemy siedzieć w domu i oczekiwać waszej procesji. - Uśmiechnąłem się i uszczypnąłem ją w policzek. - A ja obiecuję, że zdążę z robotą do piątej trzydziestej w piątek.

Saxony była zachwycona programem „Powrotu Ducha Do Domu”, z wyjątkiem udziału Anny w przedświadczeniu. Nie chciała spotkać się z Anną. Nawet w tłumie. Na razie udawało im się wzajemnie omijać, ale to tylko dzięki temu, że Sax długo nie opuszczała domu.

W końcu jednak zdołałem ją przekonać, że nawet jeżeli Anna znajdzie się tego wieczoru w pobliżu, to będzie tu jednocześnie także mnóstwo ludzi, że z łatwością da się uniknąć konfrontacji.

Popołudnie spędziłem na studiowaniu planu architektonicznego stacji kolejowej w Galen, żebym mógł szczegółowo opisać jej wygląd z zewnątrz i od wewnątrz. Budynek dworca wzniesiono w roku 1907, ale czas tylko nieznacznie odcisnął na nim swoje piętno. Wyszedłem na peron i popatrzyłem wzdłuż torów, najpierw w jedną stronę, potem w drugą. Pustka. Ani wagonu na bocznicę. Na ziemi wciąż jeszcze leżały lachy śniegu, rozległe i brudne.

A jednak tutaj właśnie przyjechał Marshall France. To było to, co go fascynowało w dworcach kolejowych - przyjazdy i odjazdy. Początki, konce i to, co między nimi. To z jego dzienników, nie ode mnie.

Stojąc i patrząc na zmatowiałą srebrzystość szyn, zastanawiałem się, jak to będzie, kiedy zmienię zakończenie biografii i Marshall France wcale nie umrze na atak serca, tylko... Dozna ataku, ale go przeżyje? Wyjedzie gdzieś daleko, a potem wróci do miasteczka? Sam na razie nie wiedziałem. To było jeszcze takie odległe. Pokręciłem głową i wróciłem do samochodu.

Do końca tygodnia w Galen panowało niezwykle ożywienie. Sklepy pekały w szwach od klientów, każdy napotkany na ulicy przechodzień wyglądał tak, jakby pedził z jednej ważnej misji na drugą, nawet obojętna straż pożarna wystawiła wozy na ulicę i umyła je pięknie w ramach przygotowań do parady. Panowała atmosfera jak przed Bożym Narodzeniem. Przyjemnie było chodzić i plawić się w niej, wiedząc, że przyczyną ożywienia jestem właśnie ja. Ja.

- Siemasz Tom! Gotów na piątek? To dopiero będzie bal!
- Tomciu, ty tylko rób co robisz, a resztę pozostaw nam!

Otrzymałem otwarty kredyt w Zielonej Oberży, i w sumie żyłem sobie przez tych parę dni jak zwyczajny bohater.

Od czasu do czasu ktoś robił coś dziwnego - na przykład widząc mnie z daleka na ulicy pedził do swojego samochodu i zatrząskiwiał bagażnik - ale przyjąłem, że szykują jakieś frykasy i drobne upominki, które mają być dla nas niespodzianką na wiadomy dzień. Nie miałem nic przeciwko temu.

Scenę przyjazdu skończyłem pisać w piątek o godzinie dziesiątej rano. Jedenaście i pół strony. Zaniołem tekst do Saxony i stanąłem w kącie pokoju, czekając, aż przeczyta. Skończyła, podniosła na mnie oczy i zawodowo skinęła głową.

- W porządku, Tomaszu. Teraz naprawdę mi się podoba.
- Zadzwoniłem do Anny. Sądząc z tonu, była zachwycona i pochwaliła mnie za doskonałe wyczerpanie czasu, bo właśnie wróciła do domu z kilkuset torbami maki, a teraz wszystkich obdzwoni i weźmie się do pieczenia gugelhupfów. Raz jeszcze poleciła mi przekazać Saxony, żeby się nawet nie zbliżała do kuchni - oni sami wszystko przygotowują.

Przed obiadem wyszedłem na spacer, ale ulice były niemal doszczętnie opustoszałe. Napięcie wisiało w powietrzu, doskonale wyczuwalne, ale okolica przypominała miasto-widmo. Tylko od czasu do czasu przemyczał jakiś samochód z tajną misją. Poddąłem się i wróciłem do domu.

Przez kilka następnych godzin, w górę, od pani Fletcher, sączył się do nas apetyczny zapach pieczeni.

- Nie, nie, nie o to chodzi. To był stworzony przez ojca system bezpieczeństwa. Dopóki ludzie siedzą na miejscu, wszystko jest w porządku. Ale z chwila, kiedy wyjadą na dłużej niż tydzień, umierają na zawal serca, na wylew, na zapalenie woreczka żółciowego - jej dłoń znow zadrżała i lekko opadła na kanapę. - Właściwie nie ma sensu o tym mówić, bo nikt stąd nigdy nie próbuje wyjeżdżać - to nie zostało zapisane...

- Zapisane! Zapisane! Pokaż mi wobec tego te jego wszechmocne wyrocznie!
- Wkrótce ci je pokaże, ale najpierw chce, żebyś poznał ich historie, bo wtedy lepiej zrozumiesz to, co przeczytasz.

- Też coś! Ja już teraz nic nie rozumiem!
Anna zaczęła mi opowiadać niesamowite rzeczy, mówiła z wielkim zaangażowaniem i często popadała w dygresje. Kiedy skończyła, siedziałem koło niej na kanapie, ale przedtem przez blisko godzinę sterczałem przycupnięty na gorącym kaloryferze pod oknem.

Marshall France zaczął pisać „Nocne wyscigi w głąb Anny”, żeby poprawić humor córce. Jedną z głównych postaci książki była jego wierna przyjaciółka, Dorota Little. Po przypadkowym „zabiciu” Doroty i przyjsciu jej kotów, France zorientował się, jaką dysponuje mocą. Przerwał pisanie „Nocnych wyscigów” i wziął się za „Kroniki Galenskie”. Całymi miesiącami zbierał materiały, pisał i poprawiał. Jako perfekcjonista, potrafił napisać do jednej książki i dwadzieścia szkiców, zanim uznał rzecz za dobrą, więc trudno wprost sobie wyobrazić, ile pracy wymagały przygotowania do tworzenia Galen.

Po Dorocie Lee, która była pierwsza, stworzył mezczyzne nazwiskiem Karl Tremmel. Karl Tremmel był to Bogu ducha winny hydraulik z Pine Island, stan Nowy Jork, który wraz z żoną i dwiema córeczkami przyjechał do Galen srebrzystym wozem naprawczym. W Galen od lat nie było hydraulika.

Następny był fryzjer nazwiskiem Sillman, po nim przedsiębiorca pogrzebowy nazwiskiem Lucente (nawet próbowałem się uśmiechnąć w uznaniu żartu, ale nie dałem rady) - a potem już cała plejada innych postaci France'a.

Wszyscy wiodli żywot spokojny i pozbawiony sensacji, z wyjątkiem urzędnika pocztowego, Bernarda Stackhouse'a, który upił się pewnej nocy i przez przypadek sam postrzelił się w głowę z flinty.

I tak dalej, i tak dalej. W niedużej fabryczce tuż za miastem, która zatrudniała pięciu robotników, ni stąd, ni zowąd wybuchł w nocy pożar, a właściciele, po uregulowaniu roszczeń ubezpieczeniowych, postanowili przenieść zakład o sto mil w stronę St. Louis.

- Po kilku latach został tu już tylko ojciec, ja, Ryszard i „ludzie ojca”.
- Dlaczego zostawił Ryszarda?
- Musieliśmy mieć przynajmniej dwoje zwykłych ludzi, na wypadek, gdyby ktoś z nas musiał wyjechać z miasteczka. Pamiętaj, że pozostali mogli wyjeżdżać najwyżej na tydzień, po tygodniu umierali.

- Jak sklonił resztę „normalnych” do odejścia? Tych, którzy nie pracowali w fabryce?
- Napisał, że niektórzy z nich - z normalnych Galenczyków - postanowili wyprowadzić się z miasta. Jeden doszedł do wniosku, że w jego domu straszy, u innego eksplodował zbiornik z gazem, kiedy on sam był na wakacjach, więc postanowili przenieść się do Illinois... Mam mówić dalej?
- I nikt nie nabral podejrzeń?

- Jasne, że nie. Ojciec napisał wszystko tak, że wyglądało na całkiem naturalne i logiczne. Nie życzył sobie, żeby ktokolwiek zaczął węszyć w Galen.

- Czy zdarzyło mu się... - nie opanowałem nerwowego ziewnięcia. - Czy zdarzyło mu się kiedykolwiek użyć przemocy?

- Nie. Przy pożarze fabryki nikomu nie stała się krzywda. Ale odpowiedź zależy w dużej mierze od tego, co rozumiesz przez słowo „przemoc”. Ojciec istotnie spowodował pożar i wybuch zbiornika z gazem. Ale nigdy nie skrzywdził fizycznie człowieka. Nie musiał, Tomaszu. Skoro i tak mógł napisać co chciał.

France cały czas tworzył, ale nie wiedział, jak długo potrwa jego dzieło. Dlatego Anna dała mi do przeczytania tamten wpis w dzienniku. Wreszcie doszedł do wniosku, że nie ma innego wyjścia jak napisać o każdej postaci ile się da i pociągnąć historie Galen jak najdalej w przyszłość. A potem tylko modlić się, żeby po jego śmierci wszystko jakoś szło.

- Na pewno znajdzie na to odpowiedź w „Kronikach”, ale powiedz mi sama, Anno, jak ściśle twój ojciec kontrolował życie swoich ludzi? Czy było to tak - „Joe Smith obudził się o ósmej dwadzieścia i ziewał przez trzy sekundy. Następnie...”

- Potrzęsnała głową.
- Nie, nie. Okazało się, że większość życia można pozostawić im samym. Ojciec decydował tylko o

momentach zwrotnych – kto kogo ma posłubić, ile będą mieli dzieci, kiedy i w jaki sposób umrą... Chciał, żeby mieli...

- Chyba nie powiesz, że wolną wolę!

- Nie, tego nie powiem. Chociaż w pewnym sensie tak było. Popatrz na Gerta i Wilnę Inklerów – mogli traktować swojego syna jak chcieli. Dopiero kiedy przebrali miarę, ojciec pozamieniał ich w psy.

- Nasz bóg jest bogiem zazdrośnym, prawda?

- Nie mów tak, Tomaszu – w jej oczach zapłonęły dwie piekące isierki.

- Czego mam nie mówić – że się nimi bawił? Słuchaj, Anno, nie chcę cię obrazić, ale jeżeli to wszystko jest prawdą, to twój ojciec był najgorszym... – próbowałem znaleźć odpowiednie słowo na opisanie dzieła Marshalla France'a, ale nie było takiego słowa. – Był najniezwyklejszą istotą w historii ludzkości. I to nie tylko jako artysta. Jak to możliwe, że człowiek bierze pióro i papier i powołuje do życia żywych ludzi? – uświadomiłem sobie, że mówię bardziej do siebie samego niż do Anny, ale wcale mnie to nie speszzyło. – Nie, to niemożliwe. – Ni stąd, ni zowąd, spłynęło na mnie jakby coś gęstego, ciężkiego i niemożliwie lepkiego. Czy ja jestem idiotą, żeby wierzyć w takie brednie? A z drugiej strony – Kulfon mówił do mnie ludzkim głosem. I Pancia mówiła do mnie ludzkim głosem. I urywki z „Kronik”, które dotychczas czytałem, zgadzały się z rzeczywistością. I Anna z góry wiedziała, że chłopczyk potrącony przez furgonetkę jednak umrze.

- Dlaczego to było takie ważne, czy mały Hayden śmiał się przed śmiercią, czy nie, Anno? Co to ma do rzeczy?

- On miał tego dnia wpaść pod samochód. Miał śmiać się wesoło, aż do momentu potrącenia przez furgonetkę. Rzecz w tym, że kierowcą furgonetki nie był właściwy człowiek. Dlatego Joe Jordan i wszyscy inni tak się tym przejmowali. Chłopiec się nie śmiał i potrącił go nie ten kierowca, który go miał potrącić.

Dopóki wszystko rozwijało się zgodnie z planem, Anna i Galeńczycy utrzymywali nader skromne kontakty ze światem zewnętrznym. Raz na jakiś czas ktoś wyprawiał się do pobliskiego miasta po zakupy albo do kina, a do galenskich sklepów regularnie przyjeżdżały wozy dostawcze z St. Louis i Kansas City, ale to było praktycznie wszystko jeśli idzie o wymianę z wielkim światem. Miasteczko miało nawet, dla pozorów, biuro handlu nieruchomościami, ale wszystkie propozycje biura dotyczyły posiarłości w innych miejscowościach. Wszystko co nie było własnością prywatną, należało do miasteczka i nigdy nie było na sprzedaż. Ani do wynajęcia.

- A pani Fletcher? Co...?

- Ty i Saxony jesteście od śmierci ojca pierwszymi nowymi mieszkańcami Galen.

- Wierzę to dlatego pani Fletcher nie przeszkadzało, że nie mamy ślubu? Powiedziała nam to chyba z dziesięć razy. To ty nas u niej ulokowałaś, przyznaj się, Anno? Wszystko było ukartowane! Anna kiwnęła głową.

- Kiedy tylko dowiedziałam się od Dawida Louisa, że przyjeżdżacie, zadzwoniłam do Gaseczki Fletcher i kazałam jej się przeprowadzić na piętro willi. Potem posłałam tam Kulfona.

- A ja myślałam, że ona to robi dla pieniędzy.

- Gaseczka jest wysmienitą aktorką.

- Naprawdę siedziała w domu wariatów?

- Nie.

- Jak to – nie, i tyle?

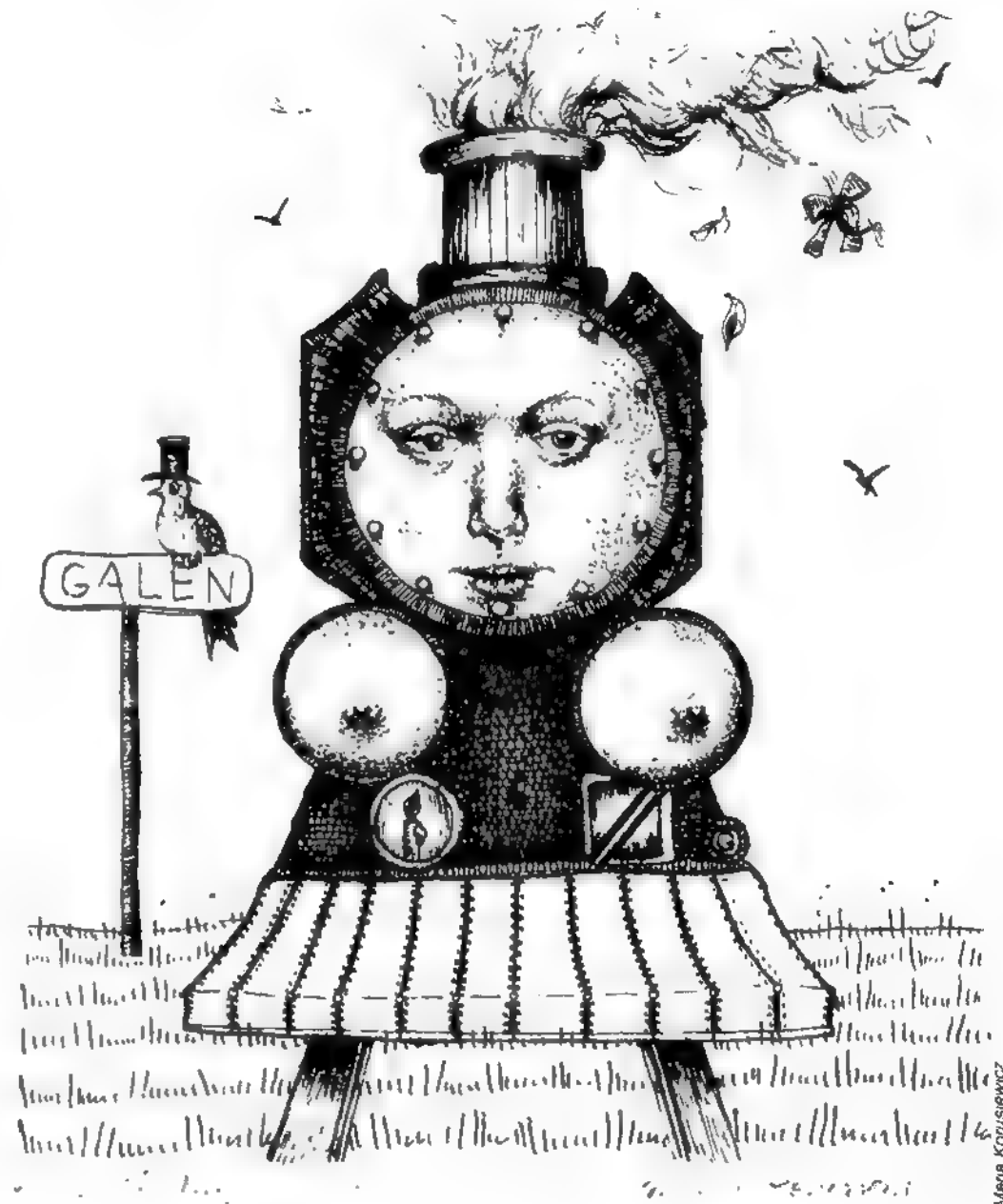
- Jak mogła siedzieć w domu wariatów, Tomaszu, skoro była człowiekiem ojca? Wszystkiego się zresztą dowiesz, jak zaczniesz po kolei czytać „Kroniki”.

Miałem rację co do biografa z Princeton: zjawiał się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Galen postanowiło strzec swojej tajemnicy – zamknęło się przed nim naглуcho i nie pisało słowa. Anna twierdziła, że facet po kilku tygodniach wyjechał wściekły do Kalifornii z zamiarem napisania tam biografii R. Crumba.

A potem się zaczęło. Przez ostatnie dwa lata źle się działo w Galen. Ktoś na przykład miał żyć dziewięćdziesiąt lat i umrzeć spokojnie we śnie, a tu niespodziewanie spadł na niego kabel wysokiego napięcia, śmiertelnie rażąc go prądem. Ofiara wypadku miała w chwili śmierci lat czterdzieści siedem. Dziecko, które miało przepadać za kukurydzą, na sam widok kukurydzy dostawało torsji. Kobieta zamieniona w bullteriera wydała na świat dziewięć szczeniąt. Przedtem psy się nie mnożyły i nie miały tego roboc.

Schowałem dłonie pod pachy, żeby je rozgrzać. Ziewnąłem po raz – nastę.

- Ale dlaczego?



Postanowiłem zrobić jej niespodziankę i podarować kopie tego, co dotychczas napisałem. Szkic pierwszej części był gotowy i uznałem, że dobrze będzie jak Anna zobaczy, ile zrobiliśmy we dwójkę z Saxony. Coś w rodzaju dodatkowej gwarancji na prawo pobytu Saxony w Galen.

Tyle było roboty z tą książką, że aż do tej chwili nawet nie zadałem sobie pytania, co będzie z nami, kiedy ją skończymy. Brałem pod uwagę wiele niebezpiecznych możliwości, ale wszystkie one tkwiły w odległej, mglistej przyszłości, dręczące i złowieszcze, ale i pociągającej zarazem.

Wiedziałem naturalnie, że jeżeli biografia się uda, nie będzie mogła zostać opublikowana. Nie chodziło o ożywienie zainteresowania osobą Marshalla France'a, o to, żeby ludzie tłumnie przybywali do Galen. Nie, książka miała jeden określony cel. Wszyscy wiedzieliśmy jak. Wszyscy, z wyjątkiem Saxony.

A co będzie jeżeli się nie uda? Jaki los obmyśliła dla nas Anna, jeżeli przegramy? Czy zmusi nas do zamieszkania w Galen na stałe? Czy sprawi, że znikniemy bez śladu, jak Sidney Swire? A może nas zamorduje? (Dopiero teraz z całą wyrazistością przypomniałem sobie, co facet w knajpie mówił o losie poprzedniego biografa France'a) Wszystko to brałem pod uwagę, ale w dalekiej, bardzo dalekiej przyszłości. Odległej o całe długie miesiące. Na razie myślałem sobie po kolei, jedna rzecz naraz. Saxony wyzdrowiała, książka chlustała ze mnie jak Niagara, w mieście nie było już Krangów ani białych stworzeń zaglądających nocą przez moje okno.

Anna poczesztowała mnie kawałkiem ciasta. Dokładnie mówiąc - austriackiego gugelhupf. To jedno naprawdę umiała przyrządzać.

- Tomasz, ile czasu zajmie ci napisanie sceny przyjazdu ojca do Galen?
- Ile mi zajmie? Jest prawie gotowa. Już raz ją napisałem, ale Sax uznała, że należy ją pogłębić i udramatyzować. Powiedziała, że mój opis nie jest dość ważki.
- No dobrze, wobec tego ile to jeszcze potrwa?

- Skubałem zębami ciasto.
- Nie wiem. Co mamy dzisiaj - wtorek? Chyba skończę do piątku.
- A czy nie mogłbyś... - Anna uśmiechnęła się i wstydliwie spuściła wzrok, jakby mnie miała prosić o nie wiem jaką przysługę.
- Czy mogłbym co?

- Widok Anny zażenowanej, zawstydzonej, należał do rzadkości.
- Czy myślisz, że mogłbyś skończyć do piątej trzydziestej po południu?
- Oczywiście, że tak, a dlaczego?

- Taki przesąd. Wiesz, on tu przyjechał pociągiem o piątej trzydziestej i dlatego... sama nie wiem - wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się. - Przesady i tyle.

- Ależ nie tłumacz się, Anno, ja to rozumiem. Rozumiem to doskonale, zwłaszcza tutaj.
- No to w porządku. Wiesz, właściwie miałam ci nic nie mówić, ale chcę was oboje zaprosić na bal z okazji przyjazdu ojca.

- W takim razie poczekaj jeszcze jakieś pół roku i trzymaj kciuki.
- Mówię w przenośni. Widzę, że szybko wam idzie robota, więc wpadłam na pomysł wydania przyjęcia na waszą cześć w dniu, kiedy ojciec przybywa do Galen w twojej książce. To miała być niespodzianka, więc kiedy wszyscy się do was zbiegną, udawaj, że o niczym nie wiedziałeś.

- Zamierzasz zaprosić do nas całe miasto?
- Powiedziałam to dla żartu, ale jej twarz rozjaśniła się, Anna wzięła mnie za ramiona i ścisnęła na kanapie koło siebie.

- Najlepiej zdradzić ci od razu cały plan, żebyś wiedział o co mi chodzi. Chcę tak, Tomasz - napiszesz ten fragment o jego przyjeździe - napiszesz go, prawda? Tylko musisz mi powiedzieć dokładnie, którego dnia skończysz, dobrze? I wtedy, dokładnie w tym dniu, całe miasto wyjdzie na stację, o piątej trzydziestej, tak jakby on miał przyjechać tym właśnie pociągiem.

- Ale przecież pociągi osobowe nie zatrzymują się już w Galen!
- Oczywiście, że nie, będziemy tylko udawać. Nie podoba ci się ten pomysł? To będzie jak karnawał. A po pięciu czy dziesięciu minutach przemaszujemy z powrotem do ciebie od domu, na suty obiad z kotla.

- Do mnie?
- Tak jest! To przecież ty i Saxony nam go przywracacie, więc złożymy wam ofiary. Złożymy ofiary Bóstwom Maszyny do Pisanja! - Przyciągnęła mnie do siebie i ucałowała w policzek. Uświadomiłem sobie, ile to już czasu minęło od dnia, w którym ostatni raz się kochaliśmy. - To będzie cudowne, nie uważasz? Jak dawne parady z pochodniami. Ty i Saxony będziecie sobie w najlepsze siedzieć w domu, aż tu nagle usłyszycie tłum walący ulicą. Oboje wyjrzycie przez okno - a za oknem setki ludzi niosących prowiant i pochodnie, wszyscy walą pod wasze drzwi. To przecież fantastyczne!

Anna podniosła w górę pusty kubek i popukała w niego paznokciem.

- Moc ojca zaczęła słabnąć. Wyczerpywała się. Ojciec w jednym z tomów „Kronik” uwzględnił taką ewentualność. Sam zresztą to przeczytałeś, na razie wyjaśnię ci w skrócie samo sedno. Ojciec twierdził, że po jego śmierci mogą nastąpić dwie rzeczy - wersja pierwsza - wszystko, co stworzył, natychmiast zniknie.

- To już czytałem - podniosłem w górę zeszyt, który cały czas trzymałem w ręku.
- Wiem. Druga ewentualność była taka, że nic się nie zmienia, bo ojciec natchnął swoich ludzi takim - zaciśnięta usta i zawahała się - napełnił ich duchem tak żywotnym, że będą funkcjonowali nawet po jego śmierci.

- I tak się właśnie stało. Funkcjonują, prawda?
- Owszem, funkcjonowali, jeszcze dwa lata temu. Wtedy jeszcze wszystko szło zgodnie z planem. Ale nagle coś się popsulo - przykłady znasz. Ojciec i tę możliwość brał pod uwagę. Opisał ją w zeszycie, który trzymasz.

- Powiedz mi własnymi słowami. Nie chce mi się czytać.
- Dobrze - popatrzyła na kubek, jakby nie mogła pojąć, skąd się wziął w jej rękach. Odstawiła go na stół i odsunęła gestem zniecierpliwienia - Ojciec wierzył, że skoro on był w stanie stworzyć Galencyków, to po jego śmierci na pewno znajdzie się ktoś, kto potrafi odtworzyć jego samego.

- CO? - stado małych lodowatych jaszczurek przemknęło w tę i z powrotem po moich plecach.
- Tak, wierzył, że autor jego biografii - tu zrobiła pauzę i uniosła brwi w moją stronę - jeżeli autor jego biografii okaże się naprawdę zdolny, to przywróci mu życie, pod warunkiem, że wiernie je opisz.

- Jezu Chryste, Anno, czy to mam być ja? Porównujesz swinie i wieprze, perły i wieprze, chciałem powiedzieć... Twój ojciec był... był... bogiem. A ja - kim ja jestem?

- Czy wiesz, Tomasz, dlaczego pozwoliłam ci zabierać tak daleko?
- Nie jestem pewien, czy chce znać powód. No dobrze, powiedz, dlaczego?
- Ponieważ spełniłeś pierwszy warunek postawiony przez ojca - masz obsesję na jego punkcie. W kołko opowiadasz, jakie ważne są dla ciebie jego książki. Są dla ciebie niemal tak ważne jak dla nas tutaj, w Galen.

- Nie pleć, Anno, to przecież nie to samo!
- Nie przerywaj! - Uniosła rękę jak policjant kierujący ruchem ulicznym. - Sam o tym nie wiesz, ale odkąd napisałeś pierwszy rozdział, w Galen znowu wszystko idzie jak należy. Wydarza się to, co jest zapisane w „Kronikach”, tak jak dawniej. Ostatnio śmierć Kulfona.

Spojrzałem na nią i otworzyłem usta, ale nie znalazłem nic do powiedzenia. Przed chwilą usłyszałem największy komplement w swoim życiu. Moje emocje stanęły w windzie w połowie drogi między panicznym strachem a szalenczą euforią. Rany Julek, a jeżeli ona miała rację?

Rozdział VII

Pracowaliśmy dalej, z tym, że Saxony nie chciała mieć już nic wspólnego z biografią. Wyrzeźbiła trzy marionetki, a w przerwach czytała „Robaka Ouroborosa” Eddisona.

Nadal chodziłem do Anny, ale tylko za dnia i nigdy nie zostawałem dłużej niż do piątej trzydziestej. Pakowałem brązową walizkę i wracałem do domu.

Nie mogłem się zdecydować, czy mam powiedzieć Saxony prawdę na temat France'a i Galen, czy też raczej nie. Chwilami nie mogłem znieść myśli, że to przed nią ukrywam. A z drugiej strony, cały czas pamiętałem, że ludzie trafiają do szpitala wariatów za wygłaszanie opinii znacznie mniej zwariowanych niż moje, więc odpędzałem pokusę, mówiąc sobie, że lepiej trochę jeszcze poczekać i zobaczyć co się stanie, zanim wydobędę szyldo z worka.

Nad miasteczkiem przeszła zamieć i pobieliła wszystko grubą warstwą śniegu. Któregoś popołudnia wyszedłem na spacer i napotkałem trzy koty baraszkujące po podworzu. Bawiły się tak rozkosznie, że przystanąłem i przypatrywałem się im przez dłuższą chwilę. Skakały jeden przez drugiego, dopóki ktoryś nie dostrzegł mnie i nie zamarł w pół skoku. Wtedy wszystkie trzy jak na komendę spojrzały na mnie, a ja bezwiednie uniosłem rękę, żeby im pomachać. Usłyszałem, że miauczą, bardzo cicho, jakby szeptem. Dopiero po kilku minutach ośmielił mnie, że koty mówią dzień dobry.

Mieszkańcy miasta zaczęli mi okazywać wielką szczerłość. To, co mi opowiadali, jeszcze kilka miesięcy wcześniej kazałoby mi wiać gdzie pieprz rośnie, ale teraz tylko ze zrozumieniem kiwałem głową i brałem z półmiska jeszcze jedno ciasteczko z rodzynkami, upieczone przez Debby albo przez Gretchen, albo przez Mary Annę.

Moi rozmówcy przybierali niezmiennie jeden z dwóch tonów – oskarżycielski lub dziękczynny. Jedni mówili, że powinienem jak najszybciej skończyć książkę, bo kupa ludzi wpadnie inaczej w tarapaty, a inni dziękowali Bogu, że zdążyłem na czas i pytali, czy daleko mam jeszcze do końca biografii. W zależności od dnia i osoby, która ze mną rozmawiała, czułem się na zmianę, albo jak mesjasz, albo jak spec od naprawy telefonów. Pytanie, czy swoją książką ożywie Marshalla France'a, wirowało mi w głowie jak szklana kulka w automatycznej suszarce. Chwilami przystawałem i wybuchalem śmiechem, takie to wszystko było szalone i absurdalne. A chwilami oblażyli mnie jaszczurki leku i chciałem już tylko jak najszybciej, raz na zawsze o tym wszystkim zapomnieć.

– Powiedz, Larry, jak się czuje człowiek... wymysłony?

Larry pierdnął na cały głos i uśmiechnął się do mnie.

– Wymysłony? Co znaczy „wymysłony”? Ty wystrzeliłeś ze swojego starego, no nie? – Kiwnąłem głową i wzruszyłem ramionami. – No widzisz, a ja wystrzeliłem skądinąd. Jeszcze piwko?

Katarzyna głaskała szarego krowka, tak ostrożnie, jakby był ze szkła.

– Wymysłona? Hmmm, to zabawne określenie. Wymysłona... – obracała to słowo w ustach i uśmiechała się do krowka. – Nigdy się nad tym nie zastanawiam, Tomaszu. Myślę o tylu innych rzeczach...

Jeżeli spodziewałem się od nich rewelacji, to na próżno. Galen było typowo mieszczańską społecznością, w samym sercu Missouru, ludzie tam uczciwie pracowali, w środowe wieczory grywali w kregle, przepadali za „Bionic Woman”, jadali kanapki z szynką i oszczędzali na nowy pług automatyczny albo na domek letni nad jeziorem Tekawitha.

Najciekawszą historię usłyszałem od faceta, który niechcący postrzelił w twarz rodzonego brata z policyjnego rewolweru. Naciśniętą spust, gruchnęło, dym – a bratu nic się nie stało. Ab-so-lut-nie nic!

Ludziom usta się nie zamykały. Odkąd zostałem „jednym z nich”, opowiadali mi o sobie wszystko – o lumbago, o życiu seksualnym, o najlepszych sposobach przyrządzania zebacza. Niewiele z tego co mówili miało dla mnie jakąkolwiek wartość, ale oni tak długo opowiadali to samo sobie nawzajem, że było dla nich nie lada frajdą znaleźć nowe ucho.

– Wiesz, co mnie teraz najbardziej wkurza, Abbey? To, że nic nie wiem na pewno. Kiedyś szedłem sobie spokojnie ulicą i nie musiałem się martwić, że jakiś pieprzony samolot może mi stąd, ni zowąd spaść na głowę – rozumiesz, o co mi chodzi? Jak człowiek wie, to ma spokój. Nie musi się martwić, że coś mu się nagle przydarzy. Patrz pan tego, jak mu tam, Joe Jordana. Jedzie sobie jakby nigdy nie po paczke pieprzonych fajek, aż tu nagle – bach! – i dzieciak pod kołami. Dziękuję bardzo za taką przyjemność, ja tam wolę wiedzieć, kiedy przyjdzie na mnie czas. I wtedy aż do tego czasu mogę się niczym nie przejmować.

– No a kiedy ten czas nadejdzie? Co wtedy zrobisz?

– Zleję się w pieprzone gacie! – stary człowiek śmiał się z własnego żartu do rozpuku.

Im dłużej wypytywałem ludzi, tym bardziej oczywiste stawało się dla mnie, że przeważająca większość jest zadowolona z „metody” France'a i przerażona tym, że nagle, w sposób okrutny i niespodziewany, oddana została w niezdarnie łapy losu.

Ale byli i tacy, którzy woleli nie wiedzieć, co ich czeka. Nikt ich za to nie potępiał. Zgodnie z ustalonym od lat obyczajem, za obszerny egzemplarz historii i przyszłości każdej rodziny odpowiadał senior rodu. Księgę każdy otrzymywał w prezencie od France'a. Ktokolwiek ukończył osiemnaście lat i był ciekaw, co z nim będzie dalej, mógł udać się do „starszego” i o wszystko zapytać.

Sprzedawca ze sklepu spożywczego popatrzył na mnie jak na idiota, kiedy go zapytałem, czy nie chciałby pożyczyć dłużej niż wyznaczone mu przez France'a pięćdziesiąt jeden lat.

– A po co? I tak zdąże wszystko zrobić. Pięćdziesiąt lat to kupa czasu.

– Ale to takie... definitywne. Katastroficzne jakies.

Artretyczna dłoń sprzedawcy wyciągnęła z kieszeni fartucha czarny grzebień z napisem AS i przeczesala nim równie czarne włosy.

– Nie rozumiesz, Tom. Teraz mam trzydzieści dziewięć lat, tak? Wiem na pewno, że zostało mi jeszcze dwanaście. Śmierć mnie nie przeraża. A ciebie przeraża, co? Przysiągaj się, że bywają dni, kiedy wstajesz rano i mówisz sobie „Może dzisiaj zostanę kaleką na całe życie”, albo coś w tym stylu. A my tu nigdy, nawet przez dwie sekundy, nie myślimy w ten sposób. Mam artretyzm rąk i umrę na raka mając pięćdziesiąt jeden lat. I kto z nas dwóch ma lepiej, ty czy ja? Sam powiedz uczciwie.

– Mogę cie jeszcze o coś zapytać?

– Jasne, wal śmiało.

– Założmy, że jestem Galeńczykiem i wiem, że jutro umrę – że ty przejeździsz mnie na śmierć swoją

– Daleko doszedłeś?

– Nie, stoje w miejscu. Muszę kawalek przepisać. France wsiada w pociąg i jedzie do Galen. A bo co?

Wrzuciła ciastko do kosza na śmiecie i spojrzała na mnie, a ja spojrzałem na swoje ciastko w koszu na śmiecie.

– Mam ci do powiedzenia parę rzeczy, Tomaszu. Wróciłam tutaj z dwóch powodów. Ale kiedy już wróciłam, nie byłam pewna, czy powinnam ci to powiedzieć. Potem chorowałam... a jednak muszę ci powiedzieć – podeszła i usiadła mi na kolanach. Nigdy przedtem tego nie robiła. Słyszales coś o Sidneyu Swire?

– Sidneyu co? Brzmi to jak nazwisko jakiegoś angielskiego aktora.

– Sidney Swire to był ten facet z Princeton, który przyjechał tu z zamiarem napisania biografii France'a.

– Naprawdę? Skąd wiesz?

Saxony była królową poszukiwań źródłowych. Przekonałem się o tym już dawno, ale za każdym razem na nowo zdumiewało mnie, że odkrywa rzeczy absolutnie niewykrywalne.

– Miedzy innymi w tym celu wyjechałam do St. Louis. Nieważne, w jaki sposób się dowiedziałam.

– Wiggins? – odchyliłem się jak najdalej na oparcie.

– Daj spokój, Tomaszu, proszę cie. To poważna sprawa. Sidney Swire przyjechał do Galen na dwa tygodnie. Wyjeżdżając stąd, miał zamiar dotrzeć do Kalifornii, gdzie w Santa Clara mieszkał jego brat – obliżała usta o odchrząknęła – ale nie dojechał. Wsiadł z autobusu w Rolla, Missouri, na krótkim postoju, po czym znikł bez śladu. Nikt go od tamtego czasu nie widział, brat też nie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Jaszczurka przemknęła po moim kregosłupie do połowy pleców i zamarta tam w oczekiwaniu na dalszy ciąg opowieści Saxony.

– Znikł. I nic. Ani śladu. Nic a nic.

– No, a jego brat? Co zrobił? – zepchnąłem Saxony z kolan i wstałem.

– Rodzina Swire'ów dała znać na policję, a kiedy policja niczego nie znalazła, do akcji wkroczyła na sześć miesięcy prywatna agencja detektywistyczna. I dalej nic, Tomaszu.

– To intrygujące.

Popatrzyłem na nią. Nie uśmiechnęła się.

– Chce ci powiedzieć jeszcze o czymś, czego się dowiedziałam w St. Louis. Tylko się nie gniewaj. Czy Anna wspominała ci kiedykolwiek o mężczyźnie nazwiskiem Peter Mexico?

Usiadłem sztywno w fotelu.

– Owszem, to był jej ukochany z czasów studenckich. Umarł na zawał serca.

– Mylisz się, Tomaszu, on nie umarł na zawał. Anna i Peter Mexico stali razem w podziemnej stacji metra w Londynie i wtedy on ni stąd, ni zowąd wpadł pod nadjeżdżający pociąg.

– Co takiego?

– To co słyszałeś. Odbiło się dochodzenie, ale pewnych rzeczy do końca nie wyjaśniono. Nie licząc jakiegoś pijaka, na peronie znajdowali się w owej chwili tylko oni dwoje.

★

– Anno? Co się stało z Sidneyem Swire'em?

– Z Sidneyem Swire'em? – Uśmiechnęła się do mnie i bardzo szybko zamrugala oczami. Złotna lalunia. – Sidney Swire wyjechał i Bogu dzięki, nikt go więcej nie widział.

– Ciekawe, co masz na myśli? – starałem się przybrać ton zaciekawienia, a nie strachu.

– Zniknął. Puf! Wsiadł w autobus, wysiadł w Rolla i zniknął. Policja całymi dniami kreśliła się tutaj i zadawała pytania. Dzięki Bogu, że facet nie zniknął, kiedy jeszcze mieszkał w miasteczku. To by dopiero był dla nas kłopot.

– Wcale się tym nie przejęłaś?

Nie, absolutnie. Nadęty błazen, dobrze mu tak.

Niezbýt ładnie mówić w ten sposób o kimś, kto już pewnie nie żyje.

– No i co z tego, że nie żyje? Mam mówić, że jest mi przykro? Nie jest. Wystarczyło raz na niego spojrzeć, żeby zyskać pewność, że nie napisze książki ojca.

Kaszała dalej, jednocześnie kręcąc głową.

Otoczyłem ją ramieniem i przyciągnąłem do siebie. Dysząc i poświsując, oparła się o mnie całym ciężarem ciała. Poprowadziłem ją do samochodu od drugiej strony i otworzyłem drzwiczki. Usiadła, bezwładnie odrzuciła głowę na oparcie fotela. Już nie kaszała, ale oczy miała zalzawione z wysiłku.

- Jestem bardzo chora, Tomaszu. Zaczęło się jak tylko od ciebie wyjechałam. Ale ostatnio bardzo się pogorszyło - potoczyła głową po oparciu, aż spojrzała mi prosto w oczy. - Jak z kiepskiej literatury, nie? - kurzowo zacisnęła oczy i znów zaczęła kaszleć.

- Nie. Nic się nie da zrobić.

- Anno, na litość Boską, opamiętaj się! Przecież nie możesz być takim potworem!

Przywiozłem Saxony do domu i położyłem do łóżka. Natychmiast zasnęła, całe szczęście. Jak najszybciej popędziłem do Anny.

- Ja z tym nie mam nic wspólnego, Tomaszu. Tak było w „Kronikach”. Zapisane. Przesądzone.

- Ale wszystko inne w „Kronikach” się pokreśliło. Dlaczego tego się nie da pokreślić? Przecież ona wyjechała, prawda? Zrobiła to, co chciała?

- Nie powinna była wracać - Ion Anny był lodowaty.

- Ona o niczym nie wiedziała, Anno. Nie pisałem jej ani słowa. Ona umiera ze strachu. Na miłość Boską, miejże w sobie chociaż raz w życiu odrobinę litości!

- Tomaszu, w „Kronikach” zostało zapisane, że gdyby osoba niepowołana przez dłuższy czas przebywała w Galen, rozchoruje się i umrze. Jeżeli jednak stąd wyjedzie - wyzdrowieje. Saxony nie była chora kiedy wyjeżdżała - prawda? Sam mówiłeś, że nie. A zalem w stosunku do „Kronik” tu też się pokreśliło, sam widzisz. Zachorowała po wyjeździe. A powinno być na odwrot. Ja już zupełnie nie panuję nad tym, co się dzieje.

Anna rozłożyła ręce i po raz pierwszy w życiu wyglądała, jakby jej było naprawdę przykro.

Wiele wcześniej niż inni zorientowałem się, że chwilowa normalizacja w Galen była zasługą albo obecności Saxony, albo jej korekty maszynopisu, albo też naszej wspólnej obecności w miasteczku.

Kiedy tylko odzyskała nieco sił, przeczytała dokładnie wszystko, co napisałem pod jej nieobecność i poszukała to na kawałki. To było złe, tamto nie tak. Czemu nie wspominałam w tym miejscu o tym, zamiast o owym? To nieistotne, to wodolejstwo... Pozwoliła mi zachować najwyżej jedną trzecią wypoćin.

W czwartym dniu przepisywania tekstu z uwzględnieniem uwag Saxony, pani Collins weszła do kuchni, żeby nakarmić bullteriera. w pudle przy piecu, na świeżo porwanej gazecie, spało niemowlę płci żeńskiej.

Sharon Lee, która od pewnego czasu nie ruszała się z domu (podobnie jak wiele innych osób, w tym Książd Pajaki), pokazała się w miescie na zakupach, uśmiechnięta jakby wygrała los na loterii.

A Saxony przestała kaszleć. Powiedziałem jej, że Anna i ja już ze sobą nie śpimy, ale nic więcej nie zdradziłem.

Kiedy zrozumiałem, jak istotna jest dla powodzenia książki obecność Saxony w Galen, udałem się do Anny i poświęciłem cały ranek na wyjaśnienie jej tego, co - jak już wiedziałem na pewno - było prawdą. Wysłuchała mnie, a potem oświadczyła, że musi się sama przekonać. Po odwiedzinach u Collinsów przyznała mi rację. Umówiliśmy się, że Saxony niczego się nie dowie, ale może zostać.

Było to najbardziej nieoczekiwane zdarzenie w Galen.

Rozdział IX

Usłyszałem jak idąc do pokoju, kłapie puchatymi kapciami, które jej kupiłem w domu towarowym Lazy Larry.

Nigdy nie nachodziła mnie bez potrzeby podczas pracy, więc sam odłożyłem pióro i odwróciłem się do drzwi. Wyglądała znacznie zdrowiej niż po przyjeździe. Nabrała rumieńców, odzyskała apetyt. Nawet teraz trzymała w ręku krusze ciasteczko z czekoladą, wygrzyzione w kształcie półksiężyca. Upiekł je rano Wasz Unizony.

furgonetką. Co się stanie, jeżeli zamkne się w domu i w ogóle nie wyjde jutro na ulicę? Co będzie, jeżeli na cały dzień schowam się w szafie i uniemożliwie ci przejechanie mnie furgonetką?

- Wtedy umrzesz w szafie, dokładnie o tej godzinie, o której miałem ci przejechać.

W filmie mojego ojca „Café de la Paix” jest pewna scena, którą zawsze bardzo lubiłem i która w czasie peregrinacji po Galen często mi się przypominała.

Richard Eliot, alias „Szekspir”, najlepszy angielski tajny agent w okupowanej przez nazistów Francji, zostaje zdemaskowany. Podziemnymi kanałami wysyła z kraju żonę, a sam udaje się do „Café de la Paix”, żeby tam czekać, aż przyjdą po niego szkopy. Zamawia kawę ze śmietanką, wyjmując z kieszeni niedużą książkę i bierze się do czytania. Twarda sztuka. Kelner podaje mu kawę i natychmiast wieje, bo dobrze wie, co się święci. Ulica jest pusta - jesienne liście wolniotko omiatają nogi stólków. Reżyser okazał w tym miejscu genialną intuicję - pozwolił, żeby przez trzy minuty absolutnie nic się na ekranie nie działo. Kiedy wreszcie przed kawiarnią zajeżdża z piskiem opon czarny mercedes, widz, który już powytrywał wszystkie włosy z głowy, cieszy się, że Niemcy wreszcie są. Trzaskają drzwi, kamera śledzi przez jezdnię dwie pary wyglansowanych sztybletów.

- Herr Eliot?

Oficer niemiecki jest z gatunku „dobrych złych ludzi” (gra go, zdaje mi się, Curt Jurgens), wystarczająco bystrych na to, żeby wysledzić Szekspira, ale i dość wrażliwych, żeby po drodze nabrać szacunku dla aresztowanego.

Mój ojciec podnosi wzrok znad książki i uśmiecha się.

- Witam, panie Fuchs.

Drugi szkop daje krok w stronę ojca, ale Fuchs łapie go za ramię i każe wracać do samochodu.

Ojciec reguluje rachunek i dwaj mężczyźni wolno przechodzą przez jezdnię.

- A gdyby tak ci się udało, Eliot, to co byś robił po powrocie do domu?

- Co bym robił? - ojciec śmieje się i długo patrzy w niebo. - Nie mam pojęcia, Fuchs. Taka możliwość przerażała mnie chwilami bardziej niż perspektywa ujęcia przez was - czy to nie śmieszne? Może w głębi duszy cały czas chciałem, żebym nie musiał się martwić o przyszłość. Czy pan, Fuchs, zastanawiał się kiedyś nad tym, co pan robi, kiedy Niemcy przegrają wojnę?

Ileż to razy próbowałem nad ranem wyłożyć sens życia zaspanemu kumpłowi albo dziewczyni, z którą się w nocy kochałem. Tak się zawsze zakalapukałem w sprzeczne założenia i ewentualności, że w końcu albo też szedłem spać, albo się kochałem, albo popadałem w czarną rozpacz, bo uświadamiałem sobie, że absolutnie nic nie wiem.

Galenczykom ten problem był obcy. Żyli w duchu najczystszej kalwinizmu, z tą różnicą, że nie martwili się zupełnie, co ich spóka po tamtej stronie śmierci. Nie mogli zmienić siebie ani swoich losów, za to świadomość, że na końcowym egzaminie mają gwarantowaną czwórkę lub trójkę, była niezwykle istotna dla ich bieżącego życia.

Saxony w końcu pozbyła się gipsu i chociaż nadal kulala, bo noga była chuda i słaba, humor znacznie jej się poprawił.

Już wszystkie liście opadły z drzew i poprzylepiały się do asfaltu. Dni zrobiły się krótkie i albo mokre, albo szare, albo jedno i drugie. Galenicyzmy pochowali się po domach. W piątki wieczorem rozgrywano regularnie mecze koszykowi i w sali gimnastycznej zawsze był komplet kibiców. Kino, sklepy - wszystko co się mieściło pod dachem, znów cieszyło się ogromną popularnością. W domach pachniałożywym zimowym obiadem, wilgotną wełną płaszczy, drugą świeżością rękawic, skarpet i czapek wyłożonych na kaloryfery do wyschnięcia.

Pomyślałem o wszystkich innych małych miasteczkach szykujących się do nadejścia zimy. Łańcuchy na opony samochodowe, olej do grzejnika, nowe sianie, pożywienie dla ptaków w karmniku za oknem, dodatkowe szyby, sól kamienna do posypywania podjazdu...

Wszystkie małe miasteczka zajęte były podobnymi przygotowaniami, tyle że wszędzie poza Galen człowiek wsiadał do samochodu i nie wiedział, co go czeka. Nie wiedział, że w połowie drogi do sklepu wpadnie w poślizg, rozbije wóz, a sam zginie na miejscu. Jego żona jeszcze przez kilka godzin będzie przekonana, że nic złego się nie zdarzyło, aż w końcu ktoś ze znajomych natknie się przypadkiem na rozbity wóz z sączącą się jeszcze z rury wydechowej smużką spalin, od której topnieje zmieszany z ziemią śnieg.

Albo inaczej: starszy pan, gdzieś w Maine, założy blezer produkcji L.L. Vean i zielone spodnie ze sztruksu, nie wiedząc wcale, że za dwie godziny trafi go zawał, dokładnie w chwili, kiedy będzie przypinał smycz do obroży ulubionego jamnika.

Pani Fletcher dowiedziała się, że mam urodziny i upiekła z tej okazji wielki, wspaniały tort marchewkowy. Dostałem też masę prezentów. Gdziekolwiek tego dnia zaszedłem, czekały na mnie torty albo upominki urodzinowe. Dostałem wypchanego borsuka, dziesięć błyszczących do wędki ręcznej roboty, pierwsze wydanie „Niech nikt się nie waży nazwać z zdradą”. Kiedy wróciłem do domu, Saxony stała w drzwiach, uśmiechała się i z podziwem kręciła głową na długo przedtem, zanim pochwaliłem się swoimi skarbami.

– Masz tu tłumy wielbicieli, co?

Podniosła do oczu lornetkę, którą dostałem od Barneya i Thelmy i spojrzała na zamieszczony w środku widoczek z Dobbs Ferry, stan Nowy Jork.

– Nie wśmiewaj się, Sax, to wszystko kosztuje. Naprawdę ładnie z ich strony, że się szarpnęli na te prezenty.

– Nie bądź taki obrażalski. Chciałam tylko powiedzieć, że na pewno przyjemnie jest być takim lubianym.

Nie wiedziałem, czy mówi serio, czy się zgrywa, ale gdybym miał się w tej sprawie wypowiedzieć, to powiedziałbym, że owszem, tak, jest to przyjemne. Oczywiście, wiedziałem dlaczego większość Galerichów odnosi się do mnie z taką sympatią, ale niezależnie od ich motywacji, przekonałem się na własnej skórze, jak to jest być poważanym, lubianym i szanowanym – to cholernie przyjemne uczucie. Miałem skromny przedsmak tego, czego przez całe życie doświadczali mój ojciec i Marshall France.

France płynął frachtowcem „Arthur Bellingham” z Liverpoolu do Nowego Jorku. Na pokładzie zaprzyjaźnił się z pewnym żydowskim małżeństwem i nawiązał niewinny romans z ich dziesięcioletnią córką. Widywał się z nią jeszcze potem, w Nowym Jorku, ale nic z tego nie wyszło. France najął się do pracy u Lucentego i wynajął pokój w hotelu dla imigrantów, o jedną przecznice od zakładu pogrzebowego.

– Anno, dlaczego skłamałaś, kiedy cię pytałem, jak długo twój ojciec pracował u Lucentego?

Siedziała przy stole i wyjadała z miseczki chrupki ryżowe, które wydawały ciche trzaski, kiedy je łamała.

– Nie chce się kłócić z tego powodu, ale po prostu ciekawi mnie, dlaczego skłamałaś.

Anna przełknęła i otarła usta papierową serwetką.

– Chciałam się przekonać o twojej rzetelności zanim wyrażę zgodę na pisanie biografii. To logiczne, nie sądzisz? Dlatego udostępniłam ci wszystko, co dotyczyło okresu sprzed jego emigracji do Słanow. Pierwszy rozdział miał dowiedzieć, czy się nadajesz, czy nie. Gdybyś się nie nadawał, wówczas odprawiłabym cię z kwitkiem, a ty niczego byś się nie dowiedział.

Zagłębia łyżeczkę w chrupkach i zajęła się z powrotem lekturą czasopisma.

– Anno? Jeszcze jedno pytanie: dlaczego nigdy nie mówisz o matce?

– Moja matka była cichą, ujmującą panią ze Środkowego Zachodu. Kiedy byłam mała – kazala mi się zapisać do zuchow, a kiedy podrosłam – do skautów. Świetnie gotowała i umiała ojcowi życie na różne sposoby. Myślałam, że ojciec ją kochał i był z nią szczęśliwy, ponieważ stanowiła jego absolutne przeciwieństwo: wszystko w niej było przyziemne. Podziwiała ludzi obdarzonych bujną wyobraźnią i skłonnościami artystycznymi, ale – tak mi się wydaje – w głębi duszy radowała się, że sama do nich nie należy. Kiedyś wyznała mi w sekrecie, że dla niej książki ojca są głupkowate. To ci dopiero recenzja – głupkowate!

Wuj France’a, Otto Frank, nigdy nie odniósł wielkich sukcesów jako właściciel drukarni. Przeniósł się do Galen z Hermannem, w stanie Missouri, ponieważ okolica mu się podobała i ponieważ oferowano tam tanio warsztat drukarski. Otto Frank drukował zaproszenia ślubne, broszury dla przedsiębiorstw, afisze o odpustach i akcjach rolniczych. Z początku miał szczytną ambicję drukowania lokalnej gazety (po to właśnie napisał do brata do Austrii z prośbą o przysłanie mu do pomocy korektora z chłopców), ale sam nie miał na to dość pieniędzy i nie znalazł chętnego do finansowania swoich marzeń.

Przyjechał Martin (który zdążył już, ku zgorszeniu wuja, zmienić nazwisko na France) i Otto umieścił go w warszacie jako czeladnika. France owi praca chyba odpowiadała, bo został w drukarni aż do śmierci Ottona, w roku 1945 – roku wydania „Sądzawki Gwiazd”.

Książka nie zrobiła wielkiej furory, ale wydawcy byli z niej na tyle zadowoleni, że zaproponowali France’owi tysiąc dolarową zaliczkę na poczet następnej książki, którą okazały się równie mało kasowe „Brzoskwińowe cienie”. Mimo to, krytyk nazwiskiem Charles White napisał obszerny artykuł o twórczości France’a w „Atlantic Monthly”. Porównał go z Lewsem Carrollem i Lordem Dunsany jednocześnie. Artykuł ten dał początek sławie France’a. Anna przechowywała prawie wszystkie listy, które przysyłał do jej ojca do Galen, wraz z kopiami odpowiedzi. France przez kilka miesięcy nie miał pojęcia o

– Och, Tomasz, jednak jesteś. To ja, Saxony. Dzwonie z dworca autobusowego. Jestem tutaj. Jestem w Galen.

– O Jezu!

– Dziękuję za miłe powitanie. Przepraszam cię, jeżeli...

– Zamknij się, Sax, zamknij się. Słuchaj, będę tam za dziesięć minut. Czekaj na mnie. Stój przed wejściem i czekaj na mnie. Nie ruszaj się z miejsca.

Musiała wyczuć panikę w moim głosie, bo powiedziała tylko:

– Dobrze, będę czekała przed wejściem – i wyłączyła się.

Szczelnie owinąłem walizkę zielonym kocem i wyniosłem na zewnątrz, trzymając pakunek przed sobą. Na wypadek gdyby ktoś mnie obserwował, chciałem, żeby myśleli, że to jakaś paczka albo rzeczy do pralni. Wymusiłem na usta półuśmiech i dziarskim krokiem udałem się do samochodu. Po drodze poslizgnąłem się na zamrożonej kałuży i o mały włos nie wywinąłem orla. Odzyskałem jednak równowagę, a wraz z nią pewność, że zewsząd świdrują mnie setki oczu. Twardo parzyłem przed siebie.

– Abbey właśnie wyszedł z domu.

– Co teraz robi?

– Coś niesie, jakby paczkę.

– A nie jest to przypadkiem walizka?

– Nie, chyba nie, wygląda raczej na... no nie wiem na co wygląda. Lepiej sam się przyjrzyj.

– Może powinniśmy zadzwonić do Anny?

Kiedy wreszcie wydobyłem kluczyki i zacząłem gmerać przy drzwiczkach samochodu, miałem już absolutną pewność, że lada moment usłyszę wrzask i tupot nóg. Cudem udało mi się otworzyć drzwi. Z podziwu godną nonszalancją nachyliłem się do wnętrza wozu i umieściłem otuloną w koc walizkę na tylnym siedzeniu.

Kluczyki w stacyjce. Brum-brum. Musiałem odczekać dwie minuty, aż silnik się rozgrzeje, bo zawsze z rana rozgrzewałem wóz. Nie był to odpowiedni dzień na szpanerskie rajdowe starty, chociaż bardzo tego żałowałem. Dookoła nie działo się nic podejrzanego. Przeniósłem wzrok z przedniej szyby na wsteczne lustro, wypatrując złoto-białego dodge’a Anny albo czarnego ramblera pani Fletcher.

Wyjechałem na jezdnię, kola chwilę buksowały, ale w końcu złapały przyczepność i ruszyłem przed siebie. Buksowanie kol przypało mi na pierwszy z tuzina ataków serca w drodze na dworzec autobusowy. Raz zdawało mi się, że widzę wiadomego dodge’a. Raz wpadłem w poslizg na samym środku jezdni. Potem stanąłem pod szlabanem i patrzyłem jak pociąg towarowy wiozący 768 samochodów sunie przede mną w pokazowo ślimaczym tempie.

Kiedy tam stałem, jakiś głupi smarkacz rzucił w mój samochód pacyną śniegu. Kula rozprysnęła się o boczną szybę, a ja naderwałem sobie ścięgno w szyi, usiłując zobaczyć, co to za potwór szykuje się mnie zjeść. Zobaczyłem przyszczałego gnojka, dającego nogę w przeciwnym kierunku.

Przejechał wreszcie ostatni wagon, szlaban poszedł w górę. Dworzec autobusowy był o dwie ulice dalej. Mój plan wyglądał następująco: zabrać Saxony spod dworca, walić prosto na Interstate i jechać bez przerwy przez co najmniej dwie godziny, zanim znowu zaczerpnę powietrza.

Rozmawiała z panią Fletcher. Stały we dwie przed niebieskim budynkiem dworca autobusowego. Widziałem unoszące się z ich ust obłoczki pary, jak zimne dymy sygnalizacyjne.

– No i co powiesz, Tom? Wracam sobie spokojnie z zakupów, a ta bidula stoi tutaj i marznie. Przyjechała rannym autobusem.

Saxony robiła co mogła, żeby się uśmiechać, ale w końcu dała za wygraną.

– W takim razie, nie zatrzymuję was dłużej. Jęde do domu. Do zobaczenia później.

Dotknęła ramienia Saxony, rzuciła mi nieprzyzwolite spojrzenie i zniknęła za rogami budynku.

– Chodź.

Podniosłem jej walizkę i ruszyłem przez jezdnię. Słyszałem ją za plecami. Kaszlała. Był to ciężki, mokry, rwący kaszel, który trwał w nieskończoność. Saxony ledwo zdołała wykrztusić – „zaczekaj”. Odwróciłem się i zobaczyłem ją zgiętą w pół, z jedną ręką w okolicy żołądka, a drugą przy ustach.

– Złe się czujesz?

ruje do góry – dłoń – reka – twarz. Jego twarz. Puszczą oko i wychodzi z kiosku, dzierżąc pisma pod pachą. Poranna lektura w kafejce na rogu ulicy.

Trzymałem w ręce plaster sera i właśnie miałem zacząć go jeść, kiedy ni stąd, ni zowąd wybuchnąłem płaczem.

On idzie ulicą. Nie spieszy mu się. Obok niego hurgoczą przejeżdżające czołgi i motocykle z bocznymi koszami, w których siedzą niemieccy wazniacy w mundurach.

Podniosłem się z fotela i wyłączyłem dźwięk. Chciałem go tylko widzieć. Nie chciałem myśleć o filmie, o wątku, o akcji, chciałem patrzeć na swojego ojca. W pokoju nie paliło się światło, tylko blask ekranu telewizora kładł się na podłodze.

– Tato? – Wiedziałem, że zachowuję się jak krety, ale mimo to dalej przemawiałem do ekranu, do niego. – Tato, co ja mam robić?

Wpadł do piekarni na rogu i wskazał kolejno trzy rodzaje pieczywa zza szyby gabloty, które zamierzał kupić.

– Tato, co ja do cholery mam robić?

Z całej siły zacisnąłem powieki. Łzy wyślizbiły w mojej twarzy mokre koleiny, które poczułem, kiedy podniosłem ręce, żeby zakryć oczy.

– O Boże!

Wcisnąłem poduszki dłoni w oczodoły i patrzyłem, jak na wszystkie strony świata eksplodują doskonałe barwne desenie. Kiedy ucisk stał się bolesny, cofnąłem ręce. Popatrzyłem na niego przez resztki uciekających kolorów. Był teraz na zapleczu piekarni, schodził po szczeblach drabinki prowadzącej pod podłogę. Tuż przed schowaniem głowy z pola widzenia zatrzymał się i zdjął kapelusz. Dźwięk był, co prawda, wyłączony, ale wiedziałem, co teraz mówi. „Przypilnuj mi kapelusza, Robercie. Dopiero co ofiarowała mi go na urodziny i usmażyłaby mnie w oleju, gdybym go zaswinili”.

– Niech cię diabli! Niech cię diabli, ojciec! Tak ci się zawsze wszystko układało! Zawsze te zaszpane nowe kapelusze, zawsze tłumy wielbicieli. Nawet umrzeć potrafisz jak należy. Ja pieprze! Pieprze! Pieprze!

Wyłączyłem telewizor i w ciemności patrzyłem, jak ekran staje się szary, brązowy, czarny.

★

Otworzyłem oczy i natychmiast się obudziłem. Zielono błyszcząca tarcza zegarka informowała, że jest godzina trzecia trzydziści nad ranem. Kiedy się tak gwałtownie obudzi w środku nocy, polem długo nie mogę zasnąć. Założyłem ręce pod głowę i wbilem wzrok w otaczającą mnie ciemność. Słychać było jedynie paniczne cykanie zegarka i wycie wiatru za oknem. Po chwili jednak porzuciłem, że jest coś jeszcze. Na zewnątrz. Na zewnątrz, w wirze i niebiesko-czarnej nocy. Odwróciłem głowę do okna. Patrzył wprost na mnie, przyciskając do szyby pysk i łapy. Jego korpus jaśniał jak nie zapalona biała świeca.

★

Z chwilą jak ustyszałem, że pani Fletcher odjeżdża spod domu, wyciągnąłem ze schowka walizkę i zacząłem byle jak srać z wieszaków swetry, koszule i spodnie. Jedna walizka. Dużo mi nie trzeba. Nagle spadła mi na głowę spodnica Saxony. Zerwałem ją z siebie z furją i cisnąłem na ziemię. Spokojnie, mówiłem sobie, nie denerwuj się stary, masz jeszcze co najmniej godzinę, zanim ona wróci. Tylko się nie daj zwariować, a w piętnaście minut będziesz spakowany i gotowy do wyjścia. Wyprostowałem plecy i spróbowałem regularnie oddychać. Wydawałem odgłos ziajanego psa.

Co powinien zabrać ze sobą uciekinier? W dodatku taki, któremu wszystkie leki i koszmarny depczą po piętach? Powinien zabrać rzeczy. Wrzucić do torby szereg przedmiotów, zastraszyć zamek i nawet nie starać się myśleć, bo myślenie pochłania czas, a czasu nie ma.

Zadzwonił telefon. Chciałem go zignorować, ale wszyscy przecież wiedzieli, że jestem w domu. Anna wiedziała, że jestem w domu, a ja chciałem, żeby wszystko do ostatniej chwili wyglądało jak najnormalniej, do momentu, kiedy wskoczę w samochód. Odebrałem po piętnastym dzwonku. Już samo to było błędem, bo wszyscy od dawna wiedzieli, że mam zwyczaj podnosić słuchawkę po pierwszym, najdalej drugim dzwonku.

Zanim się odezwałem, chrząknąłem kilkakrotnie.

– Halo?

artykuły White'a. Kiedy się o nim dowiedział, napisał do krytyka z podziękowaniem. Korespondowali przez wiele lat, aż do śmierci White'a.

W dwa lata po „Brzaskwiniowych cieniach” ukazał się „Smutek Zielonego Psa”, który natychmiast wspiął się na szczyt listy bestsellerów. White żartował wtedy w liście do France'a: *Wielce szanowny Panie France! Nigdy dotąd nie znalazłem osobiste słownego pisarza. Czy Pan nim właśnie został? Jeżeli tak, to czy mógłby mi pan pożyczyć sto dolarów? Jeżeli nie, to dzięki Bogu*. Dwie pierwsze książki zostały gwałtownie wznowione, France otrzymał zamówienie na antologię swoich ulubionych opowiadań dla dzieci, Walt Disney wymyślił filmową wersję „Brzaskwiniowych cieni” – Marshall France stał się Kimś.

Mimo to, grzecznie odpisał Disneyowi, żeby się pocałował w nos. Podobnie postąpił z wydawcą proponowanej antologii dla dzieci. Na wszystkie tego typu propozycje odpowiadał odmownie, a niebawem w ogóle przestał odpowiadać – kazał sobie wydrukować kartki z gotowym tekstem, że Marshall France uprzejmie dziękuje, ale z przykrością zawiadamia „Kartki przypominały odmowę na przyjęcie subskrypcji czasopisma Anna podarowała mi taką jedną na urodziny, oprawioną w ramki, z nagryzonym przez France'a wizerunkiem bułteriera.

Otrzymywał dosłownie setki propozycji. Jakas firma chciała produkować serię gumowych lalek przedstawiających postacie z „Krainy Chichów”, inna – ołówki „Zielony Pies”, jeszcze inna – radiodiodniki wzorowane na Radio-Obłoku z „Brzaskwiniowych cieni”. Wedle słów Anny i moich późniejszych obserwacji, większość tych firm podjęła produkcję, mimo że France nie wyraził na nią zgody. Zdaniem Anny, stracił setki dolarów, ponieważ nie chciał zaskarżyć producentów do sądu. Dawid Louis znalazł mu adwokatów, gotowych obłupić piratów ze skóry, ale France twardo odmówił procesowania się. Nie życzył sobie awantur, nie chciał, żeby mu zwracano głowę, nie chciał się babrać w zmudnych dochodzeniach, nie chciał wyjeżdżać z Galen. W końcu nawet Louis dał za wygraną, chociaż jeszcze przez długie lata przysyłał France'owi próbki po piracku produkowanych maskotek, latarek kieszonkowych i innych drobiazgów, żeby mu uzmysłowić, jakie sumy traci przez swój upor. Całe jedno popołudnie przesiedzieliśmy z Anną w piwnicy, wydobywając rzeczne dowody winy ze zmurszałych kartonowych pudeł popychanych po kątach wiele lat temu.

– Gdyby David Louis się o tym dowiedział, szlag by go trafił. – Anna wyjęła z pudła książeczkę do kolorowania „Zielony Pies”. – Te rzeczy stanowiły połowę moich zabawek.

Otworzyła książkę i pokazała mi obrazek. Obrazek przedstawiał Krang i Zielonego Psa, idących razem kretą drogą. Sznurek od Krang przywiązany był na kokardkę do obroży psa. Obrazek był do połowy pokolorowany: pies na niebiesko, Krang w całości na żółto, droga w czerwone fale.

– Co by powiedział twój ojciec na widok Zielonego Psa pomalowanego na niebiesko!

– To była jego wina! Pamiętam to dokładnie, zapytałam kiedyś, czy Zielony Pies był przedtem innego koloru. Ojciec odpowiedział na to, że zanim książka powstała, pies był niebieski, ale że bym nikomu o tym nie mówiła, bo to tajemnica.

Pogłodziła błękitny korpus – nie wiem, czy psa, czy pamięci po ojcu.

Patrzyłem na nią i pytałem sam siebie, co z nami będzie. Anna miała trzydzieści sześć lat (w końcu zdobyłem się na odwagę i zapytałem, a ona z kamienną twarzą tak mi właśnie odpowiedziała), a ja trzydzieści jeden, zresztą nie to było najistotniejsze. Jeżeli rzeczywiście chciałem z nią zostać, musiałbym spędzić resztę życia w Galen. A czy to takie złe? Mogłbym tu pisać książki – może w następnej kolejności o moim ojcu – uczyć angielskiego w galenskim gimnazjum, przejechać się gdzieś od czasu do czasu. Zawsze trzeba by było w końcu wrócić do Galen, ale ta myśl mnie nie przerażała. Mieszkać w domu idola, kochać się z jego córką, być kims ważnym dla Galenczyków – bo kto wie, czy nie skoncze jako ich zbawiciel?

– Saxony będzie nas musiała wkrótce opuścić, zdajesz sobie z tego sprawę, Tomaszu.

Wynurzyłem się z mgły marzeń i zakaszlałem. W piwnicy było wilgotno i zimno, a gruby sweter zostawiłem na gorze, w sypialni.

– Co? O czym mówisz?

– Mówię, że będzie nas musiała wkrótce opuścić. Ty wiesz wszystko o Galen, więc zostaniesz z nami i napiszesz książkę, ale ona nie ma z tym już nic wspólnego. Musi odejść. Mówiła głosem tak opanowanym, tak beznamiętnym, że aż nie mogłem w to uwierzyć. Mówiąc, kartkowała książeczkę do kolorowania.

– Ale dlaczego, Anno? – jęknąłem. No i po jaką cholera ja jęczałem? Cofnąłem jęk, zastępując go zdrowym, twardym oburzeniem: – Co to za gadanie?

Cisnąłem maskotkę do pudła.

- Już ci tłumaczyłam, Tomaszu - w Galen mogą mieszkać wyłącznie ludzie ojca. Ty teraz możesz tu zostać, ale Saxony nie. Ona jest obca.

Palałem się teatralnie w czoło i spróbowałem obrócić sprawę w żart.

- Nie wygłupiaj się, Anno, przemawiasz do mnie jak Bette Davis w „Cicho już, cicho, słodka Charlotte”. Przeszedłem na akcent głupej damulki z Południa - Bardzo mi przykro, Gilberte, ale Jeanette będzie musiała odejść - roześmiałem się ponownie i zrobiłem głupią minę. Anna w odpowiedzi uśmiechnęła się słodko.

Nie wygłupiaj się, Anno! Nie opowiadaj głupstw! To żarty, przyznaj się, prawda? Prawda? Po co to głupie gadanie? Co ci za różnica, czy ona tu jest, czy jej nie ma? Nic jej nie mówiłem, zapewniam cię.

Anna odłożyła malowaną do pudła i wstała. Zamknęła karton i zabezpieczyła go brązową taśmą klejącą, którą przyniosła z góry. Zaczęła spokojnie popychać pudło nogą z powrotem do kąta, ale złapałem ją za przegub ręki i zmusiłem, żeby na mnie spojrzała.

- Dlaczego?

- Dobrze wiesz, dlaczego, Tomaszu. Takie pytania to strata czasu.

Poczułem ten sam gniew, którym poraziła wtedy w lesie Ryszarda Lee.

W dziesięć minut później dobiegła atmosfera do reszty, oświadczając mi, że muszę już iść, bo ona ma się spotkać z Ryszardem.

Ledwo wróciłem do domu, odbyła się karczemna awantura z Saxony. Poszło o jakiś drobiazg, który miałem dla niej załatwić, ale zapomniałem. Jednak furia, która buchnęła z nas obojga, miała swoje źródła w tym, co tak długo tłumiliśmy. Po kilku minutach Saxony była czerwona jak burak, a ja złapałem się na tym, że zaciskam i rozluźniam pięści, jak zdesperowany małżonek w komedii sytuacyjnej.

- Ciągłe ci to powtarzam, Tomaszu - jeżeli jest ci tutaj tak źle, to czemu sobie po prostu nie pójdziesz?

- Saxony, nie mogłabyś trochę spuścić z tonu? Nie mówiłem przecież...

- Owszem, mówiłeś. Skoro tam jest tak świetnie, to idź tam! Myślisz, że ja się zachwycam twoim bieganiem na paluszkach od niej do mnie i z powrotem?

Spróbowałem zgromić ją spojrzeniem, ale nie był to najlepszy moment na kto-dłużej-wytrzymaj. Odwróciłem wzrok i dopiero po chwili znowu spojrzałem na Saxony. Dalej się dąsała.

- Czego ty chcesz ode mnie, Sax?

- Przesłań mi wreszcie zadawać to pytanie! Udajesz bezradnego. Chcesz, żebym ja za ciebie odpowiedziała, ale ja tego nie zrobię! Chcesz, żebym cię stąd wyrzuciła albo zażądała, żebyś ją rzucił i był tylko ze mną. Ale ja tego nie zrobię, Tomaszu. To ty jesteś wszystkiemu winien. Ty tego chciałeś, więc teraz musisz sam postanowić, co z tym zrobić. Kocham cię i dobrze o tym wiesz. Ale już niedługo będę w stanie znieść tę sytuację. Uważam, że powinienes jak najszybciej podjąć jakąś decyzję - skończyła niemal szeptem, musiałem się nachylić, żeby wychwycić jej ostatnie słowa. Następne za to były jak eksplozja, aż odskoczyłem - Jaki ty jesteś głupi, Tomaszu! Chwilami miałabym ochotę cię udusić! Naprawdę jesteś taki głupi? Nie rozumiesz, jak wspaniale mogłoby być nam razem? Skończyłbyś tę książkę, wyjechalibyśmy stąd i przeżyli sto różnych cudownych żywotów. Nie widzisz, co Anna z tobą robi? Ściąga cię na kolana przed makabrycznym ołtarzykiem ku czci własnego ojca...

- Zaraz, zaraz, Saxony, przecież i ty podobno jesteś wielbicielką Fran...

- Wiem, wiem, ja też. Ale ja już mam dosyć Marshalla France'a, Tomaszu. Nie chce się kochać ani z książką, ani z marionetką. Chcę się kochać z tobą. Możemy robić wszystko, bo wszystko ma swój czas, ale reszta tego czasu jest dla nas. Czekaj! Poczekaj tu chwile! Wstała z fotela i pokustkała do kuchni. Po chwili wróciła z kilkoma marionetkami w ramionach. - Widzisz? Wiesz, po co je zrobiłam? Żeby nie myśleć. Oto cała prawda. Pomysł, jakie to żalosne, że całymi populudniami siedzę i dłużej w drewnie, tylko po to, żeby jak najmniej myśleć, gdzie ty akurat jesteś i co robisz. Kiedy jechałismy w te strone, do Galen, po raz pierwszy w życiu nie co dzień zajmowałam się pracą. I to było cudowne! Laiki mnie nie obchodzili, za dużo działa się z tobą. Wiem, jak ta książka jest dla ciebie ważna. Wiem, jakie to ważne, żebyś ją skończył...

Nie bardzo cię rozumiem, Sax.

- Okej, przepraszam. Pamiętasz pierwszy dzień, kiedy tu przyjechalismy? Ten rozen na wolnym powietrzu?

Zagryzłem górną wargę i kiwnąłem głową.

Pamiętasz, że ledwo otworzyłam usta do Gaseczki, zaraz powiedziałam jej o książce?

- Pamiętam, jeszcze jak! Myślałam, że cię zamorduje. Dlaczego to zrobiłaś? Przecież się umawialiśmy.

- A co myślałeś? Robią w majtki ze strachu!

- Ilu osobom wydarzyło się dotąd coś podobnego?

Ryszard pokreślił głową i odstawił kieliszek na stół do góry dnem.

- Nie wiem, chyba nie za wielu, ale teraz każdy się trzęsie, że on będzie następny. Wszyscy chcą wiedzieć, kiedy skończysz tę cholerną książkę.

Szała grała dalej, ale rozmowy wokół niej ucichły jak nożem uciął.

Zwalczyłem ziewnięcie i tylko w duchu życzyłem sobie gorąco już tu nie być.

- Sporo napisałem. Ale nadal zostało bardzo wiele do zrobienia. Mówię szczerze. Nie chcę kłamać w tej sprawie.

- To nie odpowiedź na jego pytanie, Abbey.

- A co mam odpowiedzieć? Co chcecie usłyszeć? Że książka będzie gotowa za dziesięć minut? Nie, nie będzie gotowa za dziesięć minut. Chcecie, żebym to zrobił solidnie i jak należy, a z drugiej strony chcecie to mieć już, natychmiast. Czy nie wydaje wam się, że tkwi w tym jakaś sprzeczność?

- Pieprze twoją sprzeczność, dupku żołądny!

- W porządku, pieprz sobie, pieprz. Możesz tak gadać, bo nie ty piszesz tę książkę. Jeżeli ją spa-prze, to nic się tu nie zmieni. Właśnie dlatego France był taki wielki, nie rozumiecie? Dlatego w ogóle istnieje. On potrafił pisać jak nikt inny na świecie. Na Ilość Boską, jak można tego nie rozumieć? Ktokolwiek pisze książkę o nim, musi się starać napisać ją równie dobrze... nie, nawet lepiej niż on sam pisał swoje książki, kroniki, wszystko, wszystko co pisał. Książka o nim musi być jeszcze lepsza. Musi.

Jeszcze jeden głos wybił się ponad wilgotny półmrok baru:

- Przymknij się, Abbey. Kończ książkę w tempie i tyle, bo inaczej cię upieprzymy tak samo jak tamtego pisemka.

Drzwi się otworzyły i do knajpy weszła para grubasów, mężczyzna i kobieta. Rozpromienieni. Nigdy ich dotąd nie spotkałem, więc uznałem, że nie pochodzą z miasteczka. Normalni. Facet uderzał się po udzie kapeluszem.

- Nie wiem jak się ta dziura nazywa, Dolly, ale jeżeli mają tu dla mnie drinka, to jest to obszar zaprzyjany. Moje uszanowanie, przyjacielu. Zimno jak cholera, co?

Zasiedli na stołkach barowych na wprost mnie, a ja nie posiadałem się z radości, że tu weszli, miałem ochotę ich wycalować. Ruszyłem do wyjścia. Ryszard bawił się pustym kieliszkiem, obracał go powoli w koncach palców. Obserwował mnie kiedy wstawałem, ale nic nie powiedział. Podszedłem do drzwi po kurtkę. Ubierając się, rzuciłem okiem na bar, przy którym para grubasów z ożywieniem konwersowała z barmanem.

Na dworze wiatr rzucił się na mnie z rozwartą paszczą, ale tym razem była to wręcz pieszczota. Ford Econoline, furgonetka, zajeżdżał na parking. Ksiądz Pająk z „Krainy Chichów” wysiadł zza kierownicy i postawił kołnierz czerwonej nylonowej kurtki. Dostrzegłszy mnie, pomachał ręką bez przekonania.

- Siemasz, Tom, jak książka?

Wielkimi krokami przemaszerował do masywnych dębowych drzwi i zniknął w knajpie, wciąż jako Ksiądz Pająk.

Zatrzymałem się i czekałem, co będzie. Gdyby w knajpie nie było pary grubasów, nie byłoby na co czekać, ale oni tam byli, a kto im miał, z przeproszeniem, wyjaśnić to, co widzieli?

Drzwi otworzyły się z hukiem i na dwór wypadli trzej mężczyźni z obezwładnionym Księdzem Pająkiem. Zamykane drzwi huknęły po raz wtóry, a potem już jedynym odgłosem był odgłos butów na rozmokej brei drogi. Byli już blisko wozu Ksiedza, kiedy Mel Dugan zauważył mnie i przystanął.

- Masz skończyć tę zafajdaną książkę, Abbey! Masz ją skończyć czym prędzej, albo ci ją powyrywam!

*

Sprawdziłem w programie telewizyjnej projekcji „Cafe de la Paix” miała się zacząć o jedenastej trzydziestu. Była jedenasta dwadzieścia pięć, więc wyjąłem z lodówki colę i serek z zieloną papryką, który sam kupowałem na targu.

Telewizor był czarno-biały, marki Philco, z dużym ekranem. Przy okazji świetnie ogrzewał nogi w zimowe wieczory. Przysunąłem sobie bujany fotel, ustawiłem na małym stoliku colę i ser, nogi w skarpetkach przytuliłem do ścianki telewizora. Gruchnęła muzyka - kombinacja „Marsylianki”, „Rule Britannia” i „Tobie, Moja Ojczyzno”. Należy pamiętać, że film powstał w roku 1942.

Ujęcie Wieży Eiffla. Powolny najazd kamerą na Champs Elysées, wytapetowane faszystowskimi flagami. Zbliżenie na tabac, gdzie mały grubasek w berecie sprzedaje gazety dziecku, papierosy starszemu gościowi, a następnie plik czasopism rece, która odbiera pisma, ale nie płaci. Ujęcie twarzy grubasa w momencie przekazywania pism. Czyste uwielbienie. Włącza się dźwięk: „Merci”. Kamera wolno węd-

Dostałem list od matki i w poczuciu winy, że nie kontaktowałem się z nią od września, zadzwoniłem i pogadałmy o tym, jak mi się znakomicie wiedzie.

Któregoś dnia rano Joanna Collins podeszła do kołyski swojego nowo narodzonego dziecka i zastała w niej smacznie śpiącego trzytygodniowego bullteriera.

■

Uznałem, że mam dość pracy jak na jeden dzień i należy mi się kieliszek w „Zielonej Oberży”. Była dziewiąta wieczór, w miasteczku panowała martwa cisza. Śnieg na jezdni zmienił się w rozjeżdżoną breję, ale chodnik nadal się bielił i skrzypiał pod nogami. Z ciemności wiał bezgłosny, złośliwy wietrzyk. Od czasu do czasu przyczał się, czekał, aż człowiek wychynie z ukrycia i wtedy atakował na całego. Na kablach telefonicznych pozamarzały lodowe osłonki, a porywisty wiatr targał drutami i strącał z nich podłużne połówki lodowych rurek. Zanim doszedłem do knajpy, wiedziałem już z całą pewnością, że trzeba było albo siedzieć w domu, albo zabrać przeklęty samochód. Taki był mroz.

Do oberży wchodziło się przez grube debowe drzwi, których sforsowanie wymagało sporej siły. Fala zatechłego ciepła i dymu tytoniowego mieszała się z głosem George’a Jonesa z grającej szafy. Pies knajpiany - chyba prawdziwy pies - imieniem Fanny zbliżył się do mnie merdając ogonem. Był tu stałym delegatem do witania gości. Zdjąłem rękawiczkę i poklepałem psi łeb. Był ciepły i wilgotny.

Dzięki ciemnościom na dworze, nietrudno było przestawić się na mizerne, zadymione światło wnętrza knajpy.

Znałem większość gości: Iana Phenda, Johna Esperiana, Neila Bulla, Vince’a Flynnna, Dave’a Martwego.

- Jak leci, Tom?

Odwrociłem się i wyteżyłem wzrok. Ryszard Lee podniósł się od stołu i podszedł do mnie.

- Czego się napijesz, Tom?

Pociągnąłem zakatarzonym nosem.

- Chyba piwo i malucha.

- Piwo i malucha. Niezła myśl, Johnny, dwa piwa i dwa maluchy!

Ryszard usmlechnął się i podszedł jeszcze bliżej. Klepnął mnie w ramię i nie cofnął ręki.

- Chodź, Tom, śladaj z mną. Szlag by trafił te barowe stoiki, model tyłek-w-górę-przyjacielu.

Zdjąłem kurtkę i powiesiłem ją na drewnianym kołku przy drzwiach. Dopiero teraz poczułem i inne zapachy wnętrza: perfumy, frytki, mokra skóra zwierzęca.

- No więc jak tam, synku, jak ci się mieszka u Gaseczki? Już mamy co pić. Dzięki, Johnny.

Łyknąłem piwa i posmakowałem whisky. Jedno bardziej gorzkie od drugiego, whisky gestym ogniem paliła żołądek. Ale razem nie było takie złe, po długim spacerze na mrozie.

- Coś mi się zdaje, szefie, że od wypadku Phila Moona Anna nie jest z ciebie specjalnie zadowolona, co?

- Jakbyś zgadł. - Wypiłem jeszcze krople whisky.

- No właśnie, tak mi się wydawało. Słyszałeś o dzieciaku Collinsów?

- Słyszałem. Dalej jest... psem?

Lee uśmiechnął się szeroko i dopił piwo.

- Pewnie tak. Jak ostatnio o nim słyszałem, było psem. Ale tu się wszystko tak szybko zmienia, że nigdy nie nie wiadomo. - Łyknął whisky i przestał się śmiać. - Jedno ci powiem, szefie - zdycham ze strachu.

Zgarbiłem się nad stolikiem, usiłując mówić jak najciszej.

- Ale dlaczego, Ryszardzie? Rozumiem, że inni - że się boją - ale ty jesteś przecież normalny?

Opuszciliśmy głowę i patrząc na niego spod oka, ostatnie słowo wymówiłem szeptem.

- Do dupy z taką normalnością! Ja jestem, dobra, ale moja żona nie jest, i dzieciaki też nie. Wiesz, co się ostatnio dzieje z moją Sharon? Któregoś dnia rano, w zeszłym tygodniu, przewracam się z boku na bok - patrze - a tu koło mnie na poduszce leży pieprzony latawiec! Uwierzyłbys w coś takiego?

Nic się nie odezwałem, ale mu uwierzyłem. Sam byłem tego świadkiem podczas kolacji w domu Ryszarda.

- Ja ci kitu nie wciskam, Tom. Mówię ci, postacie Marshalla nagle powariowały. Nie dość, że dzieją się rzeczy, o których nie ma w „Kronikach”, to jeszcze im się wszystko popieprzyło i zmieniają się w te i wewte. Taki dzieciak Collinsów, dajmy na to - spojrzysz raz - niemowlak, spojrzysz drugi raz - pieprzony pies! - Wyrwał mi spod ręki kieliszek z whisky i opróżnił go jednym haustem. - Co człowiek w takiej sytuacji ma robić? Doszło do tego, że boję się odwrócić, bo zaraz myślę, że żona albo któraś z córek w coś się zamieniła. A jak którejś tak zostanie?

- Co one na to?

Odłożyła marionetki na kanapę i obiema rękami przejechała po włosach. Dopiero ten gest uświadomił mi, jak bardzo jej włosy urosły. I nigdy jej nie mówiłem, jakie są ładne.

Słyszałeś coś o kobiecej intuicji? Nie rob głupich min, Tomasz, to prawda. Coś takiego istnieje. Dodatkowy zmysł, albo co. Pamiętasz, mówiłam ci, że wiedziałam, kiedy zacząłeś sypiać z Anną. Zresztą nieważne, możesz mi wierzyć lub nie, ale od chwili przybycia tutaj czułam, że jeżeli weźmiesz się za tę książkę, to między-nami coś się popsuje. Robiłam co mogłam, żeby nas stąd wyrzucili jeszcze tego samego dnia. Przepraszam, ale taka jest prawda. Myślałam, że kiedy im powiem, co zamierzamy, za nic w świecie nie dopuszczą nas do Anny France.

- Sabotaż.

- Zgadza się. Próbowaliśmy sabotować nasze przedsięwzięcie. Nie chciałam do niego dopuścić, po tym, jak tak bardzo byliśmy razem przez kilka dni. Bo czułam, że kiedy wejdziesz w tę książkę, wszystko się popsuje. I nie myliłam się, prawda?

Pozbierała marionetki i wyszła z pokoju. Tej nocy już więcej nie rozmawialiśmy.

W dwa dni później, przed halą targową, wpadłem prosto na panią Fletcher. Pchała metalowy wózek, na którym pietrzył się pięćdziesięciopuntowy wor ziemniaków i z dziesięć butli syropu z suszonych siwek.

- Witaj, przybyszu. Rzadko cię ostatnio widuję. Taki zapracowany?

- Dzień dobry pani. Tak, dosyć.

- Anna mówi, że książka posuwa się jak najlepiej.

- Owszem, to prawda.

Myślałem o stu rzeczach naraz i doprawdy nie byłem w nastroju na zdawkowe pogawędki.

- Musisz jak najszybciej odesłać stąd Saxony, Tom. Wiesz o tym?

Gdzieś zaszczekał pies, zawarczał ruszający samochód. W chłodnym powietrzu rozniosła się won spalin.

Kluska gniewu i rozpacz utknęła mi w przełyku.

- Co komu za różnica, czy ona tu zostanie, czy wyjedzie? Jak Boga kocham, już mi bokiem wytłazi wysłuchiwanie dobrych rad. Komu przeszkadza Saxony?

Pani Fletcher przestała się uśmiechać.

- Anna nic ci nie mówiła? - Położyła mi dłoń na ramieniu. - Naprawdę nic ci nie powiedziała?

Ton jej głosu przeraził mnie.

- Nie, nic. A co mi miała mówić? O co pani chodzi?

Samochody i ludzie poruszali się obok nas jak ryby w akwarium.

- Czy widziałeś... Nie, nie mogłeś widzieć. Posłuchaj, Tom, jeżeli powiem ci za dużo, mogę mieć poważne kłopoty. Nie żartuję. To bardzo niebezpieczne sprawy. Powiem ci tylko tyle - udala, że poprawia coś w wózku z zakupami - powiem ci, że jeżeli nie odesłesz stąd Saxony, ona się rozchoruje. Rozchoruje się tak poważnie, że w końcu umrze. Tak było w „Kronikach”. W ten właśnie sposób Marshall izolował Galen od reszty świata.

- A ja? Dlaczego ja się nie rozchoruję? Przecież też jestem obcy.

- Ty jesteś biografem. Jesteś chroniony. Tak to napisał Marshall i tego nie da się zmienić.

- Co mi tu pani opowiada o „Kronikach”, pani Fletcher! Już od dawna nic nie dzieje się tak jak zostało zapisane w „Kronikach”. Wszystko się pokiełbasilo.

- Nie, Tom, myślisz się. Odkąd zacząłeś pisać, znowu wszystko idzie jak należy - w tym cała rzecz. - Potarla usta wierzchem dłoni. - Musisz ją stąd odesłać, Tom. Posłuchaj mojej rady. Nawet jeżeli w „Kronikach” coś się pokreśliło i Saxony nie zachoruje, to przecież wiadomo, że Anna jej tu nie chce. Tym się głównie powinienes martwić. Anna to silna kobieta, Tom. Nie warto z nią zadzierać.

Pani Fletcher oddaliła się pospiesznie w swoją stronę. Szła przez parking, hurgocząc metalicznie wózkiem na zakupy.

★

- Bardzo jesteś zajeta?

Siekała lodygi selera na małym drewnianym kločku rzeźniczym, który jej kupilem.

- Wyglądasz jakbyś był chory, Tomasz. Nic ci nie jest?

- Nie, czuję się świetnie, Sax. Słuchaj, ja już cie nie chcę dłużej okłamywać. Powiem ci dokładnie, co o tym wszystkim sądzę, a tym mi powiesz, jaka jest twoja decyzja.

Odłożyła nóż i przeszła do zlewu, żeby umyć ręce. Wrocila do stołu, wycierając dłonie w żółtą ściereke, której nigdy przedtem nie widziałem.

- Słucham.

- Sax, jesteś dla mnie kimś niesamowicie ważnym. Jesteś jedyną znaną mi osobą, która widzi świat prawie tak samo jak ja. Czegoś podobnego nigdy przedtem nie doświadczyłem.

- A Anna? Ona nie widzi po twojemu?

- Nie, ona jest całkiem inna. Moją związek z nią jest całkiem inny. Wydaje mi się, że wiem dość dobrze, jak by to było, gdybyśmy zostali razem, ty i ja.

Saxony dalej wycierała ręce, długo, starannie.

- I to jest właśnie to, czego chcesz?

To jest właśnie to, czego nie jestem pewien, Sax. Wydaje mi się, że chce, ale nie wiem na pewno. Na pewno chce skończyć te książki. To niezwykle, że równocześnie, w tym samym momencie życia, natrafiam na dwie sprawy tak bardzo dla mnie istotne. Wolałbym, żeby stało się inaczej, ale stało się właśnie tak. Dlatego muszę spróbować wybrnąć z sytuacji jak najlepiej, chociaż na pewno wydaję głupio i źle. Nieważne. Na razie wymyśliłem coś takiego - jeżeli się, oczywiście, na to zgodzisz - gdyby miało być tak jak ja chcę, to chciałbym, żebyś na pewien czas wyjechała. Do czasu aż skończę pisać wstępną wersję książki i uporządkuję sprawy z Anną.

Skrzywiła się gorzko i upuściła scierkę na stół.

- A jeżeli nie uda ci się „uporządkować spraw” z Anną? To co wtedy, Tomaszu?

Sluszenie pytasz, Sax. Szczerze mówiąc, nie wiem, co wtedy. Wiem tylko, że tak jak jest teraz, jest nie w porządku. Nikt nie jest zadowolony, wszyscy są skrajnie upięknie tym całym zamieszaniem. To moja wina, wiem. Wiem - a jednak to się musi odbyć do końca, inaczej...

Podniosłem scierkę i określiłem ją sobie wokół pięści. Scierka była wilgotna.

- Inaczej co? Co musi się odbyć do końca - pisanie książki czy sypanie z Anną?

- Dobrze, będę szczerzy: jedno i drugie. Jedno i drugie musi się odbyć do końca, jeżeli...

Saxony wstała. Wrzuciła sobie do ust mały słupek selera naciowego.

- Chcesz mnie stąd odesłać, żeby dopisać szkic książki i ewentualnie zakończyć „historię” z Anną. Tak chcesz, prawda? Dobrze, Tomaszu, wyjadę. Pojadę do St. Louis i będę tam czekała trzy miesiące. Będziesz mi musiał dać trochę pieniędzy, bo nie mam ani grosza. Ale po trzech miesiącach wyjadę z St. Louis. Bez względu na to, czy ty tam do mnie przyjeżdżasz, czy nie - Skierowała się do drzwi. - Tyle ci jestem winna, ale w całej tej sytuacji zachowałeś się jak ostatni gnojek, Tomaszu. Dobrze, że w końcu na coś się przynajmniej zdecydowałeś.

W dniu, w którym odjeżdżała, padał śnieg. Stołce jeszcze nie weszło, ale bliski świt wymalował wszystko na kolor bielekinozary. Kiedy zobaczyłem, co się święci na dworze, sam nie byłem pewien, czy się ciesze, czy smucę, że może zasypie nas śnieg i Saxony jednak nie wyjedzie. Niepewnie podszedłem do okna, żeby mieć lepszy widok i zobaczyłem, jak wysoko śnieg zawił ganek. Padał dalej, ale duże płatki dryfowały wolno, ukosnie, i przypomniałem sobie, nie wiem skąd, że to oznacza, że śnieg wkrótce przestanie padać. Dom nie zdradzał jeszcze śnieżnej niespodzianki - podłoga pod bosymi stopami była ciepła i chociaż miałem na sobie tylko slipy i gore od piżamy, nie czułem chłodu.

Śnieg. Moją ojciec go nieznawidził. Kiedyś był zmuszony krecić film zimą w Szwajcarii i nigdy nie wyszedł z szoku. Lubił okolicę ciepłą, tropikalną. Basen na podwórku za domem był specjalnie dla niego podgrzewany do co najmniej trzydziestu stopni Fahrenheita. Raj ojciec wyobrażał sobie jako nieustającą falę upałów w dżungli amazońskiej.

Saxony zabierała tym razem tylko jedną walizkę. Reszta jej rzeczy - notatki, marionetki i książki - zostawiła ze mną w Galen. Nie mówiła mi, co zamierza robić w St. Louis, ale trochę się zmartwiłem, że nie spakowała marionetek ani narzędzi. Jej torba stała na podłodze pod oknem. Popchnąłem ją o parę cali w bok bosą nogą. Co będzie za trzy miesiące? Gdzie ja będę? A książka? I wszystko? Nie, nie wszystko - Galenczyzy będą w swoim Galen, tak samo Anna.

Saxony jeszcze spała, kiedy chyłkiem zgarnąłem z krzesła swoje ciuchy i na palcach wymknąłem się do łazienki, żeby się ubrać. Postanowiłem przyszykować prawdziwe pożegnalne śniadanie: w tym celu zakupiłem nawet pokazowego grapefruita prosto z Florydy.

Parówki, jajecznicę z kwasną śmietaną, świeży chleb pełnoziarnisty i grapefruit. Wyjałem wszystko z lodówki i ułożyłem na stole w rzędzie, jak wojsko. Śniadanie dla Saxony. W południe już jej tu pewnie nie będzie. Koniec z włosami na umywalce, koniec awantur o Anne, koniec Rocky'ego i Bullwinkle'a w telewizji o czwartej po południu. Koniec, koniec z tym wszystkim. Zabrałem się do przyrządzania śniadania jak szalony kucharz, bo już zaczynałem z nią tęsknić, chociaż nawet jeszcze nie wstała. Weszła do kuchni w tym samym stroju, który miała na sobie w dniu, w którym się poznałem. Z tego wszystkiego spaliłem trzy parówki.

Saxony zapytała, czy byłbym uprzejmy zadzwonić na dworzec autobusowy i dowiedzieć się, czy

Road, ponieważ raz zmierzylili czas przejazdu i okazało się, że ta droga jest o cztery minuty krótsza, chociaż z drugiej strony, na Interstate można się było przez milę, dwie, solidnie rozpędzić.

Wiedziałem o tym wszystkim tak dokładnie, bo raz wybrałem się z nimi na kregle, a oni po drodze omawiali we czworke blaski i cienie środowych i piątkowych wieczorów.

Tego wieczoru, kiedy zdarzył się wypadek, jechali Interstate. Larry za szybko zjeżdżał z autostrady swoim fioletowym 442, wpadł na podłużną ślizgawkę i pedząc wezykiem od bandy do bandy, skosił po drodze znak stopu zatknął u stóp zjazdu. Z boku najechała na nich ciężarówka firmy Sux, Baer i Fuller, która pchała samochód jeszcze przez jakieś dwadzieścia stop po zsośle.

Karoseria po stronie Larry'ego była sprasowana jak naleśnik - cud, że Larry żył. Jego żona, która siedziała za nim, miała złamane obie nogi i prawą rękę. Phil doznał poważnego wstrząsu mózgu, a żona Phila złamała obojczyk.

„Kroniki” o niczym podobnym nie wspominały.

O wypadku dowiedziałem się od Anny, która zadzwoniła do mnie ze szpitala okręgowego. Opowiedziała mi wszystko z detalami. Głos miała niepewny i przerażony. Z początku źle sobie tłumaczyłem jej zdenerwowanie, aż mi przypomniała, o co chodzi.

- Teraz już zupełnie nie rozumiem, co to ma znaczyć, Tomaszu.

W ile słyszałem krzanie, rozmowy, kogoś wywoływano przez megafon.

- Co?

- Po raz pierwszy od czasu, jak zacząłeś pisać biografie, coś poszło nie tak. Nie rozumiem tego.

- Słuchaj, Anno, to jeszcze o niczym nie świadczy. Może za wcześniej się ucieszyłaś? Jak wszystko może iść bez zakłóceń, skoro książka nie jest jeszcze ukończona?

Mówiąc to, zdumiałem się własnej pewności siebie. Mówiłem tak, jakby to była czysta formalność - ja skończę książkę, a Marshall France powstanie z martwych.

Czekałem, co powie Anna. Przez megafon wzywano niejakiego Doktora Bradshawa.

- Anno? Czy ktoś jest z tobą?

- Ryszard. - Odłożyła słuchawkę.

Pracowałem jak opętany. Po dwie, trzy, cztery strony rano, po południu lektura materiałów, wieczorem następne trzy albo cztery strony.

Szok poznania tajemnicy Galen nie minął, ale ponieważ wiodłem tam zwykle, codzienne życie, musiałem zaakceptować ten świat. Byłem cma, a miasto płomieniem świecy - krążyłem wokół niego, często nie widząc innego wyjścia, jak tylko pisać i pisać.

Żyłem wewnątrz największej kreacji artystycznej w dziejach świata. Byłem skromnym kronikarzem życia jej twórcy. Czy moja biografia przywróci mu życie, czy też... Nie, nie, to wcale nieprawda. Chciałem powiedzieć, że wszystko mi jedno, czy moja biografia przywróci mu życie, czy nie, ale byłoby to łgarstwo. On sam uważał to za możliwe, a jego córka właśnie mnie wybrała na wykonawcę zadania. Między innymi dlatego wysłałem Saxony z Galen. Drugim powodem była, nie ukrywam, Anna, chociaż od dnia wypadku samochodowego nie kochaliśmy się za często. Zakładałem, że Ryszard bez skrupułów robi swoje, ale nawet to już mnie tak bardzo nie dręczyło, ponieważ całą energię - dosłownie całą energię - ładowałem w pracę. Nadal byłem ciekaw, dlaczego Anna z nim sypia, i miałem już na ten temat pewną hipotezę. Założmy, że Ryszardowi znudziło się mieszkac w Galen. Skoro jedynymi „normalnymi” mieszkańcami miasteczka byli Anna i on, to w jaki sposób Anna mogła go tu zatrzymać? W najprostszy - sypiając z nim. Facet pokroju Ryszarda nawet w najśmielszych marzeniach nie myślałby o zdobyciu takiej kobiety jak Anna France. Czyli dopóki go rąkowała i interesowała - należał do niej. I do Galen. Ciekaw byłem, czy z Anną Ryszarda wie, co go łączy z Anną.

Mało wychodziłem z domu. Pani Fletcher gotowała mi, a Anna wpadała co jakiś czas, żeby sprawdzić, jak postępuje praca. Saxony dzwoniła parę razy, ale nasze rozmowy były krótkie, oszczędne i zdawkowe. Ja nie pytałem o Geoffa Wigginsa, ona nie pytała o Anne. Byłem zanadto zmęczony na intrygi i gierki, ale wiedziałem, że nie byłoby roztropnie mówić Saxony, jak daleko zabrnąłem w celibat. W końcu tak ją zirytowały nasze głupie rozmowy przez telefon, że za którymś razem kazała mi się pocałować w nos i wyłączyła się w połowie zdania.

Joanna Collins urodziła chłopczyka, okaz zdrowia, który wedle „Kronik” miał być dziewczynką - okazał zdrowia.

Anna przyszła do mnie i zażądała tekstu do wglądu. Zdumiałem sam siebie, bo zacisnąłem zęby i twardo odmówiłem. Anna poszła sobie, wcale nie zadowolona.

Saxony zadzwoniła z pytaniem, czy zdaje sobie sprawę z tego, że minął już miesiąc.

Odpisałem Tomowi Rankinowi, że bardzo wątpliwe, czy zdążyć na rozdanie dyplomów w czerwcu

Tom Rankin był młodzieńcem o urodzie solonego wegorza: chudy, przygarbiony, długie tuste włosy, wymięte ubranie, duże okulary w grubych ramkach, o wieczne zapackanych szklach. Zawsze podejrzewałem, że nie jest idiotą, tylko brak mu motywacji. Należał do tych, co przeleca książkę po łebkach na dzień przed klasówką i zawsze jakoś wyciągną na te trzy - trzy mniej.

W wyobraźni ujrzałem kolejny wariant „przyszłości Abbeya” - skonczyć biografie i wracać na Wschód razem z Saxony. Uczyć w szkole na poł etatu (może nawet w tej samej, skoro Rankin napisał do mnie taki list), a zresztą czasu poświęcić na pisanie. Kupić stary dom z oknami do ziemi i mosiężną wzytówką na drzwiach, dom, w którym byłoby dość miejsca na oddzielny gabinet dla każdego z nas. Nie wiem, czy to była robota Geoffa Wigginsa, ale po tym telefonie bez przerwy myślałem o Saxony.

Rozdział VIII

- Czy ktokolwiek w ogóle wyjeżdżał z Galen? Ktoś z ludzi Marshalla? - zapytałem panią Fletcher. Zaprosiła mnie któregoś wieczoru do siebie na górę, na filizankę „organicznego kakao” - cokolwiek miało znaczyć to określenie. Smakowało jak kakao.

- Wyjeżdżał? A dużo przeczytałeś z „Kronik”?

- Doszedłem do stycznia tysiąc dziewięćset szeszedziesiąt cztery

Tysiąc dziewięćset szeszedziesiąt cztery? Była taka jedna panienka, nazywała się Susy Dagenais, ale o niej można przeczytać dopiero w tomie z tysiąc dziewięćset szeszedziesiątego piątego. Chyba że chcesz, to ci opowiem.

- Chciałbym.

- Susy Dagenais to była dziewczyna-pistolet. Należała do tych, o których kiedyś pytałeś - tych, co nie chcieli znać swojego losu. Wściekała się, że jest jedną z nas. Stała powtarzała, że czuje się jak błazen w cyrku i że któregoś dnia odejdzie, bo nie wierzy, że wzięła się ślad, skąd się wzięła. Zdaje się, że i pan szanowny coś na ten temat wie, prawda, Tom? Ledwo dziecko zaczyna rozumować, rodzice tłumaczą mu, kim jest i dlaczego jest takie nadzwyczajne. Więcej się dziecku nie mówi, aż ukończy osiemnastkę lat, ale niektóre sprawy trzeba wyjaśnić odpowiednio wcześniej, żeby dzieciak nie zrobił jakiegos głupstwa - na przykład nie nawiał z domu.

- Tak, to wiem, ale co z tą Susy?

- To była wspaniała dziewczyna, ładna, bystra. Wszyscy ją tu bardzo lubili, ale nie dalo się zrobić nic, żeby ją zatrzymać. Spakowała manatki, wsiadła w autobus do Nowego Jorku i tyle ją widzieli. Bidulka, pobyla w tym Nowym Jorku raptem kilka dni i umarła.

- Ale przecież Marshall jeszcze wtedy żył. Dlaczego on jej nie powstrzymał? Przecież mógł, gdyby tylko zechciał.

- Oj, Tom, Tom, ty w ogóle nie myślisz. Owszem, Marshall żył i mógł ją powstrzymać.

- Ale nie powstrzymał!

- Nie, nie powstrzymał. Rusz się głową, Tom. Jak myślisz, dlaczego?

- Przychodzi mi do głowy tylko jedna odpowiedź - chciał wszystkim pokazać, że z nim nie ma żartów. Posłużył się nią jako przykładem. To obrzydliwe.

- Zgadza się. Trafiasz w sedno. Chociaż wahałabym się użyć słowa „obrzydliwe”.

- Jak to nie obrzydliwe? Przecież wymyślił tę nieszczęsną postać tak, żeby od początku nie chciała wiedzieć, potem napisał, że wyjeżdża z Galen i po tygodniu umiera. To nie jest obrzydliwe?

- Od tamtego czasu nikt nie próbował uciekać. A ona była do końca szczęśliwa - pewna, że się wyrwała. A nie wyrwała się.

- Bo on tak napisał! Nie miała wyboru!

- Umiała robiąc to, na co miała ochotę, Tom.

★

Phil Moon i Larry Stone pracowali razem na pocztę w Galen. Przyjaźnili się jeszcze na długo przedtem, zanim obaj poślubił siostry Chandler, ale podwójne małżeństwo jeszcze bardziej ich zbliżyło.

Obaj szaleli za grą w kregle. Obaj byli właścicielami drogich brunszwickich kul, z workami do kompletu i gdyby grali jeszcze odrobinę lepiej, mieliby szansę na zawodowstwo. Ponieważ jednak byli tacy jacy byli, grali w kregle co sroda i co piątek wieczorem w klubie „Harmony Lanes” u Scappy’ego, w pobliskim miasteczku Frederick. Brali na zmianę samochód do jednego, to drugiego, a koszty benzyny dzielili na pół. Od czasu do czasu żony wybierały się z nimi, ale wiedząc, jak mężowie cenią sobie kawalerskie wieczory, szły wtedy do kina, do restauracji albo na zakupy do domów towarowych w Frederick.

Do Frederick można było dojechać dwiema drogami. Albo wskoczyć na autostradę Interstate i zjechać najbliższą odnogą, albo wybrać Garah’s Mill Road, mniej więcej równoległą do Interstate, która prowadziła do ronda w Frederick, a stamtąd można już było odbić w dowolnym kierunku. Na ogół jeździli Mill



autobus do St. Louis kursuje normalnie, mimo śniegu. Zadzwońm z aparatu w holu na dole. Patrzyłem przy tym na śnieg przez częściowo oszklone frontowe drzwi. Przestał padać.

- Śnieg przestał padać!

- Widzę. Nie cieszysz się?

Skrzywiłem się i postukałem nogą w podłogę.

- Dworzec autobusowy Galen, słucham.

- Dzień dobry, co to jak chcia. chciałbym się dowiedzieć, czy autobus do St. Louis, dziewięć dwadzieścia osiem, odjedzie dzisiaj zgodnie z rozkładem?

- A czemu nie? - głos przypominał automat.

- No, wie pan, ten śnieg, i w ogóle...

- Ma łańcuchy. Ten autobus jeździ zawsze, szefie. Czasami się spóźni, ale jeździ zawsze.

Saxony wyszła do holu z połówką grapefruita w jednej ręce i tyżeczką w drugiej. Zasłoniłem mikrofon i przekazałem jej informacje. Zbliżyła się do szyby w drzwiach i wyrzuciła na śnieg.

Odrożyłem słuchawkę i kompletnie nie wiedziałem, co robić - wracać do kuchni czy podejść do niej i zobaczyć, jak się zachowa. Stchórzyłem i poszedłem do kuchni.

Moja jajecznicza była jeszcze ciepła, więc nałożyłem sobie na talerz kwaśnej śmietany i pośpiesznie zjadłem wszystko.

- Nie kończysz śniadania, Sax? Do St. Louis daleka jazda!

Ponieważ się nie odezwała, uznałem, że najlepiej będzie dać jej spokój. Jedząc wyobrażałem sobie, jak Saxony w tym czasie draży swoją połówkę grapefruita, stojąc w drzwiach frontowych i patrząc, jak śnieg konczy padać.

Dopijając drugą filiżankę kawy, zacząłem się trochę niepokoić. Jej talerz i filiżanka były pełne.

- Sax?

Rzuciłem serwetkę na stół i wstałem z krzesła. Nie było jej w holu, nie było tam też jej płaszcza, no i walizki. Wydrążoną połówkę grapefruita i tyżeczkę zostawiła na kaloryferze koło drzwi. Zadzwońm telefon. Rzuciłem przekleństwo i podniosłem słuchawkę.

- Tak? Co jest?

- Tomasz? - to była Anna.

- Słuchaj, Anno, nie gniewaj się, ale w tej chwili nie mogę z tobą rozmawiać. Saxony przed chwilą wyszła z domu i muszę ją dogonić, zanim odjedzie.

- Co takiego? Nie bądź śmieszny, Tomasz. Skoro wyszła nie mówiąc ci, że wychodzi, to chyba oczywiście, że nie życzyła sobie, żebyś ją odprowadzał. Daj jej święty spokój. Ona nie ma ochoty się z tobą żegnać. Chyba potrafiśz to zrozumieć.

Rozwścieczyła mnie. Miałem dość jej zbawiennych rad. Chciałem powiedzieć Saxony kilka rzeczy, zanim odjedzie. Obiecałem Annie, że zadzwonię później i odłożę słuchawkę.

Nie zdążyłem jeszcze zejść z ganku, a już mroz wyssał z mojego ciała wszelkie zapasy ciepła. Kiedy zaś mijalem bramę, żeby szczerkały mi rozgłosnie. Ulicą powoli przejechał samochód, łańcuchy na kołach pobrażkiwały, śnieg przyskał spod koł. Wiedziałem, że do odjazdu autobusu została jeszcze cała godzina, ale mimo to pusiłem się pędem. Na nogach miałem ocieplane buty robocze, które sprzedawca reklamował jako niezawodną ochronę przed mrozami do trzydziestu stopni poniżej zera. Za to biegalo się w nich jak na zwolnionym filmie. Poza tym, zapomniałem rekawiczek, więc biegłem z rekami w kieszeniach. Zapomniałem też wełnianej czapki, skutkiem czego już mnie bolały uszy, a nawet policzki.

Kiedy zobaczyłem Saxony, przestałem biec. Nie wiedziałem, co chce jej powiedzieć, ale coś jej chciałem powiedzieć zanim odjedzie.

Musiła mnie usłyszeć, bo odwróciła się zanim jeszcze ją dogoniłem.

- Niepotrzebnie, Tomasz.

Nie mogłem złapać tchu, oczy łzały mi z zimna.

- Dlaczego tak wyszłaś, Sax? Dlaczego na mnie nie poczekałaś?

- Chyba mogę dla odmiany i ja zrobić coś czasem po swojemu? Czy zgodzisz się, żebym odjechała stąd w swoim stylu?

- No coś ty, Sax...

Złość ulotniła się z jej oczu i Saxony przymknęła je na parę sekund. Odezwała się do mnie z zamkniętymi oczami.

- I tak jest mi ciężko, Tomasz. Proszę cię, nie utrudniaj. Wracaj do domu i weź się do pracy. Ja sobie poradzę. Mam książkę, posiedzę w poczekalni i poczytam do odjazdu autobusu. Dobrze? Zadzwoń do ciebie pod koniec tygodnia. Dobrze?

Uśmiechnęła się do mnie przelotnie i sięgnęła po stojącą na ziemi torbę. Nawet nie wyjąłem rąk z kieszeni. Saxony odeszła o parę chrześzczających kroków i poprawiła chwyt walizki.

Ale nie zadzwoniła pod koniec tygodnia. Od srody specjalnie siedziałem co wieczór w domu, ale Saxony nie dzwoniła. Nie wiedziałem, czy to dobrze, czy źle, czy robi mi na złość, czy zapomniała, czy co. Ponieważ jednak nie należała do osób, które zapominają o takich rzeczach, byłem niespokojny. W wyobraźni widziałem ją jak wspina się mozolnie po schodach obskurnej kamienicy z brązowym szyldem w oknie na parterze, na którym fantazyjne litery reklamowały pokoje do wynajęcia. Puka do drzwi, drzwi się otwierają i obłąkany gwałciec albo morderca z nożem kuchennym zaprasza ją do środka na herbatę.

Druga wersja była jeszcze gorsza: nowiutki, lśniący budynek, właściciel młody, wzrost sześć stóp dwa cale, popielaty blondyn, sam seks. Moja sytuacja była beznadziejna. Jeżeli spędzałem noc w domu, łóżko wydawało mi się wielkie i zimne jak ocean. Jeżeli zaś nocowałem u Anny, przez cały czas myślałem o Saxony. Wiedziałem, rzecz jasna, że gdyby Saxony była na miejscu, pragnąłbym jej znacznie mniej i znów byśmy się kłócili, ale nie było jej na miejscu, a ja tęskniłem. Tęskniłem jak głupi.

Zadzwońm we wtorek wieczorem. Była wesoła, ożywiona i sypała nowinkami. Jej dawny kolega ze studiów mieszkał kiedyś w St. Louis. Okazało się, że mieszka tam nadal. Saxony znalazła sobie nawet pracę, na godziny, w przedszkolu. Dwa razy zdążyła być w kinie, widziała nowy film Roberta Altmana. Jej kolega nazywał się Geoff Wiggins.

Zrobiłem wszystko, żeby się nie udławić. Uśmiechnąłem się kwaśno do słuchawki, jakby to była sama Saxony i zapytałem, czym się trudni szanowny Geoff. Był wykładowcą architektury na Uniwersytecie Waszyngtona. Pytałem dalej - czy Saxony żyje... to jest, czy mieszka u niego do czasu aż znajdzie sobie własne lokum? Alez właśnie najfajniejsze jest to, że nie musi się za niczym rozglądać, bo Geoff zaprosił ją do siebie i może mieszkać u niego...
 *
 Podała mi adres i telefon szanownego Geoffa, po czym chciałem jak najszybciej sfinalizować naszą konwersację, ale muszę przyznać uczciwie, że nie za bardzo mi to wyszło. Odrożyłem słuchawkę i poczułem się jak zmieszany z błotem.

Dostałem list od ucznia. Już samo nazwisko nadawcy było dla mnie dostatecznym szokiem, a zawartość koperty załatwiła mnie na dobre.

Szanowny Panie Abbey.

Co u Pana słychać? Przypuszczam, że się Pan cieszy, że nie musi tu być w tym roku. Ja jeszcze nie znam tego uczucia, ale poznam je w czerwcu, kiedy skończę szkołę, chociaż tak trudno w to uwierzyć. Hobart już mi zaliczył, więc mogę się nie przemęczać. Dużo chodzę na telewizję, a nawet czytam trochę książki z tej listy, którą Pan nam dał w tamtym roku mówiąc, że nam się spodobała.

Jak na razie najbardziej spodobały mi się „Młode lwy” (Irwin Shaw), chociaż „Metamorfoza” (Franz Kafka) i „Spójrz ku domowi, aniele” (Thomas Wolfe’a) też mogą być. Wydaje mi się, że pisząc o książkach najlepiej wyjaśnić Panu, dlaczego piszę ten list. Siedzę w tej szkole od prawie sześciu lat (i może mi Pan wierzyć, że było to sześć długich lat) i uczyli mnie już wszyscy nauczyciele (albo prawie wszyscy). Któregoś dnia zastanawiałem się nad tym i doszedłem do wniosku, że Pan był najlepszy. Nie byłam u Pana piątkowy i wiem, że za dużo rozrabialiśmy we dwóch z kolegą Romero, ale niech mi Pan wierzy, że w ubiegłym roku skorzystałem z lekcji angielskiego więcej niż przez całą szkołę. Dyskusje na lekcjach zawsze były interesujące i pamiętam, że raz czy dwa przeczytałem coś, co Pan kazał i nie podobało mi się, a potem, jak Pan to omówił na lekcji, to albo zaczynało mi się podobać, albo przynajmniej wiedziałem, co autor chciał przez to powiedzieć. Zawsze prosił nas Pan o konkretne przykłady w wypracowaniach, więc wyjaśniam, że miałem na myśli „Waldena”, o którym wszyscy mówili, że jest, z przeproszeniem, do bani. Ale kiedy Pan go omówił, zrozumiałem, co miał na myśli Thoreau, chociaż książka dalej mi się nie podobała.

W tym roku mamy angielsku ze Stevensonem (jesteśmy akurat w połowie „Króla Leara”) i korzystając z tego, że Pan jest tak daleko, chce Panu powiedzieć, że w porównaniu z Panem, Stevenson jest do kitu. Połowę lekcji przesypiamy, a przez drugą połowę robie rysunki w zeszytach. U Pana też rysowałem, ale chce, żeby Pan wiedział, że zawsze słuchałem, co Pan mówi i chociaż sławał mi Pan tylko troje, to i tak nie pamiętam lepszych lekcji, jak słowo honoru.

Mam nadzieję, że dobrze się Panu wie dzie. Może zdąży Pan na rozdanie dyplomów, to się Pan pośmiej, kiedy będę odbierał swój. Ha! Ha!

Z poważaniem
Tom Rankin



Jacek Gaudasinski

Poezja Edgara Allana Poea, w przeciwieństwie do jego nowelistyki, nigdy nie cieszyła się popularnością czytelników. Któż dziś pamięta, że autor „Zagłady Domu Usherów” napisał około 80 wierszy opublikowanych w kilku zbiorach, takich jak „Tamerlane and the Other Poems” (1827), „Poems” (1831), „The Raven and Other Poems” (1845). W niepozornej objętościowo twórczości pojawiają się tradycyjne tematy: śmierci, miłości, cierpienia, samotności, dążenia do szczęścia, siły, wielkości. I w tej niepozornej, zapomnianej już dziś twórczości jeden tylko wiersz cieszył się zawsze niestabnącą popularnością czytelników, przysporzył Poemu sławy, choć większość krytyków nie uznawała go wcale za arcydzieło. Ów wiersz to „Kruk” („The Raven”) – ballada dedykowana angielskiej poetce Elizabeth Barrett, pisana w szczególnie trudnym okresie życia Poea, pełnym wahań, depresji, rozterek, dwa lata przed zgonem jego żony – Virginii.

Autor „Śmierci szkarłatnej” opowiada w swojej balladzie banalną, w gruncie rzeczy historyję. Oto oswojony kruk, szukający schronienia podczas szalejącej burzy trafia do oswojonego pokoju studenta, który – zatopiony w ekstazie – usłuchał zapamię-

o rozstaniu z ukochaną Lenorą. Bohater wpuszcza ptaka do swojego mieszkania, len siada na popiersiu bogini Pallas a student, zaskoczony wizytą nocnego gościa, pyta o jego imię. Kruk, ku zdumieniu studenta, odpowiada „nevermore” („nigdy więcej”) – prawdopodobnie dlatego, że jest to jedyne słowo, które zapamiętał od poprzedniego właściciela. Ale to wystarczy „Nevermore” wzbudza melancholijne, depresyjne skojarzenia, sprawia, że na nowo ożywają wspomnienia, gorzkie rozliczenia z przeszłością. Żart nabiera teraz innego sensu, przeradza się w ponurą przepowiednię. Bohater zadaje krukowi kolejne pytania znajdując masochistyczną satysfakcję w torturowaniu samego siebie. Odpowiedzi ptaka pogłębiają jego depresję i w ostatejnej scenie doprowadzają niemalże do obłędu.

Ballada E. A. Poea zachowała swą aktualność do dnia dzisiejszego i to nie tylko dlatego, że mówi o problemach ważnych zawsze i wszędzie, w każdej epoce, sytuacji. Stanowi bowiem ciekawy przykład intelektualnego opracowania materii poetyckiej, kultowej, wręcz wyidealizowanego spektrum emocjonalnego. Sam Poe przyniósł do literatury angielskiej po-

stępowata z „precyzją i niezachwianą konsekwencją matematycznego dociekania”. Znamy genezę tego poematu, wiemy jak Poe go tworzył, jakich środków artystycznych używał, aby wzruszyć słuchacza, przekonać go, poruszyć jego serce (proces ów opisał w słynnej „Filozofii kompozycji” z roku 1846, która zainspirowała naszego Stefana Grabińskiego do rozważań nad „Opowieścią o maszyniście Grocie”, zob. „Fantastyka” nr 6/84). Nieczęsty to przypadek, ażeby do twórczości poetyckiej, obdarzonej charyzmą profetyzmu, emocjonalizmu, indywidualizmu wchodził intelekt, aby natchnienie zostało wymienione na wyrachowanie (przynajmniej, jeśli chodzi o poezję romantyczną, która osiągała triumfy przed E. A. Poem). Ale tym rzadsza do sytuacji, że autor ukazał całkiem otwarcie, jakich środków używał, jak „podszywał się” pod natchnionego poetę – obnażył się zatem, dokonał swoistej autoanalizy, zdemaskował psychologiczny mechanizm oddziaływania wszelkiej poezji (tego nie uczynili po nim nawet autorzy Awangardy).

„Kruk” był wielokrotnie przerabiany (podobno aż 15 razy), toteż ogrom pracy, jaki włożył Poe w konstrukcję swojej ballady jest doprawdy zdumiewający. I wydaje się,



Kruk

Edgar Allan Poe

Noc już była, północ zgola; rozmyślałem w pocie czoła
Nad trwożliwą tajemnicą z dawna zapomnianych ksiąg,
Przysypiając niespodzianie, gdy rozległo się pukanie,
Jakby ciche chrobotanie w mój samotny, senny dom.
„Jakis gość”, powiedziałam sobie, „w mój samotny stuka dom,
Nocny gość - i tylko on”.

Ach, dokładnie to pamiętam: zima, grudzień, noc posepna,
Ogień, co dogasał w mekach, siał na ziemię legion zmor.
Nagle zapragnąłem switu, wiedząc, że już nie wyczynam
Z ksiąg pociechy i dosytu po najmiłszej mej Lenore!
Tej, o której aniołowie jedni mówią dziś - Lenore

Ja już nigdy! Nevermore!

Skrzętny, smętny, jedwabisty szelest zasłon płomienistych
Płoszył, groził, budził jakiś lęk nieznanym dotąd mi,
Wlec, by serce oszalone uspokoić, powtarzałem:

„Puka ktoś - a ja zaspalem. Puka ktoś do moich drzwi.
Zagapiłem się, zaspalem, a tu puka ktoś do drzwi!

Nocny gościu - czy to ty?”

Zaraz jednak, czując w duszy nowy przypływ animizmu,
„Panie!”, mówię, „czy też Pani! Wybaczenia udzieli mi,
Gdyż jest faktem, że drzemałem i pukania nie słyszałem,
Było bowiem tak niesmiatale twoje pukanie do moich drzwi,
Żem nie wiedział - czy je słysze, czy to tylko mi się śni - ”

Otworzyłem. Noc i mgły.

Martwą ciszę wiercąc wzrokiem, nie ruszyłem się ni krokiem,
Tylko drżałem, śniąc na jawie sny, o jakich nie śnił nikt.
Ciemność była niewzruszona. Cisza była niezgłębiona.
Tylko cichy szep - „Lenora!” - zjawił się i zaraz znikł.
To mój własny szep - „Lenora!” - echo oddawało mi.

Echo. Ciemno. Nocne mgły.

Drzwi zamknąłem. Stoje w cieniu, z biedną duszą na ramieniu,
Gdy wtem słyszę znow pukanie, donosniejsze niżli wprzód.
„To z pewnością coś na dworze, coś u okna wisi może;
Sprawdź, co też to być może i wyjaśnij cały cud.
Tylko serce uspokoję i wyjaśnię cały cud:

Wiatr kołacze do moich wrót!”

Szarpię okno - nic! - a potem, z wielkim szumem i trzepotem
Kruk posławny wszedł do środka, zwiastun dawnych,
świętych dni.

Ni dzień dobry, ni ukłonu, tylko wzleciał bez pardonu,
Jakby był u siebie w domu, nad komnaty mojej drzwi.
Na Pallady siadł popiersiu, które strzegło moich drzwi.

Przyszedł, wzleciał, siadł i tkwi.

Był mój gość ebonitowy tak dostoyny i surowy,
Żem uśmiechnął się wbrew sobie i tak mówię, czyniąc skłon:
„Chociaż leś twój łysy nieco, widać, żeś jest nie tyle co.
Groźny, gorny i złowrogi - skąd przybywasz? Jak cię zwą?
Czy z plutońskich brzegów nocy tu przybywasz? Jak cię zwą?”

„Nevermore!”, powiada on.

Zadziwiłem się niezmiernie, że przemawia tak misternie,
Chociaż sensu w jego mowie nadaremnie szukać by,
Bo czyż widział kto nad drzwiami, na popiersiu Pallas pani
Płaka, który by powiadał wprost, że imię jego brzmi -
Płaka, czy też inną zgola bestię, której imię brzmi

„Nigdy więcej?” Chyba nikt.

A kruk sterczał niewzruszenie na Pallady biustu scenie,
Rzekłszy jedno tylko słowo, jakby duszę zawarł w nim.
Ani słowa już nie wznieci, nieruchomym sliptem świeci,

Aż szepnąłem: „On odleci, rzuci domu mego próg.
Zniknie za dnia jak nadzieje, rzuci mój samotny próg”.

„Nevermore!”, zakracze Kruk.

Wypowiedział to tak nagle, tak dorzecznie i dosadnie,
Żem aż drgnął, lecz myślę zaraz: „Jedno słowo tylko zna,
Widać jego pan poprzedni, bołem zdjęty, biedny, biedny,
Sforą plag przesładowany, wciąż powtarzał tylko to -
Lotnych plag ścigany sforą mówił w kołko tylko to: -

„Nigdy więcej! Nevermore!”

Uśmiechając się wbrew sobie kruczo czarnej tej osobie
Miekkim fotel przysunąłem gdzie popiersie, płak i drzwi
I w poduszki zapadając, wnet zacząłem łączyć w całość
Luzne myśli, pragnąc dociec, co też ów z zaświatów płak,
Ów posepny, posagowy, smętny i złowroźny płak

Miał na myśli, mówiąc tak.

Tym swe myśli zatrudniłem, lecz nic głośno nie mówiłem
Do płaszyska, co płomiennym okiem świdrowało mnie.
Snulem racje i dowody, głowę wsparłszy dla wygody
Na obiciu aksamitnym, gdzie blask lampy ślizał się;
Tam, gdzie ona swojej głowy, gdzie blask lampy ślizał się,

Nie położy już - o nie!

Wtem w powietrzu gestym, parnym - woń kadzideł

niewidzialnych;

Puch kobierca stopą smukłą musnął Seraf, co je niósł.
„Przez anioły, znaki święte, Pan Bóg zsyła ci nepenthes!”
- zawołałem w głos - „Nepenthes, byś zapomniał o Lenore!
Pij, nieszczęsny, pij nepenthes, i zapomnij o Lenore!”

Kruk mi na to: „Nevermore!”

„Mów, Proroku z piekła rodem! Czyś jest bles, czy bestia

z dziobem,

Czy Kusiciel, czy kurzawa śle cie tutaj na mój próg
O! Sterany, lecz nietknięty! - na bezludny ład zaklęty,
Na ten dom mój grozą zdjęty - mów mi prawdę, błagam, mów:
Czy jest balsam w Gileadzie, abym ją zapomnieć mógł?”

„Nevermore!”, zakracze Kruk.

„Mów, Proroku z piekła rodem! Czyś jest bles, czy bestia

z dziobem,

Na to niebo wysklepione, gdzie nasz wspólny mieszka Bóg -
Czy w Edenie żyje ona? I czy weźmie ją w ramiona,
Te, o której tylko anioł po imieniu mówić mógł?
Moją świętą, jasną, czystą, gdy w Edenu wejde próg?”

„Nevermore!”, zakracze Kruk.

„Gdy tak twardy jest twój upór - precz stąd, diabie! precz stąd,
kruku!

Wracaj w burzę, skąd przybyłeś i w plutoński nocy brzeg!
Czarne pióro niech, mój panie, nawet tutaj nie zostanie
Na pamiątkę tego kłamstwa, którym uraczyłeś mnie!
Zabierz dziób z mojego serca i Pallady opuść biust!”

„Nevermore!” - Wlec nigdy już?

Zamilkł po tej odpowiedzi i wciąż siedzi, i wciąż siedzi,
Na Pallady biuście bladym; nad nim lampy złota krują.
Szklanym wzrokiem w dół wpatrzony, niczym demon

rozmarzony;

Na podłogę cień dziobaty rzuca lampy złota krują,
Cień, co duszę mą nieszczęsną, jak posepny srogi stróż,

Wieżić będzie - zawsze już.

Przełożyła Jolanta Kozak



The Raven

Edgar Allan Poe

Once upon a midnight dreary, while I pondered, weak and weary,
Over many a quaint and curious volume of forgotten lore -
While I nodded, nearly napping, suddenly there came a tapping,
As of some one gently rapping, rapping at my chamber door
"Tis some visitor," I muttered, "tapping at my chamber door
Only this and nothing more."

Ah, distinctly I remember, it was in the bleak December;
And each separate dying ember wrought its ghost upon the floor
Eagerly I wished the morrow; - vainly I had sought to borrow
From my books surcease of sorrow - sorrow for the lost Lenore
For that rare and radiant maiden whom the angels name Lenore
Nameless here for evermore.

And the silken, sad, uncertain rustling of each purple curtain
Thrilled me - filled me with fantastic terrors never felt before,
So that now, to still the beating of my heart, I stood repeating
"Tis some visitor entreating entrance at my chamber door,
Some late visitor entreating entrance at my chamber door,
This it is and nothing more."

Presently my soul grew stronger; hesitating then no longer,
"Sir," said I, "or Madam, truly your forgiveness I implore,
But the fact is I was napping, and so gently you came rapping,
And so faintly you came tapping, tapping at my chamber door,
That I scarce was sure I heard you" - here I opened wide the door;
Darkness there and nothing more.

Deep into that darkness peering, long I stood there wondering, fearing
Doubting, dreaming dreams no mortal ever dared to dream before,
But the silence was unbroken, and the stillness gave no token,
And the only word there spoken was the whispered word, "Lenore!"
This I whispered, and an echo murmured back the word, "Lenore!"
Merely this and nothing more.

Back into the chamber turning, all my soul within me burning,
Soon again I heard a tapping somewhat louder than before
"Surely," said I, "surely that is something at my window lattice;
Let me see, then, what thereat is, and this mystery explore -
Let my heart be still a moment and this mystery explore;
'Tis the wind and nothing more!"

Open here I flung the shutter, when, with many a flirt and flutter
In there stepped a stately Raven of the saintly days of yore.
Not the least obeisance made he; not a minute stopped or stayed he;
But, with mien of lord or lady, perched above my chamber door
Perched upon the bust of Pallas just above my chamber door
Perched, and sat, and nothing more.

Then, this ebony bird beguiling my sad fancy into smiling,
By the grave and stern decorum of the countenance it wore,
"Though thy crest be shorn and shaven, thou," I said, "art sure no craven,
Ghastly grim and ancient Raven wandering from the Nightly shore -
Tell me what thy lordly name is on the Night's Plutonian shore!"
Quoth the Raven, "Nevermore!"

Much I marvelled this ungainly fowl to hear discourse so plainly,
Though its answer little meaning - little relevancy bore,
For we cannot help agreeing that no living human being
Ever yet was blessed with seeing bird above his chamber door -
Bird or beast upon the sculptured bust above his chamber door,
With such name as "Nevermore!"

But the Raven, sitting lonely on the placid bust, spoke only
That one word, as if his soul in that one word he did outpour.
Nothing farther then he uttered, not a feather then he fluttered -
Till I scarcely more then muttered "Other friends have flown before
On the morrow he will leave me, as my hopes have flown before"
Then the bird said "Nevermore".

Startled at the stillness broken by reply so aptly spoken,
"Doubtless", said I, "what it utters is its only stock and store
Caught from some unhappy master whom unmerciful Disaster
Followed fast and followed faster till his songs one burden bore -
Till the dirges of his Hope that melancholy burden bore
Of 'Never - nevermore'"

But the Raven still beguiling all my fancy into smiling
Straight I wheeled a cushioned seat in front of bird, and bust and door;
Then, upon the velvet sinking, I betook myself to linking
Fancy unto fancy, thinking what this ominous bird of yore -
What this grim, ungainly, ghastly, gaunt and ominous bird of yore
Meant in croaking "Nevermore".

This I sat engaged in guessing, but no syllable expressing
To the fowl whose fiery eyes now burned into my bosom's core,
This and more I sat divining, with my head at ease reclining
On the cushion's velvet lining that the lamp-light gloated o'er,
But whose velvet violet lining with the lamp-light gloating o'er
She shall press, ah, nevermore!

Then, methought, the air grew denser, perfumed from an unseen censer
Swung by Seraphim whose foot-falls tinkled on the tufted floor
"Wretch", I cried, "thy God hath lent thee - by these angels he hath sent thee
Respite - respite and nepenthe from thy memories of Lenore;
Quaff, oh quaff this kind nepenthe and forget this lost Lenore!"
Quoth the Raven, "Nevermore!"

"Prophet!", said I, "thing of evil! prophet still, if bird or devil! -
Whether Tempter sent, or whether tempest tossed thee here ashore
Desolate yet all undaunted on this desert land enchanted -
On this home by Horror haunted - tell me truly, I implore
Is there - is there balm in Gilead? - tell me - tell me, I implore!"
Quoth the Raven, "Nevermore!"

"Prophet", said I, "Thing of evil - prophet still, if bird or devil!
By that Heaven that bends above us - by that God we both adore
Tell this soul with sorrow laden, if, within the distant Aidenn,
It shall clasp a sainted maiden whom the angels name Lenore
Clasp a rare and radiant maiden whom the angels name Lenore"
Quoth the Raven, "Nevermore!"

"Be that word our sign of parting, bird or fiend!" I shrieked, upstarting -
"Get thee back into the tempest and the Night's Plutonian shore!
Leave no black plume as a token of that lie thy soul hath spoken!
Leave my loneliness unbroken! - quit the bust above my door!
Take thy beak from out my heart, and take thy form from off my door!"
Quoth the Raven, "Nevermore!"

And the Raven, never flitting, still is sitting, still is sitting
On the pallid bust of Pallas just above my chamber door;
And his eyes have all the seeming of a demon's that is dreaming,
And the lamp-light o'er him streaming throws his shadow on the floor;
And my soul from out that shadow that lies floating on the floor
Shall be lifted - nevermore!

ze w końcu osiągnął swój cel skoro dedykacja Elizabeth Barrett tak oto pisała do autora wiersza

Kruk Pana wywołał w Anglii sensację, paroksyzm grozy. Niektórych moich przyjaciół pociąga strach przezeń wywołany; innych – muzyka. Słyszę o osobach, których przesładowuje „nevermore” a pewna znajoma na swoje nieszczęście posiadająca popiersie Pallas, nie znosi jego widoku, gdy zapada zmierzch

Jak było to możliwe? Swoją popularność ballada Poe'go zawdzięczała nie tylko odwołaniom do wiekowych, nieprzemijających metafor („kruk” – ptak pojawiający się w literaturze wielu krajów, symbolizujący los, także „żałobną i wieczną pamięć”), ale również wahaniom pomiędzy irracjonalnością i rzeczywistością, mistrzowskiemu oddaniu intymnych przeżyć narratora, jego zmiany nastrojów od smutku, wesołości poprzez chwilowy szal aż do poczucia głębokiej, rezygnacji. Jest w tym utworze jeszcze coś dodatkowego co można określić całkiem banalnie współbrzmieniem formy i treści. Rym „Kruka” jest niezwykle jedno-

stajny, aż 72 wierszy na 108 odznacza się tymi samymi, męskimi rymami. Monotonny jest również tok rytmiczny wiersza – na 792 stóp aż 776 jest trochejami (sam Poe obdarzony skłonnościami matematycznymi nie byłby zapewne przeciwny wyjaśnieniu, że organizacja rytmiczna ballady została oparta na akalektycznym oktametrze alternującym z katalektycznym heptametrem powtórzonym w refrenie w piątym wersie, a zakończonym katalektycznym tetrametrem.)

Z monotonną wersyfikacyjną „Kruka” wiąże się także charakterystyczny refren „nevermore” (przy wyborze tego słowa kierował się Poe nie tylko warstwą znaczeniową wyrazu, ale również walorami fonetycznymi ostatniej zgłoski, która harmonizowała z melancholijnym nastrojem wiersza). Trzeba wreszcie pamiętać o innych, zastosowanych przez autora środkach formalnych: paralelizmach, powtórzeniach, asonansach, wstawkach dialogowych podkreślających sugestywną treść przestania.

Zintelektualizowana, antyromantyczna ballada Poe'go weszła do kanonu literatury światowej. Po raz pierwszy na język polski

przełożył ją Walery Przyborski w 1869 roku, ale już w kilka lat później tłumaczył ją jeden z najznakomitszych umysłów epoki, założyciel warszawskiej „Chimery” – Miriam (Zenon Przesmycki w „Bluszcz” 1886/37). Później balladę Poe'go przekładali m.in. Czesław Jastrzębiec-Kozłowski (1915), Kazimierz „drzej” Jaworski (1956), Józef Birkenmajer i Władysław Jerzy Kasinski (w „Kierunki”/1959).

Dziś przedstawiamy Czytelnikom „Fantastyki” nowe tłumaczenie „Kruka”. Z balladą amerykańskiego autora zmierzyła się Jolanta Kozak, znana tłumaczka literatury SF. Jej przekład, odbiegający od ostatnich, powojennych tłumaczeń, warto skonfrontować z oryginalnym tekstem utworu datowanym na rok 1845. Aby ukazać jak doszło do powstania „Kruka” przypominamy również fragmenty „Filozofii kompozycji” Poe'go, które w przekładzie polskim ukazały się w roku 1972 na łamach „Przeglądu Humanistycznego”, specjalistycznego czasopisma naukowego o nakładzie 900 egzemplarzy.

Andrzej Niewiadowski

Filozofia kompozycji (fragmenty)

Edgar Allan Poe

Każdy wartościowy schemat akcji musi być opracowany aż do rozwiązania włącznie, nim się cokolwiek przedsięwzięcie z postaciami. Tylko wtedy, kiedy mamy przed oczami rozwiązanie, możemy zapewnić akcji niezbędną jej konsekwencję, czyli uzasadnienie przyczynowe.

Co do mnie, wolę zaczynać od rozważenia efektu. Mając zawsze na uwadze oryginalność zadaje sobie pytanie: „Co w tym wypadku mam wybrać spośród niezliczonych efektów, czyli wrażeń, jakim może być poddane serce, intelekt (dusza)?”

O ile wybrałem powieść i efekt mocny, rozważam co dla jego uzyskania jest najbardziej wskazane: wydarzenia czy tonacja, wydarzenia zwykłe, tonacja niezwykła, lub odwrotnie, lub jedno i drugie. Następnie szukam dokoła siebie takiej kombinacji wydarzeń i tonu, która gwarantuje najlepszą konstrukcję efektu.

Zamierzam wykazać, że w trakcie komponowania „Kruka” najmniejszej roli nie odgrywał przypadek ani intuicja – gdyż poemat ten rozwijał się do samego końca z surową konsekwencją problemu matematycznego.

1. Pierwszym zagadnieniem był rozmiar. Gdy dzieło literackie jest długie, że nie mieści się w granicach jednorazowej lektury musimy zrezygnować z końcowego efektu. Wydaje się więc, że dla wszystkich dzieł sztuki literackiej istnieje granica długości odpowiadająca czasowi jednorazowej lektury. Uświadomiłem więc sobie długość poematu – 100 wierszy. Jest ich 108.

2. Następny problem dotyczył wrażeń, czyli efektu, jaki chciałem osiągnąć. Przyjemność najbardziej intensywna rodzi się przy kontemplowaniu tego, co jest piękne.

3. Widząc w Pięknie sferę działania zająłem się kwestią, jaka tonacja wyraża najdoskonalej piękno – stwierdziłem: tonacja smutku (melancholia to najodpowiedniejsza z tonacji poetyckich).

4. Mając określoną długość, sferę i tonację posłużyłem się indukcją, „co artystycznie pikantnego może posłużyć za motyw przewodni poematu, co może być osią?” Myślałem o efektach artystycznych, teatralnych – najbardziej powszechnie używany jest refren. Postanowiłem urozmaicić i spotęgować jego efekt – stale zmieniając myśl – zmieniając zastosowanie refrenu miałem wywoływać nowe efekty.

5. Co ma być moim refrenem? Powinien być krótki, jak jedno słowo. Jakże powinno mieć właściwość? Musi być dźwięcznie zakończone i nadające się do emfaticznego wydłużania (stąd musiało być w nim długie „o” i „r”). I stąd natrafiłem szybko na melancholijne słowo „nevermore”. Istniała trudność ciągłego, monotonnego powtarzania tego sło-

wa przez istotę ludzką, zrodził się zatem pomysł wyzyskania czegoś, co potrafi mówić, a nie jest człowiekiem... papuga?... lepszy byłby złowieszczy, melancholijny kruk.

6. Który spośród tematów melancholijnych jest przez ludzi najsilniej odczuwany? Oczywiście – śmierć. A kiedy temat ten jest najbardziej poetyczny? Wtedy, kiedy jest najsilniej związany z pięknem. Śmierć pięknej kobiety jest najbardziej poetycznym tematem świata i brzmi najlepiej w ustach tego, który stracił ukochaną istotę...

7. Była więc już kombinacja dwóch idei: człowiek rozpaczający po śmierci ukochanej i kruk powtarzający słowo „nevermore”. Różnego rodzaju wariacje byłyby możliwe, gdyby kruk odpowiadał na pytania człowieka. Wtedy dostrzegłem możliwość efektu: pierwsze pytanie nieszczęśliwego kochanka mogłoby być banalne, drugie mniej... aż kochanek wyrwany ze swej nonszalanckiej melancholijnością słowa „Nevermore” oraz myślą o złowieszczej reputacji ptaka, daje się opanować przesądowi i nieprzytomnie stawia inne pytania, które go dreczą, nie dlatego je stawia, że wierzy w demoniczność ptaka (bo to jest słowo wyuczone!), ale że czuje przyjemność w samej udrecie, po każdym „Nevermore” doznaje uczucia rozkosznego smutku.

8. Wymyśliłem teraz punkt kulminacyjny – pytanie końcowe, które miało zawrzeć największy ogrom smutku i rozpacz. Wtedy po raz pierwszy napisałem ostatnią strofę. Napisałem ostatnią strofę, aby powziąć decyzję w sprawie rytmu, metrum, długości strofy, żeby określić stopniowanie wcześniejszych strof, które nie mogą tej ostatniej przewyższać pod względem efektu rytmicznego.

9. Trzeba się było zastanowić teraz nad miejscem akcji – ściśle ograniczenie przestrzeni jest absolutnie konieczne przy wydarzeniu odciętym od świata, gdyż działa jak rama w obrazie: kochanek jest więc w pokoju kobiety... kruk siada na popiersiu Pallady (bogini ta harmonizuje z samotnym człowiekiem oraz jest słowem dźwięcznym)...

10. Ale w tym temacie zawsze jest coś sztywnego i jakiś niedostatek – potrzebny jest jakiś wewnętrzny nurt znaczeń... Dodałem zatem dwie strofy poematu, aby sugestywność przeniknęła narrację: „zabierz swój dziób z mego serca” – słowa te to pierwsze wyrażenia metafizyczne w poemacie. One skłaniają czytelnika do szukania treści duchowej we wszystkim co było dotąd powiedziane. Czytelnik widzi teraz w kruku istotę emblematyczną – ostatnia strofa: kruk to emblemat melancholijny i nigdy nie kończącego się przemijania.

Edgar Allan Poe, „Filozofia kompozycji”, przeł. M. Żurowski (fragmenty za: „Przegląd Humanistyczny” 1972 5).

DEMON WALKI



rzadko odziani w pancerze mordercy Rapisa rąbali mieczami i toporami bezradnie wysuniete w obronnym geście wieśniacze widły, dzgali pozbawione osłon brzuchy, roztrzaskiwali korbaczami głowy. Jeki gwałconych z wyrefinowaną brutalnością kobiet ginęły w przeraźliwym płaczu dzieci, które, jako nieprzydatne do transportu, zabijano bez litości. Strzechy chałup pływały coraz jaśniej, trzask gorejących krokwi mieszał się z dobiegającym od strony portu grzmotem dział „Weża Morskiego”, dobijającego stojące w kotwicy i bezbronne szniki.

Rodan nie brał udziału w rzezi. Stał w środku wioski z mieczem pod pachą i ze zwykłym spokojem wydawał polecenia coraz to podbiegającym doń piratom. Baczyl, by nikt z mieszkańców wioski nie zdołał zbiec do pobliskiego lasu, czasem w milczeniu wskazywał cel kłęczącemu przy nim Salatrze, najlepszemu łucznikowi w załodze. Tak zastał go Rapis, nadciągający wreszcie z resztą załogi.

– Za dużo trupów! – powiedział ostro. – Mamy puste ładownie.

Oficer w milczeniu wskazał wylaniającą się spomiedzy chałup kolumnę kilkudziesięciu powiązanych wieśniaków. Połowe stanowiły kobiety. Eskortujący brancow piraci nie szczędzili uderzeń płazem szablą, a nierzadko i korbaczem.

Nagle z pobliskiej chaty wytoczył się siwy, mały staruszek. Spomiedzy przycisniętych do twarzy palców kapła krew. Rapis jak ryś skoczył na rybaka, wywinął toporem. Rozległ się przeraźliwy krzyk, zawłorował mu trzask kruszonych kości.

Wyslij ludzi do tawerny – rzucił Rapis, ocierając krwawe ostrze.

Rodan skinął głową.

– Już to zrobiłem. Zaladunek prowiantu i słodkiej wody zakończymy przed świtem.

Bardzo dobrze.

Przechodzący obok zziębnięty marynarz cisnął pochodnię na dach pobliskiego domu. Buchnęły płomienie.

Powoli milkły ostatnie krzyki mordowanych. Rozwrzeszczane doład beładnie głosy zaczęły się łączyć w starą, ponurą morską pieśń:

*Podmorskie fale zielonym echem
podwodnej trawy przynoszą szmer,
przeżnięte dłonie martwego szypra
na dnie otchłani trzymają ster.*

Rapis przytknął do ust krótki, kościany gwizdek. Głosy umilkły, w ciągu minuty miał przed sobą całą załogę. Było cicho, tylko płomienie huczały. Z trzaskiem zawalił się dach jednej z chat.

– Wracamy na statek – powiedział kapitan. – Bosman do mnie.

Grube chłopisko natychmiast wysunęło się z tłumy.

– Weź dziesięciu ludzi pod strażnicę i pozbierajcie dobytek strażników, zwłaszcza broje. Możecie wybrać po jednej dla siebie. Reszta na okręt.

Szli zwartą gromadą, otaczając grupę zawodzących jeńców. Jakiś gruby, chropawy głos podjął:

*A nad powierzchnią niebo się chmurzy –
z mocami sztormu ślądźmy do gry.
Śpiewa wiatr w wantach, śpiewa o burzy,
więc zaspiewajmy i my;*

I znów wszyscy

IV

Szczęśliwa gwiazda znów się do niego uśmiechała.

Znał małą, dziką zatoczkę w okolicach Bany. Tam ukrył „Weża Morskiego”, sam zaś, wraz z dziesięcioma pewnymi ludźmi, dowodził szalupami na ład prawie setkę niewolników i niewolnic. Musieli obrócić dwa razy, było już ciemno, gdy skończyli wyładunek. Przenocowali na plaży i wczesnym rankiem wyruszyli do miasta, pozostawiając przy łodziach trzech ludzi.

Na targu byli jeszcze przed południem. Ruch duży, handlowano też niewolnikami, ale towar nie cieszył się wzięciem. Ceny były wysokie, dochodziły do pięćdziesięciu sztuk złota za cherlawego mężczyznę i tyleż samo za brzydką kobietę. Chyba tylko dartańscy Magnaci mogli by sobie pozwolić na taki zbytek.

Pojawienie się Rapisa na rynku wywołało zrozumiałe poruszenie. Tłum wokół grupy upokorzonych i przerażonych niewolników zgęstniał tak bardzo, że eskorta musiała torować drogę siłą. Ludzie Rapisa pod kierunkiem Tarasa C., jego drugiego oficera, sprawnie posegregowali towar, upychając go według jakości i ceny w oddzielnych kłatkach. Rapis stanął skromnie z boku, Taras wszedł na podium i wypowiedział sakramentalne słowo otwierające targ:

– Czekam.

Tłum zafalował, pośród zgłębku kilka dłoni jednocześnie wyciągnęło się w górę. Taras wybrał właściciela jednej z nich.

– Słucham cie, Panie.

Chudy, niski człowieczek o ospowatej twarzy wdrapał się na podium. Gwar tłumy przycichł.

Jeden z ludzi Rapisa podał klientowi wskaznik. Ten pochwycił go nerwowo i przedko wetknął pomiędzy prety jednej z klatek.

– On.

Taras dał znak. Marynarze natychmiast wywlekli wskazanego mężczyznę na środek areny. Zdarto zeń resztki ubrania. Człowieczek sprawnie obmacał mięśnie. Pokiwał z uznaniem głową.

– Co umie?

– Niewiele.

Człowieczek zdumiał się. Zdumiał się również tłum. Po raz pierwszy widziano, by ktoś tak dziwnie polecał swój towar.

Człowieczek skrzywił twarz. Już schodząc z areny zażył niechętnie przez ramie:

– A ile?

– Trzydzieści sztuk złota, Panie.

To właśnie była reklama Rapisa. Tłum wokół klatek eksplodował; tyle kosztowały hodowlane odrzuty. Ludzie po kilku naraz wdrapywali się na arenę, krzycząc i wyciągając ręce po wskaznik. Taras dwoił się i troił, majtkowie niemal siłą odepchnęli tłum od klatek. Niepredko zapapano. at-przazrnek.

Rapis nie brał udziału w targu, patrzył w zupełnie inną stronę. Tam mianowicie, gdzie pośród rynkowego tłumu handlarzy i kupujących błysnęły mu niebieskie tuniki i stalowe hełmy Gwardii Armektu. Tuż przy dowodcy patrolu dreptał ubrany na czarno karzeł z niechlujnie utrzymaną brodą. Wyglądał ni mniej, ni więcej, tylko na właściciela hodowli niewolników, obawiającego się konkurencji. Gestykułował gwałtownie. Rapis spojrzał na Tarasa. Porozumieli się wzrokiem.

Po kilku chwilach gwardziści dotarli do areny. Karzeł gdzieś przepadł. Rapis przecisnął się ku dowodcy patrolu, ten obrzucił go uważnym spojrzeniem.

Wydaje mi się, Panie, że ci niewolnicy nie pochodzą z hodowli – powiedział

Rapis zmrugał oczyma.

– Nie.

– Skąd zatem?

Rapis milczał przez chwilę. Wreszcie powiedział niegłośno:

Dwa słowa na osobności, dowodco...

Zołnierz zawahał się. Ruszył jednak za Rapisem. Ten poprowadził go na zaplecze areny. Otworzył jedną z klatek i wyciągnął z niej ładną, najwyżej dwudziestoletnią dziewczynę.

Zanim przystąpimy do rozmowy, pozwól, dowodco, ofiarować sobie ten mały prezent. Jako dowód, że nie handluje byle czym. To najdroższa sztuka, jaką mam. Jest... jeszcze nie ruszona

Zołnierz spojrzał na dziewczynę, potem na niego. Rapis stał w grzecznej, wyczekującej postawie, ale dłoń trzymał na rękojści miecza. Przewyższał rosnącego gwardzistę o pół głowy

Spojrzenie dowodcy znów spoczęło na dziewczynie. Na targu niewolników hodowlanych musiała kosztować do sześćdziesięciu sztuk złota, a może i więcej. Czyli tyle, co dwa najdroższe grombelardzkie miecze lub duża wies.

A zatem? – pytał Rapis.

Gwardzista nie wahał się już.

– Dziękuję Waszej Godności.

Ujął dziewczynę za ramię. Wymienili z Rapisem ukłony. Interes szedł świetnie, do wieczora pozbyli się wszystkich niemal niewolników. Ceny były niskie, a towar niezły; kupujący nierzadko nabywali na targu całe jego partie. Wreszcie w żelaznych klatkach pozostało ledwie osiemu mężczyznom i jedna kobieta. Mężczyźni byli cherlawi i brzydki, Rapis obniżył ich cenę o połowę, byle tylko pozbyć się kłopotu. Z dziewczyną sprawa miała się inaczej. Bardzo młoda i jeszcze do niedawna niebrzydka, nie znajdowała swego nabywcy z powodu kilku ran otrzymanych podczas porwania: straciła lewe oko, a na policzku nosiła wyraźną bliznę po złej zagojonym skaleczeniu

Gdy zapadł zmierzch, przy Tarasie było już tylko sześciu mężczyzn i ona. Nie było sensu stać dłużej. Rapis przywołał oficera.

– Zbieraj ludzi – polecił. – Wracamy.

Co z tym?...

Pozbedziemy się po drodze.

Po chwili równym, szybkim krokiem podążali ku rogatom miasta. Zdążyli tuż przed zamknięciem bram; było już zupełnie ciemno. Rapis szedł pierwszy. Na plecach miał zarzucony spory, nabity złotem i srebrem worek. Taras także dźwigał podobny majątek, razem mieli – prawie tysiąc potrojnych sztuk złota. To sporo.

Kapitan z lubością wsłuchiwał się w brzęk kruszcu. Prawie dziesięć sztuk złota na głowę marynarza licząc, że sam weźmie pięćdziesiąt, a Rrodan i Taras po czterdzieści sztuk złota. No i jeszcze sternicy, bosman...

Taras prowadzący oddziałek zatrzymał się nagle i skinął na jednego z majtków. Związani wspólnym sznurem niewolnicy krzyknęli, gdy majtek dobył miecza. Padali jeden po drugim. Miecz smignął po raz ostatni, godząc w pierś dziewczyny. Nie dotknął jej. Inny brzeszczot podbił go w górę. Majtek odwrócił głowę. Obok w ciemnościach majaczyła ogromna sylwetka.

– Jej nie.

Schowali broń. Taras był zdziwiony, ale nie pytał o nic. Rapis lekko trącił dłonią stojącego z boku marynarza. Ten spojrzał przerażonym wzrokiem. Nie rozumiał niemego polecenia. A w zalodzie? Rapisa, kto nie rozumiał gestów i spojrzenia kapitana – ten ginął.

W głosie Rapisa nie było gniewu:

– Rozetnij jej wiezy.

Majtek pospiesznie wykonał rozkaz. Po chwili znów szli w stronę zatoki.

Rapis po swojemu trzymał się końca grupy. Nie wiedział, dlaczego podbił broń majtkowi. Ta dziewczyna była mu zupełnie obojętna. Zrobił to odruchowo, prawie nieświadomie. W ten sam sposób wydał rozkaz przecięcia pet. Dlaczego?

Gdy dotarli do łodzi, rozumiał już. W świetle zapalonych przez majtków pochodni dostrzegł twarz dziewczyny. Patrzył na nią już na targu, ale dopiero teraz pojawił...

Nie, nic nie pojmował. Usta, usta tej dziewczyny, ich wykrój... Reszty twarzy nie znał, była mu całkowicie obca. Tylko usta. Nie wiedział, jak to możliwe, ale znał dokładnie ich linię.

– Odplywamy, kapitanie?

– Tak.

Wskoczył do szalupy, ujął w dłoń rumpel. Majtkowie mocno chwycili wiosła, dwaj inni zepchnęli łódź na wodę.

Dziewczyna płynęła w tej łodzi, co on. Siedząc na rufie widział, jak przepycha się ku niemu, deptając po nogach siedzących przy wiosłach marynarzy. Nikt nawet nie zaklął, pamiętali, że kapitan ją obronił. A u Rapisa pchnięcie mieczem było szybsze niż słowo.

Na „Wezu Morskim” karano rzadko, ale karano strasznie. Marynarze szybko nauczyli się unikać gniewu kapitana, który wybuchał jak płomień, a gdy gasł, było już za późno. Większe wykroczenia karano tylko śmiercią, ale śmiercią straszną, bo przez poćwiartowanie. Za to dyscyplina na okręcie Rapisa była taka, jakiej próżno by szukać nawet wśród strażników morskich. Obdarłe, pstro odziane postacie reagowały na każdy gest, na każdy ruch oczu dowodcy. Niewiele to miało wspólnego z innymi okrętami pirackimi, takimi choćby, jak „Północ” Alagery. Jej załoga, złożona w jednej trzeciej z kobiet, których na przykład Rapis wcale nie tolerował w gronie załogi, więcej gziła się pod pokładem, niż myślała o stawianiu żagli. Alagera była kapitanem tylko z tytułu, naprawdę nikt jej nie słuchał. W takich warunkach każdy zwrot okrętu, każde ostrzeżenie urastało do rangi wielkiego manewru. Na pokładzie „Weza Morskiego” wyglądało to zupełnie inaczej.

Dziewczyna potknęła się o porzucony na dnie łodzi worek i z krzykiem przeleciała przez krawędź burty. W tej samej chwili czterej majtkowie jednocześnie wyskoczyli w ślad za nią. Kapitan chciał, by żyła.

Rapis nie poruszył się nawet. Z drugiej łodzi doleciał głos Tarasa:

– Wszystko w porządku, Rap?!

– Tak. Nie krzycz.

Najpierw wgramolili się do szalupy dwaj marynarze. Odebrali od kolegów ociekającą wodą dziewczynę, potem dopiero pozostali dwaj przeleźli przez burte. Spokojnie, jakby żadne wydarzenie nie miało miejsca, usiedli przy wiosłach. Łódź znów ostro ruszyła naprzód. Dziewczyna zanosła kaszlem, w przerwach mówiła coś niewyraźnie. Rapis rozróżnił mocne, podobne do grombelardzkich akcenty. Mówiła językiem Garry.

W ciemności majaczyła wielka, czarna bryła statku. Taras okrzyknął wachlowego, odpowiedź przyszła natychmiast. Wzdłuż sterburty zakotłowała się sznurowa drabinka. Przywiązali łodzi do rufy i po kolei wchodzili na pokład. Na końcu Rapis i dziewczyna.

Zamyślony stanął przy pomagającym mu przekroczyć burte Rrodanie. Ten lekko klepnął go w plecy. Zabrzęczało złoto.

– Słyszę, że nieźle poszło.

– Znakomicie.

– Cóż taki niewyraźny?

– Nic. Słuchaj, przyslij mi zaraz tę dziewczynę.

– A właśnie: co to za panna?

– Niewolnica. Nie sprzedaliśmy na targu...

– Ładna?

– Ślepa. Odczep się.

Ruszył ku rufie. Na odchodnym rzucił przez ramię:

– Wydaj rozkazy. Kurs na Morze Zwarłe.

Po chwili zamykał za sobą drzwi kajuty. Odpisał pas. Było parno, zrzucił więc kaftan i koszule. Przeciągnął się czując, jak wszystkie mięśnie grają mu pod skórą. Usiadł, wyciągnął nogi i zamknął oczy.

ANDRZEJ WRÓŃSKI



Otworzył je na odgłos pukania do drzwi. Przelatł dłońmi powieki.

- Wejść!

W drzwiach stanął wachtowy.

- Pan Rrodan przysyla...

- Dawaj ją i wynos sie.

Majtek zniknął jak duch. Rapis został sam na sam ze zrezygnowaną dziewczyną. Stała przy drzwiach, jej podarta, porozrywana sukienka była jeszcze mokra, włosy już nieco podeschły...

Wstał i zapalił wszystkie latarnie. W kajucie zrobiło się jasno jak w dzień.

- Jak się nazywasz?

Cisza. Głowa spuszczone na piersi, ręce bezwładnie zwisające wzdłuż boków.

- Nie rozumiesz Konu?

Chyba istotnie nie rozumiała. Tak często bywało, Garrańczycy nie lubili Konu. Zdarzało się wcale nierzadko, że nawet dzieci największych garrańskich i wyspiarskich rodzin nie znały języka uniwersalnego dla całego Imperium. Rapis zmarszczył czoło. Znał dobrze narzecze Garry i Wysp, w dziwny, niezrozumiały sposób spokrewnione z mową tak odległego przecież Grombelardu, ale nie lubił posługiwać się nim. Pochodził z Armektu i wyspiarski akcent był dla niego istną magią. Zdawał sobie sprawę z tego, jak śmiesznie i prostacko brzmią w jego ustach garrańskie słowa.

- Jak się nazywasz?

Uniosła głowę. Na sekundę ich oczy się spotkały. Nie wytrzymała tego spojrzenia, odwróciła lekko głowę.

- Rizarret.

- Świetnie

Nie spuszczał wzroku z jej ust. Im dłużej patrzył, tym bardziej wydawało mu się, że poprzednio uległ złudzeniu. Ich kształt nie wywoływał teraz w jego pamięci żadnych skojarzeń.

Załozyl ręce do tyłu i ruszył w swą zwykłą wędrowkę po pokoju. Spojrzał na leżący pod ścianą miecz, ale zrezygnował. Zawsze zdążył go znieść.

Podszedł do dużego, zgrabnego z jakimś sstałku ku

fra. Nie sprawdzał wtedy, co bierze, potem okazało się, że pelen jest kobiecych strojów. Nie wyrzucił go przez zwykłe lenistwo. Teraz zawartość miała się przydać.

- Chodź tu.

Drgnęła.

- Chodź tu - powtórzył z naciskiem, choć nadal łagodnie. Zbliżyła się niepewnie.

- Otworź to. Zawartość należy do ciebie - nagle pochylił się i sam otworzył wieko. Błysnęły naszywane srebrnymi cekinami suknie, zakurzone ciepłem powiało od aksamitu. Policzki dziewczyny pokryły się rumieńcem. Spojrzała z niedowierzaniem, szybko opuściła głowę na powrót. Był pewien, że na jej wysepce nigdy nie widziała nawet skrawka takich materiałów.

- Ale najpierw umyj się i uczesz. - Popchnął ją ku niewielkim drzwiom w kącie kajuty. - Tam znajdziesz dzban z wodą i miednicę. Jest też lustro i żelazny grzebień. - Uśmiechnął się nagle. - Wiem, że to za mało dla damy, ale to niestety wszystko, czym mogę ci służyć.

Mówił powoli, starannie. Dawno nie używał języka Garry.

Dziewczyna zniknęła za wskazanymi drzwiami. Rapis otworzył sąsiednie, wiodące do sypialni. Zamknął je za sobą i spojrzał dookoła. Rozbebeszone łóżko, porozrzucane ubrania i broń... Cóż, dziewczyna mogła się przydać.

Wrócił do nawigacyjnej. Czekał na nią przez chwilę.

- W porządku. Przebierz się teraz.

Zamysłony zaczął przemierzać kabinę wielkimi krokami. Ta dziewczyna... Nie było w niej tak typowej dla wieśniaków prostoty, czy głupoty mieszczań... Natura głębsza, skomplikowana... Ot, zagadka. Skąd ta dziewczyna w wyspiarskiej wiosce?

Zerknął na nią spod oka i zdziwił się ujrzawszy, że stoi w miejscu z opuszczoną na piersi głową. Zorientował się nagle w sytuacji, machnął ręką i wszedł do sypialni. Zatrzasnął drzwi.

Trzy kroki, zwrot, trzy kroki...

Dla odmiany zaczął snuć plany. Najpierw na Garre. Trzeba zadbać o to, by chłopcy mieli gdzie przehulać

zarobione złoto, w przeciwnym razie będą niezadowolone. A załoga musi być zadowolona. I bez grosza. Wtedy lepiej się bije. A więc na Garre. A z Garry? Można by płynąć na Morze Zamknięte, ale tam pływa niewiele towarowców. A może tak... Na Wody Środkowe? Wazny szlak handlowy między grombelardzkim Londem a armektąską Rapą. Co prawda nie lubił pływać po takich sadzawkach...

Wody Środkowe. Połączenie z Bezmiarami zapewniało im tylko Gardlo – wąska cieśnina, której nazwa mówiła sama za siebie. Mówiła Alagera, że Gardlo jest ostatnimi czasami strzeżone przez kilka dużych okrętów Floty Grombelardzkiej. Jeśli to prawda, nie ma tam po co płynąć.

Rapis zatrzymał się. Polarł dlonią brode. Wierze może do Złego Kraju? Po Magiczne Przedmioty? Gdyby się udało...

Był już raz w Kraju. I powrócił żywy, choć z pięćdziesięcioma ludźmi na pokładzie. Niemal każdy z nich zdobył wtedy Przedmiot. Marynarze posprzedawali swoje czym prędzej, tylko on i Rodan zatrzymali zdobyć przy sobie. Rodan – Pioro, on – Rubin. Córki Grzmotu, Geerkoto, potężny Zły Magiczny Przedmiot. Nie potrafił w pełni wykorzystać drzemiarzy w Rubinie sił, ale samo jego posiadanie potęgowało odporność na rany i ból, czyniło właściciela prawie niezwyciężonym w walce...

Nie, nie mógł ponownie płynąć do Obszaru. Ludzie. Ludzie byli niepewni, nowi. Och, gdyby miał swą starą załogę, te samą, przy której pomocy udowodnił, kto jest faktycznym królem Wysp i Bezmiarów!

Uśmiechnął się do wspomnień. To było w 287 roku Ery Sepow. Zaczęło się od tego, że wyciął do nogi małe garnizon Gwardii na jednej z przylegających do Garry wysepek. I dla żartu, zupełnie dla żartu, wydał edykt, na mocy którego obejmował wyspę w wieczyste władanie. Zostawił tam nawet swoją flagę – czerwone „R” na zielonym tle. Gwardziści oczywiście obsadzili wyspę ponownie i znów czysty przypadek sprawił, że Rapis zawitał tam po raz drugi. Wtedy skończyła się zabawa, zaczęła się poważna gra. Trzecia wizyta Rapis skończyła się masakrą wzmocnionego garnizonu w sile kilkudziesięciu ludzi. Rapis stracił połowę załogi. Wtedy schwytnie na wyspę tak poważne siły, że nawet Demon Walki, jak go z czasem nazywano, musiałby być szaleńcem, by porwać się na nie.

Gwardziści nie docenili go. Wśród korsarzy istnieje niepisane prawo, że najpotężniejszy spośród nich może raz na pięć lat zażądać darmowej pomocy od pozostałych – prawo odwieczne i niewzruszone jak skala, prawo święte. Tak więc ataku na wyspę (nazwano ją w tym czasie Barirra – Krwawa) dokonały cztery duże i dwa mniejsze okręty, a ponadto kilkadziesiąt śmigłych łodzi Sepow Morza – przybrzeżnych piratów dobijających i grabiących łatki osiadłe na mieliznach lub roztrzaskane przez burzę. Łącznie – przeszło półtora tysiąca ludzi. To już była regularna wojna. Po dwóch dniach oporu Barirra padła. Trzystu gwardzistów zabito w walce lub powieszono, spalono dwie kogi i zmuszono do ucieczki mniejszą karawelę. Śmierć na dnie morza znalazła prawie trzystu marynarzy i strażników morza. Po raz czwarty zielono-szkarłatna flaga powiewała nad wyspą.

Tego już było Przedstawicielowi Cesarza w Doronie za wiele. Na nieszczęsną skalę zwała się cała niemal piechota z zachodnich okręgów Garry w sile czterech i pół tysiąca ludzi, zaopatrzenie dowoziły trzy wielkie karaki stanowiące trzon Floty Głównej Garry i Wysp. Lecz Rapis nie był głupcem. Nie mógł po raz drugi żądać od załóg sprzymierzonych okrętów pomocy w walce, która pochłaniała ogromną liczbę ludzi i prócz gwardyjskiego uzbrojenia nie dawała żadnych zysków. Zamiasł tego za proponował im... interes. I stało się, że ósmego dnia maja, na tydzień przed nadejściem wezwanych z kontynentu na pomoc trzech Flot Armektu, pirackie załogi w sześciu miejscach na raz zaatakowały nadbrzeżne wioski, a na wet mniejsze miasteczka Garry. Triumf był zupełny. Wzięto ogromne łupy, zburzono praktycznie pozbawione załóg wartownie Gwardii, wycięto kilkuset rybaków i mieszczan. Straty piratów były bardzo nieznaczne, zaś następnego dnia rozpoczęto ewakuację wojsk z Barirry. Odtąd nie pozostała tam noga Gwardzisty. Wyspa była własnością Demona Walki.

Rapis pokręcił głową, przesunął dlonią po oczach i za puknął do drzwi. Pomysłał, że to śmieszne puknąć do drzwi

własnej kajuty i przekroczył próg. Zdumiony przyjrzał się dziewczynie. Była prawie ładna w zielono-czarnej sukni, gdyby nie ta opaska... ale nie to go uderzyło.

„Na Moc – pomyślał – czyż to możliwe, by córka rybaka tak swobodnie czuła się w aksamitach?”

– Ładna jesteś, Rizarret – powiedział otwarcie.

Spojrzała spod długich rzęs. Nie opuszczała już wzroku. Była zupełnie niepodobna do zaleknionej, zahukanej niewolnicy sprzed kwadransa. Skąd ta przemiana?

– Żartujesz sobie ze mnie, Panie – powiedziała cicho, ale bez strachu.

Było to pierwsze dłuższe zdanie, jakie usłyszał z jej ust. Odwrócił się powoli twarzą do ściany.

– Wierze dobrze – powiedział spokojnie – jesteś Rizarret. A dalej?

Milczenie. Obejrzał się.

– Twoje nazwisko, rozumiesz? Twoje nazwisko – powiedział spokojnie, tak spokojnie, że aż złowrogo.

Opanowała dreszcz. Już wiedział, że skłamie.

– Tyko... tylko Rizarret, Panie...

– Ach, tak.

Nie uwierzył. Był Szlachcicem Czystej Krwi, jego pełne nazwisko brzmiało Rapis K.D. Potrafił odróżnić chłopkę od szlachcianki. Po prostej barwie głosu, modulacji, akcentcie. Zwłaszcza, gdy mówiono w języku Garry, choćby nawet w gwarze Wysp. Chłopi, rybacy twardo cedzili słowa, ledwie akcentując, bez przydechu, często w złym miejscu rozdzielając zgłoski, a tym samym zmieniając znaczenie słowa. „Korrobl” – żartować, mogło znaczyć też: kpić, drwić, szydzić, śmiać się, cieszyć, zachwycać i... płakać. Rozpaczając byłoby już „randebl”, z akcentem na „a” i króciutką przerwą między „n” a „d”. Powiedziała „eko ko-rrobl” – żartujesz. Wierze powiedziałaby „eko korrobl” – szydzisz. Mogłoby też oznaczać „płaczesz” albo „śmiejiesz się” – w jego ustach zawsze brzmiałoby „korrobl”. Sens dałoby się uchwycić tylko przez kontekst, w jakim zdanie zostało wypowiedziane.

Milczenie przedłużało się. Teraz patrzył jej prosto w twarz. Odpowiadała upartym, dziwnie zawziętym spojrzeniem. Kto, do pioruna, dał jej szlacheckie wychowanie?

Drżała lekko, gdy całował jej szyję i usta. Nie stawiała oporu, ale też nie odwzajemniała pocałunków. Dopiero, gdy zaczął rozpinąć suknie, ujrzał w niesamowitym, oszpeconym czarną opaską spojrzeniu nie lek czy emocje, ale wstępl... Dreszcze, które próbowała opanować, były dreszczami odraży.

Panie, błagam... nie teraz... Muszę wie...

Puścił ją. Nurtowało ją coś, męczyło. Widział to.

Czemu nie teraz? Co musisz wiedzieć?

Nie odpowiedziała. Odeszła na bok i niezrecznie poprawiła opaskę.

Pytałem o coś.

Wahała się.

Panie, czy... czy ty...

Mów.

Czy ty... jesteś... Rapis K.D., Demon Walki?

Tak.

Zacisnęła usta i odwróciła się gwałtownie. Podszedł do niej, okrążył i zajrzał w twarz. W jej wzroku oprócz obrzydzenia była teraz jakaś dziwna wrogość.

– Wierze co z tego?

Milczała, gryząc usta.

V Wiało od zachodu. „Waż Morski” szparko płynął półwiatrem wprost na południe. Mineli Wyspy Okrągłe i wyostrzyli na baksztąg. Dziób okrętu mierzył teraz we wciąż jeszcze odległą Garre.

Nastroje wśród załogi były niezłe – zbliżały się dni zabaw i hulanki, ponadto Rapis nie żałował im rumu. Na całym okręcie nie znalazłoby się nikogo pijanego, ale też nikt do końca nie był trzeźwy. Przykład dawał kapitan i oficerowie: dwa kubki rumu na powitanie i dwa na pożegnanie dnia nikomu jeszcze nie zaszkodziły.

Wierze płyneli. Wieczorami tańczono. Kleli trochę marynarze, że co to za okręt, gdzie ani jednej baby w załodze nie znajdziesz, ale Demon miał swoje zasady. Kobieta w załodze – niezgoda w załodze. Musiały się z tym draby pogodzić, zresztą – jak powiadali starzy majtkowcy – z

baby żaden marynarz, a już zwłaszcza pirat. Do żagli to- to niezdatne, do topora jeszcze gorzej... Proźno stary cie- śła Karder przypominał Alagere – szefową dużej kogi i półtorej setki piratów, spośród których trzecią część stano- wiły kobiety. „Piratowała, piratowała, no i leży teraz na dnie, a my pływamy” – odpowiadali słuchacze, stukając w surowe drewno, żeby kłatwę odpędzić, boć przecie o trupach na morzu gadać – nie za bardzo.

Jednak i ci, co byli za babą piratem, i ci, co byli przeciw, doszli do wspólnego wniosku, stanowiącego esencję dłu- gotrwających, wielodniowych rozważań i dyskusji: baba w nocy – choćby i nie pirat – jak znalazł. Toteż gdy na pokła- dzie pojawiał się czasem Rrodan, obejmujący ciasno ple- cy jedynej na statku, a rozkochanej w nim bez reszty Jed- nookiej, jak ją z czasem nazwano, wzdychali sobie majt- kowie cichutko a z zawiścią. Rrodan miał jednak wyraź- nie wypisane na czole „wara mi od niej”, powściągał więc pilnie swe szorstkie, spracowane od żagla i topora łapy i tylko patrzyli, a i to ukradkiem. Bo Rrodan, choć nie taki wielki i silny jak Rapis, do mieczka był jeszcze szybszy, a mówiono, że nawet w wychodku trzyma go na kolanach. Burczeli jednak trochę po kątach, co wszystko zawsze widzący Rapis polraktował w ten spo- sób, że wydzielił po dodatkowej porcji rumu na głowę. Odtąd już na pewno było wiadomo, że „kapitan to swój chłop i swoim chłopcom krzywdy zrobić nie da”.

★

– Dlaczego tak bardzo nienawidzisz kapitana?
Dziewczyna drgnęła. Zdjęła jego dłoń ze swej piersi.
– Czemu pytasz?
– Bo ciekaw jestem. Nigdy cię nie uderzył, nie krzyknął nawet... Czasem aż się zastanawiam, dlaczego. Poza tym chłop niestary, silny jak narwał...
– Nie ma w nim nic z człowieka.
– Nie rozumiem.
– Nie rozumiesz... Powiedz, czy on kiedykolwiek w ży- ciu zrobił coś dla kogoś? Czy pomyślał, że nie jest sam na świecie? Że... że... Nie, on wszystko tylko dla siebie, dla siebie.

Rrodan zamyślił się.
– Nie masz racji – mruknął po chwili. – Rapis... cóż... Mówiłaś, że mnie kochasz.

– Kocham cię, Rrod.
– Jestem piratem – jak on. Między mną a nim jest bar- dzo niewiele różnic.

Odsunęła się.
– Nie porównuj się z tym człowiekiem, błagam... On... nie ma serca, nie zna uczuć. Ty... przecież... Potrafisz kochać, Rrod.

– I on to potrafi, Riz. Nawet nie wiesz, jak bardzo. Właśnie o tym chciałem ci powiedzieć. Była kobieta, dla której gotów był zerwać z nieba księżyc i zgasić słońce, wysuszyć morza i podeptać góry. Kochał ją jak szale- niec... I w istocie był szalony. Ona – Garranka Czystej Krwi, on – armektanski strażnik morza. Zostawił ją w Dranie, musiał wrócić do Armektu wypowiedzieć służbę. Gdy ponownie przyплыł na Garre – jej już nie znalazł. Zniknęła bez wieści. Uciekła? Nie wierzył w to. Szukał... trzy lata. I szuka do dziś. Ale już nie jej. Zapomnienia. Nikogo nigdy nie kochał prócz niej. Kocha ją do dziś. Wiem o tym.

– Naprawdę... szukał jej?
Zdziwił się widząc, jak bardzo jest przejęta opowieś- cią.

– Tak. Przez te trzy lata przeorał całą Garre wzdłuż i w szerz. Był nawet na dworze Przedstawiciela, prosząc o pomoc w poszukiwaniach. Ale to też nic nie dało.

– Nie! Nie, to niemożliwe!
Patrzył zdziwiony.

– Skąd... skąd znasz tę historię? – zapytała stłumionym głosem. – Opowiedział ci?

– Nie. Terra była moją siostrą.
Krzyk. Sledziła naga w rozbebeszonej pościeli z dłoń- mi przyciśniętymi do twarzy i płakała.

– Riz... Co się stało, Riz?

Objął ją czule i pocałował we włosy. Tulił jak dziecko.

– Riz, uspokój się.
Odjęła ręce od twarzy, wtedy pocałował ją w usta. Wy- rwała się z krzykiem. Złoczyła kolana, zakryła dłońmi nagie piersi.

– Nie, Rrod, nie! Ty... ja... jestem twoją siostrzenicą.

★

– Dlaczego zmieniłeś imię? Matka wiele opowiadała mi o was, o tobie, o... ojc. Tylko kiedy mówiła, wszystko wy- glądało inaczej, piękniej... W jej opowiadaniach byliste wspaniali – dumni strażnicy morza walczący z bandyta- mi... Ojciec... miał być szlachetny, dobry... Potem, gdy doszły nas słuchy o Rapisie K.D. – korsarzu, Demonie Walki – matka nie wierzyła. Nigdy w to nie wierzyła, umarła pewna, że jej Rapis...

Z Dranu porwali nas siepacze... siepacze Przedstawi- ciela...

Cisza.

– Mówię „nas”, choć kulka miesięcy dzieliło mnie wte- dy od przyścia na świat. Urodziłam się na zamku... tam się wychowałam. Gdy miałam dwanaście lat, byłam już powierniczką wszystkich sekretów mamy. Nigdy mu nie uległa dobrowolnie. Prosił, błagał, groził... Czasem... cza- sem pojawiali się w naszej komnacie jego słudzy i zabie- rali mamę. Wracała po kilku godzinach pobita... posinia- czona. Płakałam wtedy tak jak ona.

Trzy lata temu udało nam się uciec. Najbezpieczniej byłoby opuścić Garre, zbiec gdzieś do Armektu, może nawet do Grombelardu. Ale matka nie chciała o tym sty- szyć. „Oni tu wrócą” – mówiła. „Trzeba tylko czekać. Zobaczysz”.

Na Kalaronie osiedliliśmy się dlatego, że była blisko Dranu. Codziennie mama godzinami wpatrywała się w morze. „Ich statek ma niebieskie żagle” – mówiła. „Nie- bieskie”.

Nie chciałam i nie mogłam jej tłumaczyć, że wszystkie armektanskie okręty mają niebieskie żagle.

No i stało się. Pewnego ranka ujrzaliśmy na horyzon- cie wielki okręt z niebieskimi żaglami. Płynął do Dranu. Na Moc, jak ona się spieszyła! Chciała być w porcie jesz- cze przed nim, czekać... Żeby nie odplynuli, nie zawróci- li...

Dro Czytelniku

Miesięczniki:

DELTA

MAGAZYN MUZYCZNY

KOMPUTER

KONTYNETY

MORZE

POZNAJ ŚWIAT

PROBLEMY

RODZINA I SZKOŁA

WIDNOKRĘGI

WIEDZA I ŻYCIE

Czy pomyślałeś już o zaprowa- rowaniu Twojego ulubionego sopisma na rok przyszły?

Masz na to czas tylko do 15 mar- da 1987 r.

ANDRZEJ WRONSKI



Miała wtedy trzydzieści cztery lata.

W porcie wysypało się ze statku kilkudziesięciu żołnierzy. Zatrzymywała ich, pytała, otrzymując w odpowiedzi tylko dotyk owłosionych łap i jednoznaczne propozycje... Brali ją za dziwkę. Wreszcie jakiś oficer ulitował się i wystuchał jej pytań. Nie zapomnę jego spojrzenia, gdy powiedział:

- Nigdy nie wymawiaj tego imienia, kobieto, w pobliżu cesarskiego okrętu. To imię przynosi nieszczęście.

Nic więcej nie chciał powiedzieć... Rano... okręt odpłynął. Cisza.

- Pochowałam ją następnego dnia wieczorem.

Uniosła twarz i szukała jego oczu. Powiedział stłumionym głosem.

- Na Moc, ilekroć spojrzałem na ciebie, zawsze wydawało mi się, że znam cię nie od dziś. Usta, nos... Gesty... Na Moc, jakże staraliśmy się obaj zapomnieć, jakże bardzo zapomnieliśmy, skoro nie poznałem twarzy własnej siostry, a Rapis...

Zapłakał.



Świtało, pierwsze blaski dnia wpadały do kabiny przez małe, okrągłe okienko. Z pokładu dobiegało stłumione wołanie stojącego na oku majtki i zaraz potem zmieszany gwar marynarskich głosów. Gdzieś niedaleko strzeliły drzwi.

- Wachtowy!!!

Szybki tupot nóg na korytarzu.

- Panie...

- Kazalem się budzić przed świtem? Kazalem?!

Pa...

- No to jak?!

Zgrzyt dobywanego miecza, potem krzyk krótki i straszny. Jeszcze chwila i łomotnęły otwierane z hałasem drzwi. Stał w progu z zakrwawionym mieczem w ręku.

- Rrodan, do jasnej... Co? Znow z tą dziwką, a wiesz, co się dzieje?!

Rrodan zerwał się jak sprężyna, chwycił kapitana za ramię.

- Nie mów o niej dziwka... Nie... nie mów tak o niej!

- Jesteśmy w samym środku garrańskiego konwoju...

- Nie mów o niej dziwka!

Rapis bez zamachu, lecz silnie pchnął go w pierś. Rrodan zatoczył się na ścianę. Chwycił leżący na krześle miecz.

- Nie!

Puścili jej krzyk mimo uszu. Stali naprzeciw siebie jak dwa wściekłe psy. Pierwszy oprzytomniał Rapis. Przesunął dłonią po twarzy.

- Rrod, do cholery! - powiedział chrapliwie. - Na wszystkie Moce, potem będzie czas na wszystko lub nie będzie go na nic... Na pokład!

Odwrócił się i pobiegł korytarzem. Rrodan porwał koszule i tak jak stał, zupełnie nago, wybiegł za nim. Nie obejrzał się.

Została sama.

VI Gdy Rapis dotarł na pokład, była tam już cała załoga. Majtek na oku dostrzegł go natychmiast i krzyknął:

- Dwa towarowe i strażnik z prawej burty, kapitanie!

Przysłonił oczy dłonią. W szarym świetle świtu, pośród mgły, majaczył nie dalej jak pół mili na skos od dziobu wysoki maszt i rozpięty na nim żółto-czarny żagiel. To był duży holk. Nieco dalej płynęły dwie wielkie, towarowe kogi.

Rrodan skoczył pod główny maszt.

- Dowódcy oddziałów abordażowych do mnie! Obsługa dział na stanowiska!

Zakotłowało się na pokładzie. Puszkarze sprawnie i szybko zajęli miejsca przy działach, grupy abordażowe kolejno znikły pod pokładem, by po chwili wyskoczyć z powrotem w pełnym uzbrojeniu.

Rapis spokojnie przyjrzał się płynącemu z południowego wschodu holkowi. Pełził powoli beidewindem, dostosowując swą i tak małą prędkość do jeszcze powolniejszych, ciężko załadowanych kog.

Mgła opadała; na holku już ich dostrzeżono, trwały tam gorączkowe przygotowania do walki. Jeszcze chwila i strażnik zmienił kurs. Płynął teraz pełnym wiatrem wprost na przecięcie kursu karaki. Coraz wyraźniej było widać srebrzyste helmy stłoczonych na pokładzie żołnierzy.

- Wydadz rozkazy, Rrod.

Huknęła od strony sterburty, dwie wielkie, kamienne kule z łuskotem wzbity ogromne fontanny wody. Strażnik próbował donośności swych dział pościgowych. Odległość jednak była zbyt duża.

- Rrod...

Stała przy nim i z lekkiem patrzyła na zbliżający się szybko okręt. Chwycił ją za ramię i pchnął lekko ku rufie.

- Jazda do kajuty! Ale już!

Nie ruszyła się z miejsca, ujęła go tylko za ramię. Wtedy Rapis zwrócił ku niej swą spokojną na pozór twarz. Mocno cedził słowa:

- To jest okręt, nie targowisko. Jeżeli oficer mówi „do kajuty”, to znaczy, że tak ma być. Won!

Nim zdołała uczynić jeden ruch, oderwał ją od Rrodana i pchnął tak mocno, że upadła.

- Odpieprz się od niej wreszcie!

Spojrzał na oficera. Gniew załśnił w szarych oczach. Powściągnął go jeszcze raz.

- Masz rację - wycedził przez zęby. - Nie czas.

Strażnik był bardzo blisko, marynarze patrzyli wyczekująco. Rapis podniósł do ust gwizdek. Majtkowie mocno ścisnęli broń.

- Poprowadzę abordaż, Rrod. Ty obejmiesz dowodzenie na statku.

Oficer skinął głową. Odwrócił się twarzą do nadpływającego okrętu.

- Prawa burta - ognia!

Statek drgnął i przechylił się ciężko. Wokół dziobu strażnika trysnęły w górę fontanny wody.

- Ramadan, kurs na wiatr!

Ostro płynęli beidewindem na spotkanie wrogiego okrętu. Gdy byli już tak blisko, że dało się odczytać wymalowaną na dziobie nazwę statku, padł kolejny rozkaz:

- Działa pościgowe - ognia!

W tej samej chwili strzelił i strażnik. Jeden z pocisków złamał środkowy taran.

Strażnik nieznacznie zmienił kurs, oba okręty płynęły teraz wprost na siebie. Rapis skinął na bosmana. Ten natychmiast przyniósł mu ciężki, obureczny topór.

Gdy oba okręty dzieliła odległość najwyżej stu kroków, na pokład „Weża Morskiego” spadła ulewa strzał, wysłanych z dziobowego kasztelu holka. Łomotnęły o deski padające ciała zabitych i rannych, rozległy się krzyki bólu i przekleństwa. Gdy okręty drgnęły, ocierając się o siebie burtami, ludzie Rapis z wprawą rzucili haki, przytrzymali bosakami przepływający mimo kadłub. Wściekle, wydarte z setki piersi wycie zagłuszyło komendy oficerów na strażniku. Ogromna masa ludzi i broni runęła na pokład mniejszego okrętu. Dopiero teraz ukryci w obu kasztelach, niepotrzebni już do obsługi dział majtkowie napięli łuki. Na pokład strażnika spadło kilkadziesiąt strzał i bełtów. Zakotłowało się na śródokreśliu, w powstały metlik wpadli prowadzeni przez Rapis ludzi. Strażnicy zastawili się włóczniami i dopiero wtedy stało się jasne, do kogo musi należeć zwycięstwo. Na czele zgromadziło kilkunastu najbardziej doświadczonych rzeźników - resztki starej załogi Rapis. Ci nie mieli mieczów ani włóczni, doświadczenie nauczyło ich, że najskuteczniejszą bronią w walkach abordażowych jest topór, a jeszcze lepiej - berdysz. Włócznie żołnierzy trzasnęły jak wąż patyczki już w pierwszym kontakcie z pirackim orężem, oficerowie na próżno starali się zorganizować w szyk natychmiast rozproszonych żołnierzy. Zorganizowany opór zgasił w pierwszej minucie walki, potem zaczęła się rzeź. Strażnicy byli dzielni tylko w dużej grupie, tam, gdzie zmuszeni byli walczyć po dwóch-trzech - ulegali natychmiast. Strzały z kaszteli przestały świstać, w zamieszaniu łucznicy bali się razić swoich. Na śródokreśliu rozpoczęła się mordercza gonitwa; ludzie Rapis chwytały biegających w panice strażników i wyrzucali za burtę, bądź po prostu mordowali. A byli to przecież dzielni i odważni żołnierze, świetnie wyszkoleni - coż, jeśli działający jak jeden miecz i jedno

ramię tylko w zwartym szyku i pod wodzą doświadczanego oficera. Rapis w ciągu dwudziestu prawie lat uprawiania swego procederu nauczył się był, w jaki sposób prowadzić walkę. Uderzał w jeden punkt, rozbijał sztyk jak klinem na dwie grupy, te mniejsze, a potem już spokojnie docinał zdeorientowane oddziały.

Tak było i tym razem. Jak demon, którym go przecież zwano, poszedł jak w dym, zaraz na początku zmiażdżył toporem dwóch oszczepników i odrąbał ramię wraz z głową chudej strażniczce z łukiem. Potem dopadł wrzeszczącego oficera. Ten pchnął mieczem, ale ostrze drasnęło tylko biceps. Rapis szerokim, półkolistym ruchem wywinął toporem. Odcięta od tułowia głowa poleciała się po pokładzie. Skoczyło ku niemu dwóch żołnierzy, ale idący obok Taras rąbnął berdyszem w hełm pierwszego, drugiego zaś wziął na siebie grubo i stary, lecz silny jak niedźwiedz bosman Dorol.

Opór szybko wygasł. Na sygnał Rapisa piraci sprawnie podłożyli ogień pod kasztel rufowy, a zaraz potem pod dziobowy. Gdy tylko deski zajęły się płomieniem, Rapis uniósł do ust gwizdek. Po chwili byli z powrotem na „Wezu Morskim”. Nie brali łupów – mieli przecież jeszcze dwie wielkie, wyładowane towarami kogi. Odcięto wiążące oba okręty liny, odczepiono bosaki. Uczepione burty zbiry z hałasliwą wesołością obserwowały miotających się bezradnie wśród płomieni pozostałych przy życiu żołnierzy i marynarzy. Ogień rozprzestrzenił się szybko, płonęło olinowanie i drzewce grotmasztu. Byli nie dalej jak ćwierć mili od gorejącego już jak pochodnia okrętu, gdy ujrzeli wyskakujące w panice do morza figurki załogi. Kilka chwil później wyleciały w powietrze rufowe prochownie. Statek przechylił się gwałtownie i zaczął szybko tonąć. Krzyki przerażenia i rozpacz dołatały aż na pokład „Weza Morskiego”. Potem eksplodowały zapasy prochu na kasztelu dziobowym. Wśród syku, klebów pary i dymu okręt skrył się pod powierzchnią. Powstały ogromny wir wciągnął wszystkich utrzymujących się jeszcze na wodzie ludzi. Potem, gdy morze się uspokoiło, wypłynęły na powierzchnię nadpalone i potrzaskane deski, jakieś skrzynie, beczułki...

Demon z uśmiechem obserwował widowisko. Mógł pozwolić ludziom nacieszyć się zwycięstwem, przeciążone kogi nie miały żadnych szans na ucieczkę.

- Do żagli, hołota! Ramadan, bierz wiatr na rufę!

Zmierzył wzrokiem odległość dzielącą go od uciekających pełnym wiatrem towarowców. Najwyżej trzy mile. Z takim ładunkiem mogły robić trzy-cztery węzły, on przy takim wietrze – przynajmniej sześć.

Spojrzał na Rrodana.

- Cóż, Rrod - rzucił lekko - możemy dokończyć bitwę.

Ten spojrzał na niego pytająco. Nagle uśmiechnął się smutno.

Dajże spokój - rzekł. - Musimy porozmawiać.

Rapis bacznie zajął mu w oczy.

- Też tak myślę. Ostatnio... Chcesz teraz?

- Tak.

- Więc chodźmy do mnie.

Niespiesznie ruszyli ku rufie. W krótkim, prowadzącym do kajuty kapitańskiej i kajut oficerów korytarzyku natknęli się na Rizarret, opatrującą wachtowego - młodego chłopaka, którego Rapis ciężko ranił mieczem. Spojrzeli. Rana była beznadziejna, marynarz paprał się we własnych wnętrznościach. Choć przytomny, widać było, że długo nie pożyje.

- Zostaw go - powiedział cicho Rrodan. - Zostaw go i chodź z nami. Musimy porozmawiać.

Rapis tylko spojrzał.

- Ach, tak... - powiedział z namysłem.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Idźcie stąd.

Wąski sztych miecza przebił chłopakowi gardło. Nawet nie jęknął.

- To jest okręt, a nie rynek w Dartanie - powiedział jeszcze raz Rapis. - Jeśli oficer mówi „chodź”, to znaczy, że tak ma być.

Dziewczyna powoli uniosła się z klęczek. Z nienawiścią spojrzała mu w oczy.

- Tak, to jest okręt, a nie rynek - powtórzyła. - A ty jesteś jego panem i władcą.

Rapis nie mrugnął powieką.

- Właśnie, dziwko - powiedział spokojnie. - Właśnie.

Rrodan stał z opuszczoną głową. Nie drgnął nawet, gdy Rapis podszedł do drzwi kajuty swojej i otworzył je.

- Mielśmy porozmawiać.

Oficer potrząsnął głową.

- Nie. Nie ma już o czym...

Huknęły zamykane z rozmachem drzwi. W korytarzyku zaległa cisza. Rizarret spojrzała na leżącego bez ruchu marynarza, potem na Rrodana i znów na marynarza. Łzy popłynęły po policzkach.

- Widzisz... - szepnęła, Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale szloch chwycił ją za gardło. Odwróciła się, wbiegła do otwartej kabiny Rrodana i zamknęła za sobą drzwi. Słyszał jej coraz rozpaczliwszy płacz.

Stał bez ruchu. Nie zareagował, gdy skrzypnęły drzwi kapitańskiej kajuty.

- Chciałbym jednak wiedzieć, co się tu dzieje - powiedział Rapis.

Rrodan pokręcił głową.

- Nie, Rap. Już za późno...

- Skoro tak, to proszę

Zadzwonił cisniony na podłogę miecz. Rrodan powoli uniósł wzrok. W dłoni Rapisa lśniło identyczne ostrze. Niedowierzanie odmalowało się na twarzy oficera.

- Więc naprawdę... naprawdę Rap... mamy z sobą walczyć? Po dwudziestu dwóch latach...

- Tak, Rrod. Po dwudziestu dwóch latach przyjaźni skrzyżujemy broń. Tak musi być, tak chcą.

Cisza.

- Podnieś miecz.

- Nie, Rap. Nie skieruję przeciwko tobie broni. Dobrze, powiem ci, co miałem do powiedzenia.

- Nie chce już tego słuchać, Rrod. Broń się.

- Wysłuchaj jednak.

- Broń się.

Nie czekał na reakcję Rrodana. Odrzucił miecz, przeskokował zwiłki marynarza i z całej siły uderzył w żołądek. Oficer zgął się gwałtownie; natychmiastowe uderzenie kolanem w twarz rzuciło go na ścianę. Następny cios oderwał go od podłogi, poczuł tylko, że leci długo, wreszcie - ciągle przytomny - upadł jak wór kilka kroków dalej. Potężne kopnięcie w żebra sprawiło, że zaczął wolno powstawać. Mdlilo go od ciosu w brzuch, nagle dostał torsji. Znowu cios. W pierś. Zakrztusił się wymiocinami i krwią, uderzył głową w dwa niskie, wiodące na pokład schodki. Jak przez mgłę widział potężną dłoń, która zacisnęła się na jego koszuli. Postawiono go na nogi.

- Broń się.

Stęknął przeciągle po kopniaku w podbrzusze, potem dwa straszliwe ciosy w twarz omal nie oderwały mu głowy. Jak przez ścianę usłyszał przeraźliwy krzyk Rizarret. Potem ogarnęła go ciemność. Nie czuł już, że jest wynoszony na pokład, nie widział, jak milczy przerażona załoga. Potem zamknęły się nad nim fale.

VII

Mieli je w zasięgu dział. Gdy na strzały ostrzegawcze nie zwrócili uwagi, zrównali się z tą, która płynęła jako druga. Z morderczej odległości oddali salwę burtową. Runął maszt, rozległy się krzyki przerażonych marynarzy i całego tłumu płynących na targ kupców. Rapis kazał pozostawić unieruchomiony statek i gonić drugi. Tym razem salwa poszła po linii wodnej, jeden z pocisków przebił poszycie, pozostawiając dziurę w kadłubie. To było za mało, Rapis wydał

Feliks W. KRES

Autor ukrywający się pod tym pseudonimem jest postacią tajemniczą. Karierę rozpoczął udziałem w pierwszym konkursie „Fantastyki” (II nagroda za opowiadanie „Mag”), potem wydrukował kilka nowel w „Fenikse” i „Sferze”. Czekając na druk swych opowiadań i grubej powieści fantasy w wydawnictwie „Almapress”.

Pisze dużo, mozolnie, poprawiając, wyrzucając i zaczynając od nowa, próbuje swych sił w różnych konwencjach i stylach. Publikowane przez nas opowiadanie jest jedną z pierwszych części zakrojonego szeroko cyklu. Czy warto, aby autor pracował nad nim dalej, zostawiamy ocenie Czytelników.

(raz)

rozkaz taranowania. Rozległ się jęk zawiedzionych, żądnych łupów marynarzy, ale Rapis wiedział, co robi. Byli zbyt blisko wybrzeży Garry, by ryzykować czasochłonne ograbianie aż dwóch statków. Poza tym miał poważne straty w załodze. A w każdej chwili mogła pojawić się na horyzoncie eskadra wojennych okrętów. Łupy wyniesione z jednego tylko towarowca były i tak królewską zdobyczą.

Wstrząs omal nie zbił go z nóg. Górny taran pękł w połowie, dolny roztrzaskał cały niemal dziób ciężkiej kogi. Woda z łoskotem runęła do wnętrza kadłuba, powiększając wylom. Koga przechyliła się nagle, widać źle umocowany ładunek poszedł na jedną burzę. Przerażliwy krzyk ludzi zagłuszony został przez złowrogi trzask pekających desek. Dolny taran strzelił jak kruchy patyczek, oba statki odskoczyły od siebie. Gdy powracali do pierwszej ofiary, morze za nimi było już puste.

Szybko spielali okręty linami. Garska żołnierzy eskortujących ładunek skupiła się przy powalonym maszcie. Wyrznięto ich w mgnieniu oka, potem rzucono się na łupy.

Gdy Rapis wybiegł na rufę, byli tam już jego majtkowie. Kupcy płynęli nierzadko z całymi rodzinami, z różnych zakamarków statku dochodziły teraz krzyki gwałconych kobiet i żarzanych dzieci. Nie zwracając na nie uwagi pobiegł do kajuty kapitańskiej. Otworzył drzwi. Ledwie zdążył uskoczyć przed ostrzem. Odrzucił łopór i także dobył miecza. Kapitan był lepszym szermierzem od niego, ale zręczność nie szła w parze z siłą. Po trzecim uderzeniu Rapis miecz wypadł mu ze zdrtwiałej dłoni. Rapis ciał strasznie i natychmiast zajął się mapami. Zwinął je w rulon i wepchnął za koszulę na piersi. Potem pozabierał potrzebne mu instrumenty nawigacyjne. Włożył je do dużego stojącego w kącie kajuty pudła i zajął się piądrowaniem szaf. Z jednej z nich wypadła niewielka, czarna skrzynka, zamknięta na olbrzymią kłódkę. Zadzwieczało złoto. Włożył ją do swego pudła, zabrał jeszcze kilka drobnych przedmiotów i już miał wychodzić, kiedy dostrzegł skuloną w kącie pokoju młodą, niezbyt ładną kobietę. Uniósł miecz, ale zrezygnował pomyślawszy, że statek i tak pójdzie na dno.

Gdy wybiegł na pokład, ujrzał swoich majtków zataczających się wokół wielkiej, otwartej beczki. Zrozumiał w jednej chwili: statek szedł z ładunkiem win.

- Precz! - ryknął. - Precz z powrotem! Wracamy!

Marynarze z żalem odstąpili od beczki wydobytej z wielkim trudem z ładowni. Ożywili się jednak, gdy kazal im podłożyć ogień. Byli już na „Weżu Morskim”, gdy usłyszeli ich wesołe przyspiewki:

*Wiatr morski, żeglarze, tę prawdę wam powie
hej! ha! hej! hej! ha!*

*Radujcie się, bracia, gdy giną wrogowie!
hej! ha! hej! ha! hej! ha!*

*Gdy świst miecza powie, że strażnik już trup
hej! ha! hej! hej! ha!*

*Radujmy się, bracia, i zgarniajmy łup!
hej! ha! hej! ha! hej! ha!*

Przytknął gwizdek do ust i świsał dwa razy. Śpiew ucichł natychmiast, ci, którzy jeszcze bawili na płonącym statku, pospiesznie wracali na pokład karaki. Rapis odwrócił się do stojącego przy burcie Tarasa.

- Przypilnuj, żeby sprawiedliwie podzielono zdobycz - powiedział.

- Słucham, kapitanie.

Rapis lekko uniósł swoje pudło i podążył do kajuty. Po drodze zaczepił jednego z majtków:

- Hej, ty tam! Przyprowadź mi do kajuty tę dziewczynę!

- Słucham, Panie!

Lokciem otworzył drzwi i postawił pudło na podłodze. Ostrożnie wyjął instrumenty nawigacyjne i dopiero wtedy beztrudnie i z hałasem postawił pudło w kącie. Wyszedł jeszcze na pokład, by wskazać sternikowi kurs i wrócił. Przy drzwiach kajuty czekała Rizarret, trzymana za nadgarstki przez marynarza.

- Nie chciała iść, Panie - usprawiedliwił się, gdy Rapis rzucił pytające spojrzenie.

- W porządku, mozesz odejść.

- Tak, Panie.

Wepchnął dziewczynę do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Usiadł w fotelu, odpiawszy najpierw miecz. Spojrzał uważnie.

- Taak... Może ty wiesz, co mi chciał powiedzieć Rordan, co wiązało się z twoją osobą?

Na dźwięk imienia oficera drobne usta zadrżały. Opanowała się. Zaciśnięła wargi i spojrzała z nienawiścią. Ale w głosie drżały łzy:

- Ty bandyto... morderco... Nic ci nie powiem.

- Na pewno?

Nie odpowiadała. Nie patrzyła na niego.

Myślał przez chwilę, potem polecił:

- Rozbierz się.

Po długiej chwili oczekiwania wstał i szybko, bez zamachu uderzył ją w twarz.

- To jest okret, nie rynek - powiedział z satysfakcją. - A ja jestem jego panem i władcą, jak słusznie raczyłaś niedawno zauważyć. A zalem zrobić, co kazałem.

- Nigdy! - powiedziała z płaczem.

- Co ty powiesz?

Wykreślił jej rękę do tyłu, krzyknęła z bólu. Pchnął mocno i z dziwną, nie znaną wcześniej przyjemnością patrzył, jak rozmazuje krew z rozbitego nosa. Łzy ciekły po twarzy dziewczyny, lecz usta miała zaciśnięte z uporem. Wiedział, że nie ma ludzi do końca upartych, ale nie chciał mu się czekać. Otworzył drzwi do sypialni, wciągnął ją do środka i siłą zdarł suknię. Walczyła z nim, ale zignorował to. I właśnie bezradność zalamala ją. Z jękiem znieruchomiała mu w ramionach i nie poruszyła się aż do końca. Naga, z bezwzględnie rozrzuconymi nogami leżała nawet wówczas, gdy ubrał się i wyszedł. Wąska strużka zmieszanej z łzami krwi pozostawiła na policzku czerwony ślad. Zaciśnięte, półotwarte wargi poruszały się lekko.

W tym samym czasie oparty o burzę Rapis płakał. Rozumiał... Ten gniewny ruch głowy... i te usta. Zaciśnięte z uporem usta Terry, gdy żądała: „popłyń z tobą do Armektu, nie chce czekać”. Przygryziony w gniewie paznokcie, gdy odmówił. I teraz... usta Rizarret. Rozwarte nozdrza...

Pięści do skroni.

VIII

Wciąż leżała w stłamszonej poscili, gdy stanął w drzwiach. Był blady jak śmierć, powieki miał zapuchnięte. Ze ściśniętego gardła długo nie chciał się dobyć żaden dźwięk, tylko usta drżały, układając się w powtarzane zdanie:

- Dlaczegoś mi nie powiedziała? Dlaczego... żeście mi nie powiedzieli? Dlaczego?

Gdy wreszcie, po całych wiekach ciszy, po prostu musiała na niego spojrzeć - coś w niej drgnęło. Mógł już mówić, ale tak cicho, że ledwie go słyszała:

- Riz... Przez tyle, tyle lat... nie miałem nikogo, kogo mógłbym kochać. I wreszcie... gdy pojawił się ktoś taki... odsunieto mnie. Za moimi plecami uzgodniono, że... że nie umiem tego robić. Dlaczego?

Podbródek zadrżał, oczy znów zwilgotniały.

- Dlaczego, Riz?

Dwie wielkie łzy spłynęły w kąci ust, za nimi następne dwie. Niezręcznie rozmazał je dłonią, odwrócił się i poszedł korytarzykiem.



Następnego dnia rano znaleziono na dziobie między zwojem lin a skrzynią z narzędziami. Nikt nie widział zaciśniętego w dłoń Geerkto - Rubinu Córki Grzmotu. I nikt prócz Rizarret nie wierzył, że ten siwy, pomarszczony starzec to Rapis K.D., Demon Walki.

Bo był mały. Zupełnie mały.

Finis coronat opus!

Zgodnie z obietnicą przedstawiamy dziś głosy niektórych jurorów i lektorów II Konkursu „Fantastyki” na opowiadanie SF. Konkurs okazał się przedsięwzięciem angażującym całą redakcję; był ciężką pracą i dużą przygodą, wpędzał nas na przemieszanie to w kraczowe przynębanie, to w radosną euforię. Ślady tych rozbieżnych emocji znajdziecie Państwo w zebranych niżej refleksjach. O Konkursie pisze też Szef we wstępie „...3...2...1...”, niemal w całości poświęconym wielkiemu odkryciu Konkursu - opowiadaniu Marka S. Huberatha.

KONKURS i grafomani

W ciągu pięciu lat pracy w dziale polskim można zahartować sobie podniebienie. Grafomania i tupet są dla mnie rzeczą normalną, dziwnie i oczywiście wesoło robi się człowiekowi dopiero wtedy, kiedy trafia na coś wartościowego. W surpie - rzecz bardzo rzadka. W poprzednim konkursie z tysiąca stron wybrałem trzy opowiadania - około 80 stron maszynopisu. W tym miałem tylko jedno traktowanie, po lekturze 1500 stron kłopotliwych, jałowych, stereotypowych - ale za to odkryłem Marka Huberatha! Uważam, że to proporcje normalne, w konkursach były wydania wielotomowe.

II Literacki Konkurs „Fantastyki” miał blisko dwukrotnie liczniejszą obsadę niż pierwszy - 1148 zestawów prac wobec 689 - stron maszynopisu też było sporo więcej, ale objętościowo jego efekt końcowy wygląda na skromniejszy. Z drugiej strony, patrząc pod względem czytelniczym, to co przebiegało się do finału stanowi bodaj lepszą literaturę, sprawniejszą prozę. Skąd taki wynik? W pierwszym konkursie było więcej nawiedzonych młodzików, intuicjonistów. W tym drugim wystartowali także profesjonalści (i oni głównie wypłynęli), którzy do strzeżeń i uczciwie przeżyli zmianę skóry gatunku i potrafiłi swe dojrzalsze przemyslenia włożyć w nową, bardziej satysfakcjonującą formę artystyczną.

Sądzę, że pokonkursowa książka numer dwa (chyba zatytułujemy ją „Ciemie”) będzie się lepiej czytać i mieć lepszą prasę. Mimo to mam do „Trzeciej bramy” i jej autorów niezmiennie sentyment. Byli pierwsi, wywarzyli przegrody, dopiero potem zostali (chyba!) zdysansowani. Plon drugiego konkursu dokumentuje utrwalenie się, a nie narodziny nowej poetyki, jego autorzy grają piękną i wymyślną partię kartami, które mam wrażenie, już raz były w grze - nieco amatorskiej co prawda, ale też pełnej pasji. Większość określeń wobec tego nowego tomu - fantastyka alegoryczna, surrealistyczna, baśniowa, humanistyczna, magiczna, „Wschodnia”, różnorodna w inspiracjach, pokoleniowa, nawet rozrywkowa - już padło wobec laureatów konkursu pierwszego.

W przejmującym opowiadaniu Huberatha, które wszystkich w redakcji z Szelem włącznie (patrz wstępniak „...3...2...1”) przypisało o silną euforię, znajduję przecież elementy podobne do niektórych opowiadań z „Trzeciej bramy”, a zwłaszcza „Mianułu skazanego” i „Dziedzictwa”. Trudno mówić tu o naśladownictwie (data publikacji i moment pisania utworów to wyklucza)

Nagrodzone i wyróżnione prace (poza opowiadaniem 18-latkę z Opola, Piotra Goćka, wyróżniającego się na tle laureatów wyraźną młodopokoleniowością), przedstawiliśmy już Czytelnikom „Fantastyki”. Dziś na kolumnach literatury polskiej „Demon Walki”, nowe opowiadanie jednego z laureatów poprzedniego Konkursu, Feliksa W. Kresa. „Wielką ucieczkę” Piotra Goćka przedstawimy wkrótce. Natomiast mimo nalegań niektórych z Państwa zamierzamy nieco poczekać z ogłoszeniem Konkursu Nr III. Koniec wieńczy dzieło; chcemy teraz po prostu trochę odsapnąć, a i potencjalnym nowym czytelnikom (i laureatom) pozwolić zebrać myśli.

Redakcja

przyjemnie stwierdzać istnienie nowych wątków, ich pokrewieństwa, krążenie w powietrzu ciekawych konwencji. Tym właśnie jest konkurs - uczestnictwem w przedsięwzięciu, w którym pojawiają się nowe wartości literackie, są wzmacniane, rozwijane i promieniują na innych.

Dopiero w tym kontekście chciałbym dodać parę zdań o grafomanach. Są wieczni więc nie powinni nas irytować. Grafomani bywają tym dla literatury, czym spód góry lodowej dla jej wierzchołka: to najczęściej przyszli lub przeszli gorliwi czytelnicy. Grafomani pozostają zawsze w większości, są normalni i zwyczajni - twórcy nie - twórcy są kuriozami. Startując do problemu grafomanii z takiej płaszczyzny wypadnie z radością stwierdzić, że poziom reprezentowany przez grafomanów w Konkursie nr II poszedł w górę, a teksty eliminowane obecnie były sprawniejsze od tych odrzuconych przed czterema laty. Dlatego dzisiejszy grafoman informujący redakcję od razu na wstępie, że wprawdzie nie umie pisać, robi błędy, ale prosi, żeby... budzić winien właściwie sympatię, bowiem on już odróżnia tekst dobry od złego. W każdym razie takich skruszonych osobników należy postawić znacznie wyżej w hierarchii bytów literackich od grafomanów aroganckich, bezkrytycznych i pełnych pretensji. W niepewności dzisiejszych grafomanów, w ich kajaniu się „zanim co” widzę słodki owoc orki na utożsaczenie, jaką była praca w dziale polskim (i oczywiście praca paru innych kolegów w innych działach) w ciągu minionych 60 (sześćdziesięciu!) miesięcy istnienia „Fantastyki”.

Maciej Parowski

I wszystko wiemy

Wśród nagrodzonych znajdują się teksty tworzone w różnych konwencjach, stylach, odmianach gatunkowych. Bardziej i mniej tradycyjne. Ale zasadniczy przełom mamy już dawno za sobą. Jeśli nawet „cudowny wynalazek”, to ingerujący w podświadomość człowieka, manipulujący jego doznaniem, emocjami. Jeśli „kosmiczna” SF, to pisana z humorem, dystansem, autoronią. Wiele w tekstach konkursowych poetyki fantasty - znać tu echa lektur „Fantastyki”, może przejęciowej mody - dobrze to czyż, czas pokaże. Są nawiązania do rodzimych wątków baśniowych, pastisze literackie, to chyba zdarza się po raz pierwszy.

Mimo różnych konwencji, stylów, poetyk jest chyba coś, co teksty te w jakiś sposób łączy - trudno o tym pisać „z marszu”, na bieżąco, ale jak się wydaje - jest to jakiś rodzaj dystansu do rzeczywistości, próba opisu świata na własną rękę, sięgania po

tematy zgola eschatologiczne, duża, ogromna doza nieufności wobec zbankrutowanych systemów, ideologii, prób urządzania świata. Nowa generacja? Nie, generacje nie rodzą się co kilka lat, ale coś się zmienia, rysuje na horyzoncie zdarzeń, chociaż na ostateczne rozstrzygnięcia przyjdzie jeszcze poczekać.

Sprawy warsztatu - te w literaturze SF bywają zwykle zaniedbywane, a przecież proza pomysłowa jest tylko narzędziem w rękach popularyzatorów, moralistów. W naszym konkursie nie było z tym najlepiej - nieporadność warsztatowa była zatrażająca, problemy odklejały się od narracji, oryginalne pomysły obiekto w zużytyj matenę słowną, brakowało rozwiązań finałowych, gry na różnych instrumentach. Również nagrodzone, prezentowane teksty, nie są wyjątkiem od reguły.

Literatura SF jest nie tylko rozrywką, może nieść pomoc człowiekowi zagubionemu we współczesnym świecie. Może być wyjaśnieniem świata, próbą takiego opisu, którego nie mogą udźwignąć inne konwencje literackie. Może go słać odpowiadając na pytanie „jak żyć”, może go rozbić, dowodząc, że recepty takiej nie ma i być nie może. Ale to także rodzaj scalenia, poszerzający wiedzę o człowieku, sposobach poznawania świata.

Najciekawsza jest fantastyka wtedy, jeśli nie mnoży bytów bez potrzeby, zaskakuje innym spojrzeniem na rzeczywistość, ukazuje codzienność świata w nowym, odrębnym wymiarze. Jeśli przy tym udaje się jej przekazać kilka spostrzeżeń o człowieku - jej cel zostaje osiągnięty.

Jam, że coś z tych przemyslen znalazło się w nagrodzonych utworach.

Andrzej Niewiadowski

Szukamy osobistego spojrzenia

Czytanie setki lub więcej prac konkursowych to zajęcie wielce denerwujące i przynębiające. Denerwujące, bo człowiek sobie myśli: dlaczego ten facet uważa, że ma prawo zajmować innym ludziom czas, skoro nie ma nic do powiedzenia i na dodatek jeszcze się jąka. Przynębiające, bo tyle ludzi traci czas na robienie rzeczy marnych - nieużytecznych bubli.

Czy są w tym stosie chłamu jakieś prawdziwości? Tak, jest odwrotnie niż u Tolstojów - wszystkie marne opowiadania są do siebie podobne.

Język. Języka człowiek uczy się od pierwszego roku życia, kto więc przez lat 18, czy 20 nie nauczył się dobrej polszczyzny, ten widocznie się już nie nauczy. Polszc-

czyzna może być nie tylko błędna, ale i bezbarwna, nijaka, choć prawidłowa. To też w zasadzie wyklucza z dalszej gry. Podobnie ze stylizacją biblijno-gilgameszową. Jeszcze nie spotkałem zasługującego na uwagę opowiadania w tej stylizacji. (Przykładem pozytywnym na wagę języka jest „Wiedźmin”. Barwny, soczysty język ożywił tu stary, dość ograny temat.)

Nowe pomysły są prawie równie rzadkie w SF jak w nauce. Literatura głównego nurtu też ogrywa parę znanych tematów od tysięcy lat. Szukamy więc czegoś rzadkiego – własnego, osobistego spojrzenia. Jeżeli się coś takiego znajdzie, to człowiek się cieszy, jakby wygrał na loterii. Jest to radość redaktora, wydawcy, handlarza obrazami, a może po prostu grzybiarza. Nie ja się, ale ja znalazłem. Ja miałem przyjemność znaleźć w kupie kompostu opowiadanie Waldemara Podgorskiego o tym wojewodzie, co trząsł portkami.

Lech Jeczmyk

Uwaga na marginesie

Niestety, nie miałam szczęścia znaleźć wśród czytanych przeze mnie opowiadań konkursowych (około tysiąca stron maszynopisu) ani jednej pozycji, która by mnie naprawdę porwała. Kilka rokowało nadzieję, że autor ponawiając próby pisarskie może w przyszłości osiągnąć sukces, większość jednak opowiadała historie nieciekawe, schematyczne, uproszczone i po prostu słabe. Ale nie chcę tutaj rozważać jakości przysłanych prac. Konkurs został już jednak rozstrzygnięty, nagrody przyznane i każdy z Państwa może przeczytać opowiadania wyróżnione przez jury i ewentualnie porównać je z tymi, które sam wysyłał. Chciałabym jednak poruszyć inny problem – marginesowy dla konkursu, a jednak symptomatyczny i tłumaczący dlaczego tak wiele przysłanych opowiadań nie spełniało kryterium literackości utworu.

Wiele prac opatrzone było „listem przewodnim”, w którym autor przedstawiał siebie, swoje środowisko, swoją fascynację gatunkiem science fiction. Jednakże niejednokrotnie znajdowały się tam również uwagi typu „wiem, że nie umiem pisać” lub bardziej specyficzne „wiem, że robię błędy ortograficzne”, „mój styl jest bardzo słaby”, „z polskim zawsze miałem kłopoty” itd., itd.

Zastanawia mnie, dlaczego osoby, które wiedzą (bo nie była to kokieteria – opowiadania towarzyszące tym listom obarczone były zawsze błędami, których świadomość autor posiadał), że nie umieją pisać, uważają, że ich utwory warte są przeczytania przez innych. To, że pewne refleksje czy pomysły przelewane są na papier jest zjawiskiem powszechnym i wydaje mi się, że ze wszech miar pozytywnym. Jeżeli jednak autorzy zdają już sobie sprawę ze swoich braków, czemuż nie poproszą klasowej prymuski o sprawdzenie tekstu (na pewno chętnie pomoże, żeby wykazać, że zasłużyła na swój tytuł) lub po prostu nie sięgną po słownik, żeby nieco wygładzić co ostrzejsze kanty swojej prozy.

A listy czytałam dopiero po lekturze opowiadań.

Dorota Malinowska

Co wolno Tolkienowi, to nie „Wiedźminowi”?

Szanowna redakcjo!

Opublikowane przez was opowiadanie „Wiedźmin” jest bezczelnym plagiatem baśni opracowanej przez Romana Zmorskiego pt. „Strzyga”, wydanej w roku 1852 w zbiorze „Podania i baśnie ludu polskiego”. Jedyne początek opowiadania został przez pana Sapkowskiego trochę zmieniony – reszta prawie dokładnie według tekstu Zmorskiego. Mam nadzieję, że nie pozostawicie tak tej sprawy.

Gorliwa czytelniczka „Fantastyki”

Katarzyna Wącyk

Zarzut plagiatu to sprawa poważna, a cytowany list jest jednym z kilku utrzymanych w podobnym tonie i zarazem jednym z bardzo wielu listów dotyczących „Wiedźmina”. Pozostałe zawierały pochwały pod adresem Andrzeja Sapkowskiego, a jeden z Czytelników ulundował nawet dla autora prywatną nagrodę w wysokości 1000 złotych (przekazaliśmy, dziękujemy, gratulujemy). Zarówno tym, którzy chwalili, jak i tym, którzy odsądzali naszego laureata od czci i wiary, należy się zatem kilka wyjaśnień.

Drobiazgowo porównałem opowiadanie Andrzeja Sapkowskiego z zapisem Romana Zmorskiego (nawiasem mówiąc nazywanie Zmorskiego autorem „Strzygi” jest uproszczeniem, opracował on tylko zastysznaną ludową baśń). Podobieństwa między tekstami są istotnie łatwe do zauważenia, chociaż ograniczają się głównie do zarysu fabuły. Baśń Zmorskiego opowiada o wydarzeniu, które miało miejsce w państwie króla Goździka, który to król w młodych latach dopuścił się kazirodztwa z własną siostrą. Królowa, będąca efektem tego wydarzenia, zmarła zaraz po narodzeniu i stała się strzygą. Od tego czasu przy każdej pełni księżyca wychodzi z grobu, pozerając nieostrożnych przechodniów, czy też – potem – specjalnie w tym celu podrzucających jej złoczyńców. Król jednak nie pozwala zabić strzygi, wiedząc iż jeżeli jakiś śmieć spędzi przy krypcie królowy trzy noce czar prysnie, a jego córka wróci pomiędzy żywych. Amatorzy połowy królestwa i ręki królowy giną więc masowo i dopiero przybyły z daleka biedny sierota uzbrojony w kij oraz dobre rady spotkanego po drodze staruszka (Uwaga! Tajny cza-

rodziej!), z którym podzielił się ostatnią okruszyną chleba, dokonuje nietatwej sztuki odczarowania nieszczęsnej. Ocala go, jak to zwykle w baśniach bywa, nie siła, ale spryt. Pierwszej nocy kryje się pod sterłą kości, drugiej – na organach (bo grób królowy znajduje się w podziemiach kościoła), które strzyga przez całą noc bezskutecznie szturmując wspinając się po wywieczonych z podziemi trumnach; trzeciej wreszcie zamyka się w trumnie królowy, kreśląc na jej wieku poświęconą kredą znak krzyża. Potem żyją długo i szczęśliwie.

Różnice w prowadzeniu głównego wątku są na tyle drobne, że można je pominąć – Andrzej Sapkowski w godnej pochwały trosce o zwięzłość zastosował słabszy czar, do którego unicestwienia wystarczyła jedna noc, a na wieku trumny kazał swojemu bohaterowi nakreślić, zamiast krzyża, znak „Yrden”, co też jest logiczne, zwyczajowy, że w świecie fantasy religia chrześcijańska raczej nie występuje. Ważniejsza jest tu zmiana realiów – czy raczej ich stworzenie – bo o państwie króla Goździka nie pisze Zmorski prawie nic. Bohaterem „Strzygi” jest dość stereotypowy biedak Marcin, który poza tzw. dobrym sercem nie wyróżnia się w zasadzie niczym szczególnym. Sapkowski zastępuje go przyzwoicie skrojonym, choć nieco conanowatym Geralttem. I wreszcie, co najistotniejsze, na motywach krótkiej, jednowątkowej opowiadki tworzy Sapkowski rozbudowane, dwucipne i sprawnie napisane opowiadanie, mające się do pierwowzoru tak, jak „Fiat 125p” do dylizansu.

Mówiąc krótko: pomysł „Wiedźmina” jest faktycznie zaczerpnięty z baśni, ale przetworzony i opracowany na nowo stał się bezspornie własnością autora z Łodzi. Czy jest to plagiat? Jeśli tak, musimy na liście plagiatów umieścić wszystkie mazurki i oberki Chopina, ponad połowę z „Ballad i romansów” Mickiewicza, a także twórczość J.R.R. Tolkiena i prawie całą anglosaską fantasy, która z zamiłowaniem wykorzystuje wątki starych, celtyckich i normanńskich podań.

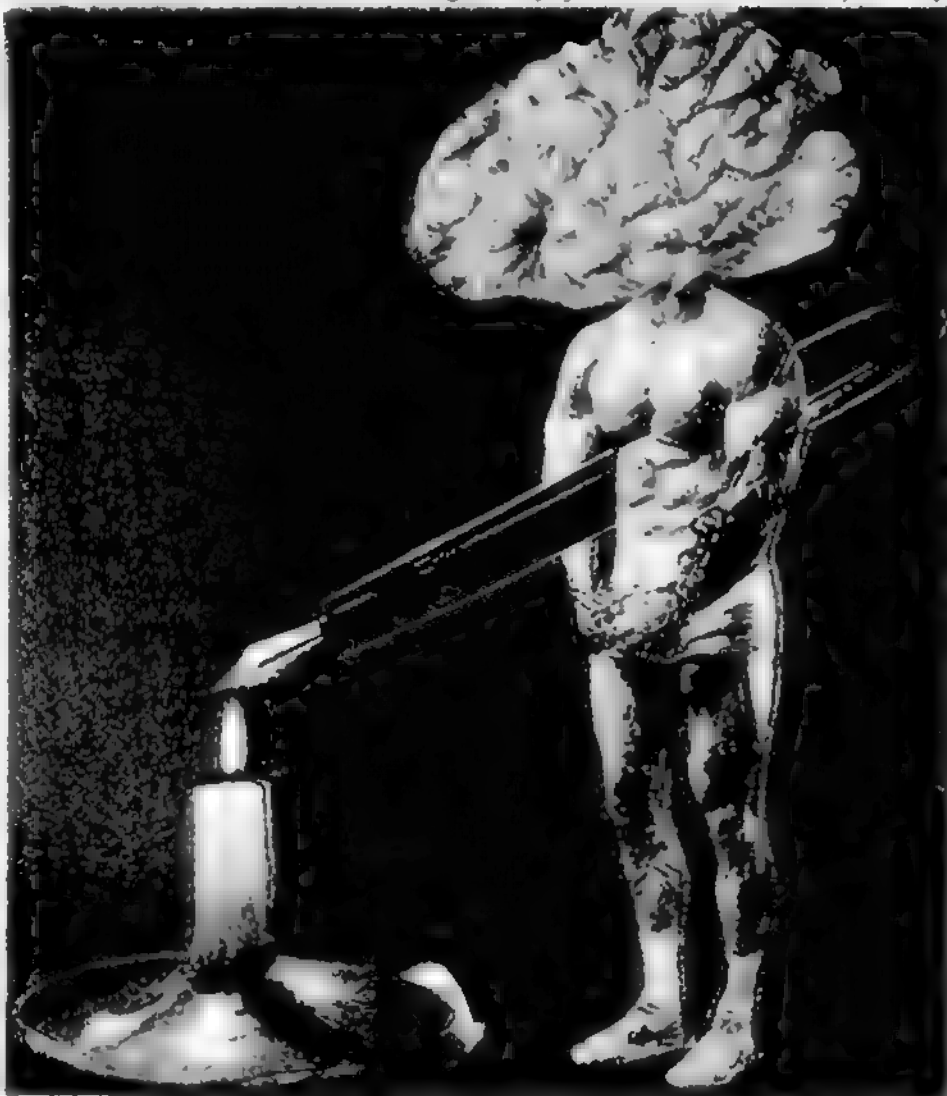
Zresztą większość Czytelników, którzy dostrzegli podobieństwa „Wiedźmina” i „Strzygi”, zdała sobie z tego sprawę. A przy okazji gratuluję autorowi „Wiedźmina” – zakończył swój list jeden z nich. – Potrafił on z głupiej bajki zrobić nadające się do czytania opowiadanie fantasy.

Nie wdając się w ocenę „Strzygi”, którą nasz Czytelnik polepsza chyba zbyt pochopnie, wypada stwierdzić, że jego pochwała jest zasadna.

Wszystkich entuzjastów i wrogów „Wiedźmina” zachęcam do sięgnięcia po pierwowzór opowiadania. „Strzygę” opublikował w 1956 roku Tomasz Jodełka w drugim tomie antologii „Polskie baśnie ludowe”.

Rafał

Ziemkiewicz



Nowaczyński

Adolf
(1876–1944)

**Dramatopisarz,
satyryk,
publicysta**

Urodził się 9 stycznia 1876 roku w Podgórzu pod Krakowem. Syn Antoniego, radcy sądowego i Ludwika z Kronenbergów. Studiował prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim, tu znalazł się w gronie młodzieży artystycznej, następnie związał się przejściowo z cyganerią spod znaku Stan sława Przybyszewskiego. W roku 1903 należał do redakcji pisma satyrycznego „Liberum veto”. W roku 1904 przeniósł się do Warszawy dla podkreślenia różnicy przekonań dzielących go od ojców przybrał przydomek Neuwerf. W latach wojny ogłaszał pamflety antyniemieckie drukowane w „Kurierze Porannym” i redagowanym przez siebie, konspiracyjnym „Liberum veto”. Po

roku 1918 stał się czołowym publicystą obozu narodowodemokratycznego, pisywał do „Gazety Warszawskiej”, „Myśli Narodowej” oraz działu politycznego „Prosto z mostu”. Za publikowane artykuły otrzymywał wyroki sądowe (1923, 1929). W roku 1927 padł ofiarą brutalnej napaści przeciwników politycznych w wyniku czego stracił oko. Autor satyr prozą „Małpie zwierciadło” (1902), „Facecje sowiżdzaskie” (1903), „Skotopaski sowiżdzaskie” (1904) oraz wielu dramatów i komedii, m.in. „Smocze gniazdo” (1905), „Cyganeria Warszawska” (1912), „Komendant Paryża” (1926), „Wiosna narodów” (1929). Eseiista, krytyk, wydał m.in. szkice o swoich współczesnych, o pisarzach epoki odrodzenia, o literaturze obcej zawarte w tomach „Studia i szkice” (1901), „Wczasy literackie” (1905), „Szkice literackie” (1918), „Góry z pasm” (1922), „Pamflety” (1930), „Pieśni i perły” (1934). Słowa, słowa, słowa” (1938).

Kilkrotnie nagradzany za działalność literacką (1928, 1934, 1939). W czasie II wojny światowej przebywał w Warszawie, był więziony na Pawiaku. Zmarł 3 lipca 1944 roku w Warszawie.

W roku 1927 ukazała się powieść Adolfa Nowaczyńskiego „System doktora Caro. Utopia humorystyczna” (pierwotnie w „Rzeczpospolitej” 1925/3 – 47). Akcja książki rozgrywa się pod koniec XIX wieku w Warszawie – stolicy VII Stanu Zjednoczonych Stanów Europejskich. Bohaterem jest historyk sztuki, który prowadzi badania nad twórczością malarza przełomu XIX i XX stulecia – Jana Gwalberta Słaza i przypadkowo trafia na ślad metody odmładzania opracowanej przez doktora Caro. Okazją do satyrycznej oceny epoki stają się listy i pamiętniki z dwudziestolecia międzywojennego. Nowaczyński nie żałuje epitetów i złośliwości pod adresem swoich współczesnych dopuszczając do głosu nacjonalizm, tworząc paszkwil społeczno-polityczny wpisany w ramy powieści przyszłościowej.

Bibliografia wybrana:

- A. Hutnikiewicz, *Adolf Nowaczyński* (w:) „Obraz Literatury Polskiej” V/2
- H. Drzewiecki (w:) *Wiadomości Literackie* 1927/128.
- E.K. (K. Kozłowski) (w:) „Czarłak” 1928

pożółkłe kartki

Pamiętnik Tymoteusza Koreysza-Kołońskiego

9 stycznia

Długa kilkogodzinna konferencja z „X”. Ponieważ cierpię tak na tę amnezję (utrata pamięci), więc jak zwykle starałem się notować wszystko dość pedantycznie (...).

bardziej zbliża do małpiego gatunku czy szczepu niesłychana zwinność i zgrabność jakiej nabrali bytując w górach i na drzewach.

Doktor Caro pierwszy raz natknąwszy się na ten szczep był przekonany, że to może pawiany (...).

Okazało się, że te górale Abisynskie to jest wprost jakiś fenomen gatunku ludzkiego o niezwyklej hipertrofii wszystkich zdolności i talentów

Ja, tylko ja Tymoteusz Kołoński znam właściwą drogę do:

1. Odmłodzenia Sarmatów
2. Położenia kresu chronicznej nieproduktywności słowiańskiej.

29 stycznia

W Klubie śniadanie we dwójkę z Hippiem Matołowiczem, który tak, jakby coś podejrzewał, ciągle bierze mnie na spytki i pytaniami dookoła zachodzi, a raczej stara się zaskoczyć.

Zauważyłem w nim pewne sympłomaty, nie powiedziałbym, że sympatyczne, jako obserwatorowi z profesji nic nie ujdzie przed moim okiem.

Otóż przede wszystkim rece, jeszcze nigdy nie widziałem u nikogo rąk tak uwłosionych jak u niego teraz, po niedawnym powrocie z Paryża (...).

Następnie w ruchach Hippiego dawniej miał gestykulację spokojną i po niekąd estetyczną. Teraz ni stąd, ni zowąd odkłada rękę i widelec i zaczyna gorączkowo drapać pięcioma palcami to po twarzy, to po tydkach.

Ale nie dość tego, kiedy nam podali na deser owoce z kokosowym orzechem na środku patery, prezes Matołowicz wpatruje się chwilę przenikliwie w kokos tak, jakby sobie coś z trudem przypominał i nagle raptownym ruchem chwytając kokos w rękę i podrzuca, zonglując wysoko w powietrze, chichocząc przy tym niemiło i jakoś nieludsko (...).

„Wykaz naszej działalności”

(sporządzony własnoręcznie przez senatora Tymoteusza Koreysza-Kołońskiego w roku 1964)

Następujący członkowie byłego Koła Racjonalnego Rybołówstwa, którzy w roku 1925 poddali się (pierwsi w Europie) regenerującej kuracji doktora Caro we Florencji...

działali między latami 1926 a 1942, co następuje, a mianowicie:

1. Dolega Szczesny-Feliks (ongis homeopata):

Jako poseł do parlamentu: przepro-

System doktora Caro

Utopia humorystyczna

Adolf Nowaczyński

W każdym razie jest to fakt, że ten profesor Caro mieszka we Florencji. Jest doktorem (najwybitniejszym z uczniów doktora Woronowa) i całą tę metodę stara się udoskonalić do ostatnich granic.

Z zawodu, z profesji – uczony, bada „Patologię Ras”. Co to jest „patologia ras”, to dokładnie nie wiem, ale to do rzeczy do naszej nie należy. Otóż kiedy doktor Caro kilka razy z naukową wyprawą bywał sobie w Abisynii (...), odnalazł wysoko w górach jeden zupełnie zagubiony szczep ludzki, który się tam sam uchował, nic o reszcie ludzkości nie wiedząc. Ponieważ mieszka w górach, więc oczywiście góralski to szczep (...).

Bedzie tego szczepu ze sto tysięcy do dwustu tysięcy sztuk.

Ponieważ atoli żyli w odosobnieniu od reszty ludzkości, więc trochę kompletnie zdziczeli, a że w gorącym klimacie więc odzieży nie używają, a tylko nieco zarastają na całym ciele (jak małpy). Jeszcze ich

widocznie wypoczętych i nie zużytych wskutek niestękania się przez wieki całe z resztą ludzkości. Eksperymenty jakie z nimi robił doktor Caro, dały niesłychane rezultaty. To do czego normalny człowiek, Europejczyk (albo Murzyn, albo Japończyk) w ogóle homo humanus potrzebuje rok, do tego im wystarczy tydzień. W trzy dni nauczyli się czytać i pisać po włosku. W tydzień algebra, w miesiąc stenografia, w trzeci chemia organiczna.

W dwa miesiące niektóre okazy umiały zgłębić jakiś systemat filozoficzny albo znalazły odkrycie z dziedziny astrofizyki czy sejsmografii itp.

Górale z niektórych okolic górskich w głębi Abisynii są podobno potomkami w prostej linii Matuzalema i żyją po sto trzydzieści do stu sześćdziesięciu lat, a nawet dłużej.

Podobno dwa centymetry kubicznej, czyli 1000 (tysiącna część) litra czystej krwi owych górali już by wystarczyła...

pożółkłe kartki

wadzenie w ciągu lat trzech w ci-
łach prawodawczych ustawy o pro-
hibicji (wzorowanej na amerykań-
skiej). Zamknięcie wszystkich go-
rzelni rolniczych i przemysłowych
(produkcja w roku 1924 104 000 +
96 000 hektolitrow wódki). Dostarcze-
nie w ten sposób linii okretowej Gdynia -
Buenos Aires kontyngentu emi-
gracyjnego z 12 tysięcy Chazarów -
szynkarzy. (...) Przebudowa szesciu-
set gmachow więziennych na
„Domy Pracy” wyteżonej. Przenie-
sienie Mennicy Państwowej do Wiś-
nicza, a Drukarni Państwowej do
wiezienia na Mokotowie.

2. Dulski Anastazy Felicjan
Idea linii żeglugowej Puck - Singa-
pore. Przeprowadzenie wykupu wy-
spy Krety. Wysiedlenie Kretynow
tamtejszych do Samary. Kolonizacja
i amerykanizacja naszych Kresow
wschodnich. Spolonizowanie Krety
Białorusinami. Filia Forda w Brze-
sciu Litewskim. Roczna produkcja
Fordsonow 3800 (rok 1927)

3. Kamienicki Melchior
Uruchomienie tysiąca cegieł (rok
1928). Kartel Cementowy „Ferro-Be-
ton” (Żwirowka). Wysiedlenie lud-
ności z Sosnowca, zbombardowanie
i zburzenie tegoż. Żeromsk, fabrycz-
ne miasto - ogród w myśl ideałów
Ruskina i Morrisa

4. Kresowiecki Mikołaj
Pierwsza mapa plastyczna najgor-
szych dróg, gościńców i szos na gło-
bie ziemskim. Filia „Fiata” w Fale-
ncinie. (...)

5. Łukowski Roch, Roman
Sztuczny wodospad Bugu. Instalacja
trzech linii jednotorowego tramwaju
elektrycznego: Lwów-Borysław,
Kraków-Ojców, Warszawa-Puławy.
Pertraktacje z ramienia rządu z rzą-
dem czeskim (rok 1931). Czesi otrzy-
mują Będzin (na lat 99), Polska dostaje
Piszczany, część drugą Cieszyń-
skiego i trzy dziesiąte udziałów w za-
kładach Škody.

Prezes Komitetu budowy pomnika
Curie-Skłodowskich na Placu Zbawi-
ciela w Warszawie.

6. Matolowicz Hipolit
Reorganizacja wszystkich krajo-
wych fabryk likierow na fabryki la-
kierow. Budowa pierwszych kolejek
podziemnych: Warszawa (Praga -
Wola, Mokotów - Jabłonna, Powsin
Bielany).

7. Pieterkiewicz Januarey (były profe-
sor gimnazjum Reja w Warszawie)
Pierwsza krajowa sztuczna wylegarnia
łososiów i pstragów (w Szczaw-
nicy). „Ostryga wislana”, tj. wyhodo-
wanie i uprawa krajowych ostryg na
największą skalę. Centralizacja całe-
go handlu kawioru wschodnio-euro-
pejskiego w Kartuzach. Wyhodowa-
nie i uprawa gatunku „Sardynka
Sarmacka” (płatki).

8. Płoszowski Mateusz
Autor broszury „Z dogmatem”. Pier-
wsza polska fabryka gramofonow
zatrudniająca wszystkich krajowych
grafomanow (2600 robotników w
1930 r.)

9. Polaniecki Florian (były urzędnik
gazowni miejskich w Warszawie)

Dwuletni pobyt w Ameryce i Kan-
dzie. Studia w laboratoriach gazow
trujących u pułkownika Lewisa E-

pokowy wynalazek hydroksylitu i
pyropikliny, tj. gazu zatrującego
wodę (w rzekach, studniach, śla-
wach, wodociągach) oraz gazu błys-
kawicznie spalającego roślinność.
Modlin ewakuowany i zamiemiony
w całości wytwórnię hydroksyli-
tu. Polaniecki laureatem pokojowej
Nagrody Nobla (1933). Nocny rajd sa-
molotów gdanskich na Modlin (3.4

kach Karpat. Ogród w Powsinie z
440 000 drzew owocowych (instrukto-
rzy czescy). Kultura Modrzewia Pol-
skiego (Larix Polonica).

17. Wąsik Adalbert (samouk, ongi żo-
kei)

„Polotanki”: pierwsza krajowa wy-
stawa lankow spacerowych, specjal-
nie nadających się do wycieczek gór-
skich.



1933). Odwet (4.4. 1934). Polaniecki
nadburmistrzem gdanskim

10. Ramolynski Wiktor (dyrektor no-
wej Opery Popularnej na Pradze,
3500 miejsc)

Widowiska pasyjne dla Słowian, Ru-
munów, Huculow, Węgrów. Przedło-
żenie rządowi projektu ewakuacji
Zakopanego, spalenie i zrównanie z
ziemią Krupówek z przyległościami.
„La Cyrla” - międzynarodowe u-
zdrowisko kuracyjne w Tatracach. Po-
łączenie z Krakowem linią powietrz-
ną (18 minut jazdy), kąpiele słonecz-
ne i księżycowe.

11. Ramolynski Stefan
Żył krótko. W roku 1929, to znaczy na
rok przed śmiercią wynalazł zabawkę
dzieciinną, dziś tak ulubioną i po-
pularną na całym świecie - tj. polskie
Perpetuum mobile - „Leksykon” z
paskiem samoprzekładającym

14. Sztumpf Kordian
Próby lotow i wystrzelenek na sto-

18. Wokulski Krzysztof (architekt)
Dokonczenie budowy mostu Ponia-
towskiego w Warszawie. Towarzys-
two „Splaw” przemianowane na
Hydro-Sarmacje. Regulacja rzek: Pi-
licy i Bzury, Wieprza i Wisły.

19. Zolzikiewicz Albin (były współ-
pracownik i redaktor „Dziennika
Sarmackiego i „Głosu Sarmackie-
go”)

Dwa wynalazki epokowe. Nowy
typ wiecznego piora „Standard” sa-
mopiszące i samomyszące. Maszyna
do pisania artykułów wstępnych
(nie potrzebuje obsługi, pracuje au-
tomatycznie na dany temat z nape-
dem elektrycznym, w nocy świeci,
zarazem budzik).

Adolf Nowaczyński, „System doktora
Caro. Utopia humorystyczna”, War-
sawa 1927, Nakładem Księgarni P. Hoesic-
ka

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

D ruga seria publikowanych przez WL „Dzień” Stanisława Lema wzbogaciła się ostatnio o kolejny tom, zawierający dwie klasyczne już powieści, „Solaris” (I wyd 1961) i „Niezwyciężony” (I wyd 1964). Jak zwykle w przypadku skojarzenia dwu odrębnych tekstów, nasuwa się pytanie o prawomocność decyzji wydawcy – czy kierował się li tylko przestankami technicznymi, możliwością oprawienia dwu utworów w jeden wolumin, czy też motywacji należy szukać głębiej, we wspólnocie połączonej powieści. Tym razem zestawienie wydaje się wyjątkowo trafne. Chociaż „Solaris” i „Niezwyciężony” funkcjonują w świadomości literackiej rozłącznie, stanowią jednak dwa elementy jednego z najważniejszych wątków w myśleniu pisarza.

Powtórka z pokory

Wśród problemów poddanych przez Lema literackiej analizie poczesne miejsca zajmuje kwestia uwarunkowań procesu ludzkiego poznawania świata. Jak człowiek postrzega świat, co wyznacza granice jego epistemologicznych zachowań, jakie są ich podmiotowe uwarunkowania, co w człowieku i zewnątrz niego rzeczywistości ułatwia bądź utrudnia dochodzenie do prawdy – to pytania, na które próbują odpowiedzieć takie utwory, jak „Kongres futurologiczny”, „Głos Pana”, „Śledztwo”, „Pamiętnik znaleziony w wannie”, a wreszcie „Solaris” i „Niezwyciężony”.

W swych epistemologicznych rozważaniach Lem wiele uwagi poświęca uwarunkowaniom kulturowym. Jeżeli przedmiotem ludzkiego poznania jest świat natury, powstaje nieintencjonalnie, bez założonego z góry planu, sytuacja okazuje się stosunkowo prosta – człowiek może dochodzić do prawdy związanej jedynie własnymi, podmiotowymi ograniczeniami, wynikłymi z określonej budowy biologicznej, struktury logicznej umysłu, konstrukcji aparatury zmysłowej. Problem ulega komplikacji, gdy przedmiotem poznania staje się świat obcej kultury, stworzony z rozmysłem, stanowiący emanację odmiennego niż nasz Rozumu. Między człowiekiem a rzeczywistością pojawia się wtedy granica, wyrastająca na słyku nieprzystępnych systemów motywacji poznającego i poznawanego. Człowiek wzrosły na Ziemi, w jej specyficznych, determinujących ludzką kulturę warunkach przyrodniczych, z natury rzeczy jest skazany na myślenie antropocentryczne, interpretowanie poznawanego świata przez pryzmat własnych doświadczeń gatunkowych. Lecz w świecie odmiennym ludzkie pojęcia, motywacje, emocje tracą sens – odnosząc się do zjawisk ziemskich nie potrafią opisać rzeczywistości wytworzonej przez innych. Przed takim właśnie problemem stają bohaterowie „Niezwyciężonego” i „Solaris”. Konstrukcja fabularna w obu przypadkach jest podobna. Ludzie zostają wrzuceni w różny od znanego świat, stanowiący prawdopodobnie rezultat działalności rozumnej i świat ten muszą rozszyfrować, gdyż stanowi to warunek ich dalszej egzystencji w tym fragmencie Kosmosu. Zagadką stanowiąca zaczęły wielu dzieł tego pisarza, ma tu jednakże status odmienny. W „Katarze” czy „Śledztwie” budowanych na schemacie powieści kryminalnej, tajemnicę stanowił wycinek struktury świata. Tutaj zagadką jest cała rzeczywistość, której należy nadać formę myślową, przyswajalną dla ludzkiego rozumu.

Warunkiem i efektem rozumienia świata jest możliwość jego nazwania, ujęcia w słowa i słowne formuły. Jednakże język, jakim myślą bohaterowie obu powieści powstał jako narzędzie myślowego ujarznienia zjawisk ziemskich. Brak w nim pojęć, mogących określić przedmioty o obcej genezie,

budowie i przeznaczeniu. Ten problem pojawia się już na podstawowej płaszczyźnie zewnętrznych wygładów rzeczy. Solaris i ocean prowadząc swe zajęcia, czy może po prostu biologiczne życie, wytwarza wiele dziwacznych form, których badacze nie mogą nawet opisać. Powstające w tym celu neologizmy językowe, owe mimoidy i symetnady, są nieuchronnie skazane ziemskością i tylko w dużym przybliżeniu odpowiadają solarijskim twórcom. Ba, w wielu przypadkach nazwy nadane im przez ziemian zaciemniają istotę rzeczy, odwołując się do analogii przywiezionych z innych warunków. Trudności rosną, gdy naukowcy próbują wnikać głębiej w istotę badanych zjawisk. Problematyczne jest nawet zdefiniowanie napotkanych form materii, uzna-

nie oceanu i muszek z planety Regis za ożywione czy rozumne. Ziemskie pojęcie życia nie może być stosowane do bytów tak odmiennych. Istotki pozornie są żywe, bo pobierają energię z zewnątrz, a połączone w większe zespoły działają celowo. Ale z drugiej strony pojedyncza muszka nie reaguje na obecność człowieka, zbudowana jest z materii nieorganicznej, a więc powinna być uznana za martwą. Podobne trudności nastroją kwestia ich rozumności. Nie prowadzą działalności technologicznej w świecie zewnętrznym, nie dysponują zdolnością przewidywania, reagując tylko na bezpośrednie bodźce. Potrafią jednak współdziałać, co jest cechą wysoko zorganizowanej materii. Problem pozostaje nierozstrzygalny w obrębie ludzkiej kultury. Konieczne jest przewartościowanie pojęć, stworzenie nowych, np. uznających istnienie form półżycia i okazjonalnej rozumności.

Podobne, choć innego rzędu, problemy wyłaniają się przy okazji planety Solaris. Ocean niewątpliwie żyje, przypuszczalnie, czego dowodzą pojawiające się bohaterom fantomy, jest rozumny. Nie można jednak wyobrazić sobie nawiązania z nim kontaktu, podstawowego celu, składającego ludzi do penetracji Wszechświata. Jak stwierdza Snaut: *Mamy się za rycerzy Świełego Kontaktu (...). Chcemy znaleźć własny wyidealizowany obraz, mający być globy, cywilizację doskonalszą od naszej, w innych spodziewamy się znowu znaleźć wizerunek naszej prymitywnej przeszłości.* Powieść dowodzi jednak, że niemożliwe jest spełnienie tych oczekiwań. Kosmos, o ile wytwarza jakiegokolwiek cywilizację oprócz naszej, dysponuje nieskończoną mnogością potencjalnych form. Każda z możliwych cywilizacji, wzrosła w innych warunkach, zbudowana z innych składników, obdarzona własną historią, stworzy kulturę dla człowieka niezrozumiałą, nieprzekładalną na język ziemskich pojęć. I dlatego Kontakt, jeżeli do niego dojdzie, nie spełni ludzkich oczekiwań. Nie będzie wymiany doświadczeń i teorii naukowych, nie będzie rozmów o Bogu, absolicie, sensie istnienia. Może się nawet zdarzyć, że nie zdołamy dostrzec ich obecności. Formy ich działania, ich kultury, mogą być tak odmiennie, że niedostrzegalne dla drugiej strony. Tak, jak przed psem ukryta jest cała naukowa i artystyczna działalność człowieka, tak my możemy nie dostrzec gwiazdnej inżynierii innych, uznając ją choćby za zjawisko naturalne. Własne bariera kulturowa uniemożliwia zrozumienie oceanu: *Czego zresztą oczekują, czego spodziewać się mogą ludzie po nawiązaniu informacyjnej łączności z myślącymi morzami? Rejestru przeżyć, związanych z istnieniem nie kończącym się w czasie, tak starym, że nie pamięta zapewne własnego początku? Opiśu pragnień, napiętności, nadziei i cier-*

pień, wyzwalających się w momentalnych porodach żywych gór? (...). Ależ to wszystko stanowi wiedzę nieprzekazywalną, a jeśli próbować jej przełożenia na jakikolwiek z języków ziemskich, to wszystkie poszukiwane wartości i znaczenia ulegną zatracie, zostaną po tamtej stronie.

Owa niemożność porozumienia i zrozumienia, której najskrawszą formą jest trudność w zdefiniowaniu badanych obiektów, przejawia swe konsekwencje nie tylko w sferze ewentualnego kontaktu. Jest niezwykle istotną także dla sposobu zachowania się człowieka wobec napotykanego form życia. Uznając kryształków z Regis za żywe i myślące mogłoby usprawiedliwić wydanie im walki z zemsty za śmierć kilkunastu eksploratorów. Ale jeżeli ich działania były jedynie wynikiem elektrodynamicznych instynktów, a nie celowych zachowań, ludzkie pojęcia etyki – honoru, zemsty, winy i kary tracą sens. Czyż można, wzorem króla Kserksesa, wychłostać ocean za nieposłuszeństwo? Jeżeli obcego świata nie można zrozumieć, jeżeli nie możemy się z nim skontaktować, należy odejść, wyrzekając się wszelkiego działania. Każda ingerencja w jego życie na pewno skończy się elektrycznymi dalekimi od zamierzonych. By działać w jakiejś rzeczywistości, trzeba ją wpiąć w pojęcie. Zrozumiała to w końcu załoga „Niezwyciężonego”, wiedząc o tym bohaterowie „Solaris”.

Wszelka, grożąca zniszczeniem aktywność jest w obcym świecie niedozwolona, jako że nie sposób przewidzieć jej konsekwencji. Dlatego członkowie załogi słacji badającej Solaris, po usunięciu przesładyjących ich widm, postanawiają biernie czekać na rozwój wypadków. Ludzie nie rozumieli oceanu, on pojawił ich w pewnym nieznanym stopniu. Gdy początkowo – nie rozumiejąc – zadziałał, poczynił szkody. Teraz drugi krok należy do niego.

Oba utwory opowiadają o barierach, jakie może napotkać w Kosmosie ludzkie pragnienie poznania. Ich bohaterowie pozornie przegrywają, nie mogą zrozumieć, muszą się wycofać. Ale klęska okazuje się złudzeniem. Wynikiem poznawczych zachowań bohaterów jest zmiana optyki. Nie mogą poznać świata, zaczynają lepiej rozumieć samych siebie, wraz z barierami, dzielącymi ich od Kosmosu.

Omawiane powieści traktują także o różnych zachowaniach ludzi, uświadamiających sobie własne ograniczenia. Tak Kelvin z „Solaris”, jak Rohan z „Niezwyciężonego” potrafią ukorzyć się w obliczu Nieznanego. Ale zarówno wśród załogi gwiazdowego statku, jak i pomiędzy pionierami solarystyki, znalezły się liczne jednostki ulegające ksenofobii i reagujące agresją. Obcość zawsze wzbudza w człowieku niechęć, zwłaszcza gdy okazują swą – tu tak pozorną – wyższość. Dlatego wielu ludzi, obdarzonych niktym instynktem moralności dąży do zniszczenia złośliwego, co wyraża ponad i poza ich zdolności pojmowania. Stąd na Regis pomyśl walki z muszkami do ostatniego roboty, zaś na Solaris dążenie do wrzucenia w ocean paru bomb atomowych. Stąd też wyrósł piękny i rozpaczliwy gest jednego z badaczy Solaris, który nie mogąc oceanu pojąć i nie mogąc się z tym pogodzić, zginał samobójczą śmiercią w jego falach.

Przedstawione pokrótce kwestie nie wy-czerpują oczywiście zawartości omówionych utworów. Jednakże dla obu powieści najważniejsze zda się być właśnie uświadomienie czytelnikowi, przedstawicielowi ludzkiego gatunku, jego ograniczeń, ujawniających się nie tylko w obliczu odmiennego Rozumu. Człowiek jest tylko jedną, nie wyróżniającą formą istnienia Kosmosu. Z powieści Lema ludzkość powinna uczyć się tego, czego jej brak najbardziej. Pokory.

Włodzimierz Jurasz

Stanisław Lem: *Solaris, Niezwyciężony*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1986. Cena 320 zł.

Objawienie Girarda

Ostatnimi czasami Wydawnictwo Łódzkie proponuje czytelnikom niebywale interesującą serię ukazującą się pod ogólnym hasłem „Człowiek i jego cywilizacja”. Po „Drogach masek” Lévi-Straussa i „Średniowiecznych korzeniach renesansowego humanizmu” Ulmana poroki od biorca ma okazję zapoznać się z dziełem René Girarda. „Kozioł ofiarny” jest to ostatnia z prac tego autora, która rozwija porządkuje tezy poprzednich jego publikacji. Jest więc to wybór dobry, gdyż książka daje świadectwo pełni poglądów tego myśliciela. Girard to antropolog i filozof francuski pracujący od dwudziestu lat w Stanach Zjednoczonych. Obecnie wykłada na Uniwersytecie Stanford w Kalifornii. W badaniach wspomaga go psychiatrię i psychoanalizę – J.M. Oughourlian oraz Guy Lefort. Girard określany jest mianem najbardziej dyskusyjnego ze współczesnych francuskich myślicieli. Wydanie książki „Des Choses cachées depuis la Fondation du Monde” („Rzeczy ukryte od założenia świata”, fragmenty w „Literaturze na Świecie” nr 12/1983) w 1978 roku wywołało prawdziwy skandal wokół jego osoby w intelektualnych środowiskach Francji. Nie jest to dziwne. Girard uważa się za pierwszego człowieka, który zrozumiał wszystko, co było ukryte od tysięcy w nas, w kulturze. Podważa całokształt kryteriów oceny poglądów na historię cywilizacji.

Zamierzenie Girarda jest ogromne, ale nie nowe – znaleźć mechanizm rządzący ludzkimi społeczeństwami. Ma go wyrazić schemat tytułowego kozła ofiarnego. U podstaw ludzkiej natury tkwi zjawisko mimesis, które jako czynnik pozytywny scala społeczeństwa i tworzy kulturę. Z drugiej strony nasiadowanie objawia się jako pierwotny destruktoryzm. Człowiek nie może sam z siebie poznać. Przedmiot poznania musi być wyznaczony przez kogoś trzeciego. U początków społeczeństw tkwi niepołączona rywalizacja, która nieuchronnie prowadzi ku rozkładowi. Procesowi temu może przeszkodzić konsolidacja grupy przeciwko jednej osobie. Kolektyw-

ny niepokój doznaje zastępczego zaspokojenia w przesładowaniu niewinnego kozła ofiarnego. Lincz założyciela kładzie wzajemnym gwałtom, staje się początkiem jednoczącego mitem. Girard jest przekonany, że istnieje transkulturowy schemat kolektywnej przemocy.

Zasada kozła ofiarnego tłumaczy przejawy wszelkiej działalności człowieka – od rytuału i mitu po współczesną politykę. Rozważania Girarda podważają poglądy współczesnych etnologów, którzy do tej pory skupiali się na badaniu kultur „z zewnątrz”. Lévi Strauss (autorytet do tej pory niemal niepodważalny) podkreśla konieczność istnienia dystansu do badanego przedmiotu, tym samym przekreśla możliwość introspekcji w ramach własnej kultury. Wbrew przyjętym zakazom, Girard z równą swobodą porusza się tak w świecie mitologii prymitywnej, jak i tradycji chrześcijańskiej. Mechanizmy kultury wyznaczają stereotypy oskarżycielskie, kryzys społeczny, zastrzały zbrodnie, osoby i grupy społeczne narażone na przesładowanie przez swą wyjątkowość. Girard sięga do czarnych kart historii ludzkości – procesów czarownic, przesładowań Żydów, itp.

Ten sam schemat generuje teksty mityczne. U podstaw mitologii tkwią realne fakty przemocy pierwotnych społeczeństw. Jest to nowa próba wyjaśnienia fenomenu religii, a tym samym element bulwersujący wielu krytyków. Girard przeczy twierdzeniom, że istnieją zjawiska okryte tajemnicą, że myślenie naukowe musi zatrzymać się przed pewnymi banierami. Myśliciel redukuje metafizykę religii do poziomu czysto ludzkiej stonków. Religie ukrywają pierwotną przemoc, przemiany mitów obrazują stopniowe zacieranie kolektywnego morderstwa. Perfidia społeczeństw przejawia się w sakralizacji kozła ofiarnego. Ofiara staje się jedynym aktywnym elementem, powoduje nieszczeście, ale posiada też moc jego cofania. Stąd pochodzą pierwotki dobroci i okrucieństwa skupione w mitologicznych bóstwach. Girard analizuje istnienie stereotypów oskarżycielskich w rozlicznych mitach.

Dalsze rozdziały książki wykazują wyjątkowość Ewangelii w kulturze człowieka. Wszystkie

omawiane przez Girarda przykłady należą do tekstów przesładowczych, w których zasada kozła ofiarnego stanowi ukrytą strukturę. Ewangelie poruszają ten temat jawnie, dlatego odkrywają prawdę. Męka Chrystusa kompromituje, demistyfikuje kolektywny gwałt.

W tym punkcie Girard przestaje być obiektywnym naukowcem, a zaczyna głosić swe objawienie. Nasza schizofreniczna kultura kroczy dalej drogą ukrywania przemocy, nie potrafi ująć prawd przedstawionych już prawie dwa tysiące lat temu, tym samym nie może wkroczyć na drogę miłości wyznaczoną przez Ewangelie. Zacytujmy słowa Girarda pochodzące z wywiadu dla „L'Express”: „Nadeszła godzina wzajemnego przebaczenia. Jeżeli będziemy zwlekać, nie zdążymy”.

Girard z olbrzymią swobodą porusza się po współczesnych nurtach naukowych, szczególnie strukturalizmie i psychoanalizie. Dostrzega w obu tych kierunkach duże ograniczenia, co zapewne przysparza mu wielu oponentów. Czy jednak udało mu się odejść od ograniczeń współczesnej humanistyki? Teoria kozła ofiarnego jest znowu redukcjonizmem zjawisk kultury do jednej przyczyny. Najlepiej świadczy o tym kolejna interpretacja mitu o Edypie, z punktu widzenia kolektywnego morderstwa. Mit ten został „z gruntownie „rozpracowany” przez Freuda i Lévi-Straussa, a mimo wszystko oczekuje, jak każdy prawdziwy i wielki mit a również sztuka, na nowe interpretacje.

Książka Girarda stanowi system zamknięty, można ją przyjąć lub nie, ale trudno wykazać jej błędy. Główna zaleta „Kozła ofiarnego” tkwi w jego dyskusyjności, prowokacji myślowej. Rezonans poglądów Girarda na Zachodzie jest, jednak większy niż przypada to w udziale większości prac antropologów i etnologów. Może „Kozioł ofiarny” zawiera w sobie więcej niż teoretyczny dyskurs o kulturze, ale to każdy musi rozważyć sam. Niech każdy zapyta siebie, jak to z nim jest, jeśli idzie o kozła ofiarnego.

Małgorzata Skórska

René Girard. *Kozioł ofiarny*. Przełożyła Mirosława Goszczyńska. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1987. Cena 300 zł.

O światach alternatywnych napisano wiele książek – fantastyczno-naukowych i popularnonaukowych. Z reguły jednak chodziło w nich o rodzaj światów „fikcyjnych” – o tzw. światy równoległe bądź powstające na skutek rozgałęzienia się „strumienia czasu”. Natomiast książka Marcina Ryskiewicza opowiada o mieszankach światów alternatywnych, światów nie zrealizowanej możliwości w trakcie ewolucji życia na Ziemi. Nie jest bowiem tak – twierdzi autor – iż przedustawnie zostało postanowione, że to człowiek będzie „koroną stworzenia”, że cała ewolucja została skierowana na „wydanie ze swego łona” jednego rodzaju istot rozumnych – nas, ludzi.

Korzystając z najnowszych odkryć i osiągnięć w dziedzinie geofizyki i geologii paleontologii i ewolucjonizmu, autor przeprowadza interesujące, wręcz porażające rozważania, kim byłbyśmy, gdybyśmy na planecie Ziemia, gdyby inne były warunki obiektywne (niezależne od przyrody ożywionej), gdyby inna była przeszłość naszej planety. Wynikiem tych rozważań jest ciekawa fantazja naukowa.

Pierwszy rozdział historii pracy autor poświęca zagadnieniu SETI, czyli poszukiwaniom cywilizacji pozaziemskich – ulubionemu tematowi licznych utworów science fiction. Właśnie na innych planetach (w układach pozasłonecznych) można spodziewać się odmiennego finału ewolucji – jeśli za finał uznamy pojawienie się istot inteligentnych. W kolejnych rozdziałach Ryskiewicz czuje zjawstwem i polemiką popularny, że zagadnienie ewolucji życia na Ziemi w zależności od warunków geologicznych, geograficznych, klimatycznych, a także kosmicznych. Z rozmachem opisuje rozległą panoramę świata dinozaurów, zadając kłopotliwym obywateli przekonaniom o tych stworzeniach, przekonaniom wyrażonym

Fantazja prawdziwie naukowa

również w wielu utworach SF. Okazuje się więc, że dinozaury to nie prymitywne bestie, lecz przez dziesiątki milionów lat niepodzielni władcy Ziemi, w dodatku znajdujący się na „najlepszej drodze” do wyłonienia gatunku istot rozumnych – dinozauroidów! Jednak przed około 65 milionami lat upadek wielkiego meteorytu (małej planetoidy) – a ślad tego upadku odnaleziono całkiem niedawno, już po ukazaniu się książki – spowodował wielkie perturbacje klimatyczne i ekologiczne, czego następstwem stało się wymarcie wielkich gadów. „Opróżnione nisze ekologiczne” zajęły niepozorne ssaki, uzyskując tym samym szansę dalszego rozwoju. Ale – jak pisze autor w rozdziale siódmym (i ostatnim) – nie wszystko jeszcze było stracone. Miały jeszcze – być może – szansę ptaki, później – torbacz (dlaczego nie ma „Homo marsupialis”)? Nie jest też wykluczone, że wśród małp Nowego Świata, czyli obojga Ameryk, mogła pojawić się linia rozwojowa prowadząca do powstania odmiennego gatunku hominidów (amerantropoidów). I już na zakończenie autor rozważa możliwość pojawienia się (na Madagaskarze) inteligentnych lemurów.

Te wszystkie „przedludzkie” linie rozwojowe mogące w konsekwencji prowadzić do wyłonienia innych gatunków obdarzonych inteligencją, były blokowane przez najrozsześciotrupiejsze spiski okoliczności, a ostatecznie „zablokowały” je powstanie człowieka.

Czy wynika stąd, że nasz gatunek miał szczęście? (A więc nie tyle „kto lepszy, ten pierwszy” ile „kto pierwszy, ten lepszy”) Niech Czytelnicy sami osądzą argumenta-

cje autora – lektura tej książki to prawdziwa przygoda intelektualna.

Pragnę natomiast zwrócić uwagę Państwa na coś innego. Jakże żałośnie wyglądają w porównaniu z „mieszkańcami światów alternatywnych” modele „innych istot inteligentnych” spotykane w niektórych utworach SF. Jakież ubóstwo pomysłowości, jakiej cechuje autorów książek fantastyczno-(pseudo) naukowych oraz książek pseudopopularnonaukowych z dziedziny tzw. paleoastronautyki (czyli daenkeniady)! Jedynie Lem, jak zwykle zresztą sprostając zadaniu (przypomnę chociażby inteligentne ptaki z „Wizji lokalnej”, czy obraz ewolucji nakreślony w „Das Kreative Vernichtungsprinzip. The World as Holocaust”). Wypada podkreślić, że poglądy Ryskiewicza bliższe są poglądom Lema zawiartym w „Wykładzie inauguracyjnym Golema. O człowieku i trojakości”. Ich wymowa sprowadza się mniej więcej do tego, że „celem” kodu genetycznego jest przekazywanie i zachowanie samego siebie – dodajmy – za wszelką cenę. Z „punktu widzenia” kodu genetycznego, obojętne jest, kto zostanie „nosiicielem rozumu”, byleby tylko jak najskuteczniej przekazywał dalej, ów kod. Nie wiadomo jednak (np. w związku z AIDS i przerywaniem ciąży), czy przyroda nie „pomyliła się” w wyborze „nosiiciela”? A ponieważ przyroda (ewolucja) nie może się mylić (wiadomo, czym to się kończy), wynika stąd, że „światy alternatywne nie są utracone” – lecz „kto zastąpi człowieka”?

T. Zbigniew Dworak

Marcin Ryskiewicz. *Mieszkańcy światów alternatywnych, czyli historia naturalna rozumu*. Złota Sena. Literatura Popularna naukowa. Wiedza Powszechna, Warszawa 1987. Cena 600 zł.

spotkanie z pisarzem

W najnowszym wydaniu almanachu „Das Science Fiction Jahrbuch – 1987”, oprócz wielu innych, jak zwykle bardzo interesujących, materiałów, znajdujemy wywiad z Gene'em Wolfe'em, jednym z najbardziej znanych autorów amerykańskiej i światowej SF. Niestety, ze względu na jego rozmiary, możemy przedstawić Czytelnikom „Fantastyki” jedynie najbardziej interesujące fragmenty rozmowy, którą przeprowadził z pisarzem znany krytyk amerykańskiej sceny SF, Robert Frazier.



Mitologia słońca

Rozmowa z Gene'em Wolfe'em

Robert Frazier: – Złapmy od razu byka za rogi. Czy pana zdaniem zmieści się pan w szufladce z napisem „science fiction”?

Gene Wolfe: – Chyba tak, oczywiście jeżeli pod pojęciem science fiction będziemy również rozumieć science fantasy i inne podobne podgatunki. Ale wcale nie wiem, czy chcę zostać tam, gdzie jestem. Dlatego nie podoba mi się, że moje utwory sprzedawane są z etykietką SF. Nie wszystkie do wąsko pojmowanej SF należą.

– *Dzisiejsza science fantasy jest obciążona koniecznością wyjaśniania wszystkich rzeczy pozornie fantastycznych lub niemożliwych, jakie są w niej zawarte. Czy istnieją na to lepsze sposoby od prymitywnego aneksu z całą masą wyjaśnień?*

– Nie. Jak długo pisarz ma zamiar podawać czytelnikowi te wyjaśnienia, nie da się uniknąć pisania aneksu obojętnie czy znajdzie się on na koncu, w środku czy na początku utworu, gdzie umieszcza go najchętniej największa liczba autorów. Cała sztuka polega na tym, aby umieścić w tekście wystarczająco dużo wskazówek, które uczyniłyby zbędnymi dłuższe wyjaśnienia. Używam słowa „sztuka” dlatego, że nie jest to takie proste i zawsze znajduje się kilku czytelników mających kłopoty w zrozumieniu tego, co czytają. Zdarzają się od czasu do czasu takie okresy, kiedy tego typu wyjaśnienia występują w literaturze częściej. Zazwyczaj pojawiają się w historiach ta-

jemniczych, gdzie akcja przerywana jest rozmyślaniami poszczególnych bohaterów utworu, wyciągających wnioski i stwierdzających na przykład „A więc, mój drogi Watsonie”. W science fiction i science fantasy zjawisko to pojawia się stosunkowo rzadko, niemniej jednak od czasu do czasu ktoś tego próbuje.

– *W science fantasy autor musi wyjaśnić lub przynajmniej zasygnalizować sposób wyjaśnienia wydarzeń pozornie magicznych. Czy dotyczy to także pojawiających się w tego rodzaju twórczości istot?*

– Nie jestem całkiem pewny, czy zgadzam się ze stwierdzeniem zawartym w pańskim pytaniu. Na pewno zaś jestem przekonany o tym, że nie należy omawiać na przykład sposobu funkcjonowania rzeczy dotyczących pojawiających się w powieści science fantasy istot. Przypomina mi to sytuację królika przywiezionego przed kilkudziesięcioma laty do Australii. Wątpię, aby którykolwiek z obywateli zajmować za każdym razem w swoich powieściach historią rozwoju królika. Istnieje cała masa roślin i zwierząt, które sprawiają wrażenie ciał obcych w swoim otoczeniu, a mimo to w nim właśnie egzystują. Proszę pomyśleć choćby o ptakach kwi.

– *Z jakiego rodzaju literatury wywodzi się science fantasy? Przychodzi mi na myśl jedynie twórczość Jacka Vance'a.*

– Mnie również, przede wszystkim jego powieść pod tytułem „The Dying Earths”. Ale istniało też wiele historii o duchach, w których element

ponadnaturalny okazał się być w końcu pochodzenia całkiem naturalnego. Również i je można zaliczyć w jakimś stopniu do science fantasy.

– *Jak rozumiem, w science fantasy koncepcja utworu jest często równie ważna jak i jej potraktowanie, realizacja. Jak wyglądał pomysł, który doprowadził pana do stworzenia „Księgi Nowego Słońca”?*

– Najpierw był to pomysł, by bohaterem utworu został kał, człowiek zadający cierpienie innym. Zaczęłam szukać odpowiednich motywów i tła. W ten sposób dotarłam do młodego chłopca, który wyrastał w więzieniu. Pełnił tam między innymi rolę chłopca na posyłki dla katów i pewnego dnia został jednym z nich. Jak mi się wtedy wydawało, była to bardzo tragiczna, pełna dramatyzmu postać. Konflikty moralne, jakie z tego powodu wynikają, wydały mi się być wystarczająco bogatym materiałem dla mojego przedsięwzięcia. Przy okazji zaś chciałam wykorzystać w mojej powieści pomysł rabowania grobów i nekropolii.

– *I to wszystko zostało mocno przyprawione starą terminologią. Czy pojęcia użyte w tej powieści zostały wymyślone specjalnie na jej użytek?*

– Nie. Są to głównie słowa łacińskie lub pochodzenia łacińskiego, szczególnie w przypadku nazw gatunków zwierząt już wymarłych.

– *Charakterystyczne dla kolejnych tomów pańskiej epopei są historie zawarte w historii. Jaką funkcję mają one spełniać?*

– Jest ich tyle, że nie potrafię wszystkich wymienić. Tworzą pewną bardzo ważną strukturę, którą trudno wyjaśnić w kilku słowach. Długa historia, taka jak moja epopeja, musi zawierać w swojej konstrukcji pauzy występujące między punktami kulminacyjnymi i będące jednocześnie wątkami ubocznymi. Nie mogą być nudne i muszą zarazem wnieść coś do pozostałego tekstu. Tego rodzaju możliwości stwarza właśnie sposób umieszczenia kilku innych historii w wątku głównym. Unikam dzięki temu znużenia czytelnika, które musiałaby wywołać zbyt prosta konstrukcja powieści. Te historie ilustrują świat powieści, charakteryzują też w niektórych przypadkach opowiadającego (...).

– *Czy czytał pan inne, równie długie jak swoje powieści science fantasy, na przykład Susan Cooper, C. S. Lewisa albo Tolkiena? Moim zdaniem idzie w nich przede wszystkim o walkę Dobra ze Złem, podczas gdy w pańskiej „Księdze Nowego Słońca” omawiany jest raczej konflikt między rzeczywistością a iluzją.*

– Oczywiście, że czytałam „Władzę Pierścieni”. Przeczytał go chyba wszyscy, którzy potrafili czytać. Może zabrzmi to trochę żłośliwie, ale przeczytałam trylogię Tolkiena już w roku 1956, kiedy nie była jeszcze taka znana – przynajmniej tu, w Stanach Zjednoczonych. Miesiącami tłumaczyłam i opowiadałam innym, jaka to wspaniała powieść. Patrzone na mnie wtedy jakby nie miał zbyt dobrze poukładane w głowie (...).

Rzeczywiście w „Księdze Nowego Słońca” idzie przede wszystkim o konflikt między rzeczywistością a iluzją, ale ponadto, w jeszcze większym stopniu, o konflikt między Złem a Dobrem, w sensie konieczności podjęcia pewnej decyzji sumienia. W zyciu oczywiście istnieje sytuacja, w której każde dziecko wie, kto jest pozytywnym, dobrym bohaterem, a kto złym, ale tak naprawdę w większości przypadków nie jest to wcale takie proste.

– *Charakter i intelekt bohatera „Księgi”, Severiana, są zaznaczone jednak bardzo wyraźnie. Czy powstał on z innych postaci, o których pan czytał lub nad którymi pan pracował, czy też może jego wzorem byli ludzie, których pan kiedyś spotkał?*

– Nie, a na pewno nie robiłem tego świadomie. Severian jest całkowicie moim tworem. Wymyśliłem też Theclę i Theę, Agię i Agilusa, mistrza Gurieosa i Abdiusa. Naturalnie, nie mógłbym

tworzyć postaci ludzkich, gdybym nie spotykał prawdziwych ludzi, tego nie potrafiłby nikt z pisarzy

- *Czy miejsca, w których toczy się akcja pańskiej tetralogii zostały również wymyślone, czy też istnieją ich geograficzne i historyczne wzory?*

- Na oba pytania muszę odpowiedzieć twierdząco. Miejsca wydarzeń zostały wymyślone, zawierają jednakże prawdziwe elementy geograficzne i historyczne. Może powinniśmy te pojęcia bardziej sprecyzować. Urth jest planetą. Akcja pierwszych czterech tomów „Księgi” toczy się wyłącznie w odczynie Severiana, nazywanej Republiką. Owa Republika zawiera w sobie wiele cech bizantyjskich, ale także i sporo elementów południowoamerykańskich.

- *Kiedy zorientował się pan, że zebrany materiał przekroczył ramy jednego tomu i rozrosnąć się do tetralogii?*

- Są to właściwie dwa pytania, pomiędzy odpowiedziami na każde z nich jest duży odcinek czasu. O tym, że mam więcej materiału niż na jedną książkę, wiedziałem już wtedy, kiedy napisałem pierwszy rozdział powieści i stwierdziłem, że uzbierało się ponad dwadzieścia stron maszynopisu. Wiedziałem także, że materiału tego wystarczy na cztery tomy, kiedy ukończyłem ostatni tom trylogii, którą zamierzałem początkowo napisać. Ale teraz pracuję już nad piątym tomem „Księgi” - „Urth Nowego Słońca”.

- *Czy tom piąty będzie się różnił w znaczący sposób od pozostałych czterech, jeśli idzie o styl czy technikę pisarską?*

- Pod względem warsztatowym na pewno nie. Główna różnica zawiera się w tym, że cztery pierwsze tomy były już ukończone, zanim zacząłem pisać piąty. Jest on czymś w rodzaju kody i znajduje się poza obszarem głównego dzieła. Zajmuje się egzaminem, któremu zostaje poddany Severian przez „bogów” jego świata, egzaminem, w którym jest on przedstawicielem mieszkańców Urth. Jego tematem jest też nadejście Nowego Słońca.

- *Czyli napisana przez pana całość jest czymś w rodzaju mitologii?*

- Tak, jest ona mitologią słońca, być może najbardziej rozpowszechnioną ze wszystkich mitologii. Nie oznacza to, że Severian jest egipskim bogiem Ra czy Apollinem, ale też i Ra nie jest Apollem, a żaden z nich nie jest królem Arturem. Aby dotrzeć do źródeł czegoś takiego, musimy szukać w początkach historii ludzkości.

Przyjmijmy, że kiedyś jakieś plemię - zapewne nie bardzo jeszcze odpowiadające naszym wyobrażeniom o tym, co ludzkie - wędrowało przez dzikie, olbrzymie lasy. Nadeszła nagle szczególnie ostra zima. Słońce zniknęło, wtedy dla tych ludzi na zawsze, a razem z nim całe życie i światło. Nie potrafimy sobie dzisiaj wyobrazić, jakiego rodzaju czarów użyto wtedy, aby zmusić słońce do powrotu, ale chyba między innymi zapalono wówczas małe ognisko. W jego ogniu spalono kości ofiarnych zwierząt, aby pochwytać słońce na nowo.

Chciałbym jeszcze na chwilę wrócić do pytania o rzeczywistość i iluzję w moim utworze. Imię azteckiego boga słońca oznacza dosłownie „Dymiące zwierciadło”. Problem realności i nierealności zawsze był związany z mitologią słońca. Kiedy świeci słońce, istnieje również i mój cień. Czy mój cień jest realny? Czy to jest moja dusza? Tam, gdzie istnieje światło, odbijane jest ono przez wodę. Czy to odbicie jest drugą duszą? Jeżeli wykonamy ze złota wizerunek słońca, ujrzymy w nim naszą twarz. Czy jest ona rzeczywiście naszą twarzą?

- *Przypomina nam pan starą ontologię?*

- Co prawda, dzisiaj tego rodzaju problemy, którymi notabene w dalszym ciągu zajmują się etnografowie, nie są brane poważnie. Ale mimo to ikwią one gdzieś głęboko w nas. Jeżeli istnieje coś w rodzaju zbiorowej podświadomości, to idę o zakład, że tam właśnie one występują.

- *Czy powstaną następne utwory science fantasy napisane przez Gene'a Wolfe'a?*

- Na pewno, ale nie wiem jeszcze, co to będzie.

Przełożył i opracował
Wawrzyniec Sawicki

1978

SF dla dorosłych (ASF):

1259. BORUŃ Krzysztof. *Ośmy krąg piekieł*. Warszawa. Kraj Ag. Wyd. 16° ss. 209, nb. 3 30 000 egz. + dodruk 50 000. - SF (Fantazja - Przygoda - Rozrywka).
1260. BRADBURY Ray. *K jak Kosmos*. Tłum. z ang. Zofia Uhrynowska Hanasz i in. Warszawa. Iskry 16° ss. 324, nb. 4 50 000 egz. - Fantastyka, Przygoda.
- BRYLL E. *Doswiadczyński*. - zob. U.
1261. CHRUSZEWSKI Czesław. *Gdy Niebo spadło na Ziemię*. Powieść. Poznań. Wyd. Poznańskie 16° ss. 289, nb. 4 30 000 egz. - SF.
1262. CLARKE Arthur Charles. *Kowboje oceanu*. Tłum. [z ang.] Lech Jęczyński. Wyd. II. Warszawa. Iskry 16° ss. 295, nb. 3 50 000 egz. - Fantastyka, Przygoda.
1263. CLARKE Arthur C[harles]. *Spotkanie z Ramą*. Tłum. [z ang.] Zofia Kierszys. Warszawa. Inst. Wyd. Pax. 16° ss. 205, nb. 3 10 000 egz.
1264. FIAŁKOWSKI Konrad. *Gdy oni nadlecą. Poprzez piąty wymiar. Ten, który trwa nad granicą dwu czasów. Witalizacja kosmogatora*. Konstruktor. Warszawa. Nasza Księgarnia 8° ss. 75, nb. 5 40 000 egz. - Stało się. Jutro. Opowiadań fantastycznych zbiór piętnasty. - Na okł. tył. Witalizacja kosmogatora.
1265. FIAŁKOWSKI Konrad. *Cerebroskop. Szansa śmierci. Wróble Galaktyki. Straznik*. Warszawa. Nasza Księgarnia 8° ss. 71, nb. 5 40 000 egz. - Stało się. Jutro. Opowiadań fantastycznych zbiór czternasty. - Na okł. tył. Cerebroskop.
1266. GOMOLIŃSKI Leon. *Arka W Proza. T. 3. Wydarzenie Arka Eroluk*. Łódź. Wyd. Łódzkie 16° s. 175-336 7 000 egz.
1267. KRZEPKOWSKI Andrzej. *Obojętne planety*. Warszawa. Kraj Ag. Wyd. 16° ss. 151, nb. 5 50 000 egz. - SF (Fantazja - Przygoda - Rozrywka).
1268. LEM Stanisław. *Cybernada*. Wyd. IV. Kraków. Wyd. Literackie 8° ss. 518, nb. 2 50 000 egz. - Zestaw opow. ten sam, co w wyd. popr.
1269. LEM Stanisław. *Głos Pana. Kongres futurologiczny*. Wyd. III [właśc. II wspólnie]. Kraków. Wyd. Literackie 8° ss. 314, nb. 2 40 000 egz.
1270. LEM Stanisław. *Kajtar*. Wyd. II. Kraków. Wyd. Literackie 8° ss. 145, nb. 3 40 000 egz.
1271. LEM Stanisław. *Opowiadania wybrane*. Wyd. III. Kraków. Wyd. Literackie 8° ss. 432, nb. 3 50 000 egz. - Zestaw opow. ten sam, co w wyd. popr.
1272. LONDON Jack. *Szkarłatna duma*. Opowiadania fantastyczno-naukowe. Tłum. [z ang.] M. Andrzejkiewicz, S. Kisielewska i S.M. Warszawa. Czytelnik, 16° ss. 117, nb. 3 30 000 egz. - Seria Fantastyczno-Naukowa (z „kosmonautą”).
1273. PÉTECKI Bohdan. *Kogga z czarnego słońca*. Warszawa. Iskry. 16° ss. 249, nb. 3 50 000 egz. - Fantastyka, Przygoda.
1274. RAKIETOWE szlaki. *Opowiadania fantastyczno-naukowe T. I*. Aut. C[yryl] M. Kornbluth [i in.]. Tłum. [z ang.] Julian Stawiński, Jan Zakrzewski i Krzysztof Zarzecki. Wyd. II skr. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 211, nb. 4 50 000 egz. - Seria Fantastyczno-Naukowa (z „kosmonautą”).
1275. RAKIETOWE szlaki. *Opowiadania fantastyczno-naukowe T. II*. Aut. Brian W. Aldiss [i in.]. Red. Lech Jęczyński. [Tłum. z ang.] Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 273, nb. 3 40 000 egz. - Seria Fantastyczno-Naukowa (z „kosmonautą”).
1276. SAWASZKIEWICZ Jacek. *Czekając*. Opowiadania. Poznań. Wyd. Poznańskie 16° ss. 280, nb. 4 20 000 egz. - SF.
1277. SIEDEM diabelskich wynalazków. *Opowiadania fantastyczno-naukowe*. Aut. Dmitrij Bilénkin [i in.]. Red. i tłum. [z ros.] Tadeusz Gosk. Warszawa 1977 [aniydat. 1978]. Kraj Ag. Wyd. 16° ss. 143, nb. 5 60 000 egz. - „Szczęśliwa Siódemka”.
1278. SIEDMIU fantastycznych. *Opowiadania fantastyczno-naukowe*. Aut. Stanisław Lem [i in.]. Wyd. II. Warszawa. Kraj Ag. Wyd. 16° ss. 112, nb. 4 80 000 egz. - „Szczęśliwa Siódemka”.
1279. SZABLICKI Janusz. *Siedziwo. Autotranslacja. Komórki do wynajęcia. Nowa teoria nieskończoności. Stan wyższej konieczności. Konflikt*. Warszawa. Nasza Księgarnia 8° ss. 90, nb. 5 40 000 egz. - Stało się. Jutro. Opowiadań fantastycznych zbiór dwunasty.
1280. TREPKA Andrzej. *Dwunastu apostołów*. Powieść fantastyczna. Katowice. Wyd. „Śląsk” 16° ss. 296, nb. 4 20 000 egz.
- TRUCHANOWSKI K. *Dzwony*. - zob. U.
1281. [VARŠAVSKIJ Il'ja, BACHNOV Władłén, BILÉNKin Dmitrij]. *Dusza do wynajęcia* [i inne opowiadania]. Tłum. z ros. Michał Siwiec. Warszawa. Nasza Księgarnia 8° ss. 90, nb. 6 40 000 egz. - Stało się. Jutro. Opowiadań fantastycznych zbiór jedenasty. - Na k. tył. aut. Il'ja Warszawski, Władłén Bachnow, dymitr Bilénkin - Tyt. okł., na k. tył. tytuły wszystkich opow.
1282. WEHIKUŁ wyobraźni. *Antologia opowiadań fantastyczno-naukowych polskich pisarzy współczesnych*. Aut. Krzysztof Boruń [i in.]. Red. i posłowie Bronisław Kiedzik. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 473, nb. 3 20 000 egz. - SF.
1283. WEINFELD Stefan. *Władcy czasu*. Warszawa. Kraj Ag. Wyd. 16° ss. 194, nb. 2 60 000 egz. - SF (Fantazja - Przygoda - Rozrywka).
1284. WIŚNIEWSKI-SNERG Adam. *Według Łotra*. Kraków. Wyd. Literackie 16° ss. 160, nb. 3 20 000 egz. - ASF/AF.

SF dla dzieci i młodzieży (CJSF):

1288. BROSKIEWICZ Jerzy. *Wielka, większa i największa*. Wyd. XI. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 255, nb. 3 30 000 egz. - CJSF/F.
1289. [BULYČEV Kiril]. *Podroże Aliq*. Tłum. [z ros.] Irena Piotrowska. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 223, nb. 3 30 000 egz. - Klub Siedmiu Przygód. - Na k. tył. aut. Kiryl Bułyczow. Właśc. nazw. aut. Igor Możejko.
1290. BURAKOWSKA Elżbieta. *Elektroniczny detektyw*. Warszawa. Kraj Ag. Wyd. 16° podł. ss. 69, nb. 3 40 000 egz.
1291. KUCZYŃSKI Maciej. *Kask*. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 130, nb. 2 30 000 egz.
1292. KUCZYŃSKI Maciej. *Wynalazek*. Warszawa. Nasza Księgarnia 8° ss. 142, nb. 2 30 000 egz.

Przygotował Jacek Izworski

Człowiek-mysz istnieje, spotkałam go. Takim zdaniem zaczęła swój reportaż dziennikarka francuska, Josette Alia, powróciwszy z wyprawy do laboratoriów inżynierii genetycznej. Już w następnym zdaniu próbuje uspokoić tych, którym włosy zjeżyły się na

głowie: Człowiek-mysz nie ma owłosionej skóry, spiczastych uszu, pazurów i długiego ogona. Nie jest koszmarnym tworem z próbówki uczzonego-szałeńca, marzącego o produkcji monstrów. Na szczęście człowiek-mysz istnieje na razie tylko w formie komórki.

Z tamtej strony lustra

Powrót Minotaura

Maciej Iłowiecki

Każdy chyba widział kiedyś komórkę pod mikroskopem i wie, że jest to podstawowa struktura życia. W każdym razie takiego życia, jakie występuje na Ziemi (Innych form dotąd nie znamy) i jakiego my sami jesteśmy wytworem. Wszystkie żywe komórki są podobne, czy raczej – jakby powiedzieli na przykład technicy – ich ideowy schemat jest właściwie identyczny. I oto takie pod względem planu budowy tożsame struktury występują na Ziemi w pewnych „ciągach w czasie”, a każdy taki „ciąg” jest odrębną formą życia czyli następującymi po sobie pokoleniami podobnych organizmów. Takie zupełnie podobne formy życia nazywamy gatunkiem. Niezależnie od tego, że gatunki mogą się zmieniać, że się właśnie zmieniają (na tym polega ewolucja), że powstają nowe, a wiele ginie bezpowrotnie – oczywiście jest, iż życie na tej planecie przejawia się wyłącznie w formie „gatunków”. Zatem każda pojedyncza komórka zawsze reprezentuje jakiś gatunek, zawiera w swoich genach cechy tego gatunku i przy odtwarzaniu się (mnożeniu) odtwarza takie właśnie cechy. I to niezależnie od tego, czy sama jest organizmem jednokomórkowym, czy stanowi jedną tylko z cegiełek tworzących wielokomórkowego.

Naturalnie przy odtwarzaniu, reprodukcji, zachodzą różne zmiany (mutacje), bo inaczej ewolucja życia nie byłaby możliwa. Taka możliwość zmian w czasie nie podważa zasady podstawowej, głównego założenia, na którym wspiera się ciągłość form życia: każda żywa komórka, niezależnie od funkcji, jaką pełni, reprezentuje zawsze cechy swojego gatunku. Jakby zatem z samej natury rzeczy niemożliwe jest pojawienie się tworu, który łączyłby cechy różnych gatunków, na przykład myszy i człowieka. Niemożliwe?

Przecież wiemy, że w laboratoriach biologicznych można dziś stworzyć i przez pewien czas utrzymać przy życiu komórki, zawierające zestawy genów ludzkich i zwierzęcych, roślinnych, a nawet kombinacje wszystkich razem. Są to wprawdzie tylko komórki, ale... W mrokach zaś historii ginie wyda-

zenie, które po raz pierwszy doprowadziło do narodzenia się muła, dziecka kłaczy i ośły, zwierzęcia, mającego cechy dwu różnych gatunków (komórki muła zawierają geny końskie i ośle zarazem).

Wszystko to prawda, pozorna sprzeczność wynika z niejasności słowa „niemożliwe”. W tym wypadku „niemożliwe” nie oznacza „sprzeczne z prawami przyrody”, oznacza natomiast, że w sposób naturalny, bez ingerencji człowieka, krzyżówki międzygatunkowe (np. muł) ani hybrydy ludzko-zwierzęce (człowieczo-mysia komórka) po prostu nie mogłyby się na Ziemi pojawić. Dla życia okazało się korzystne – a więc zostało utrwalone ewolucyjnie – istnienie nieprzekraczalnych granic między gatunkami. Jest to zasada tak powszechna, że nawet znalazła wyraz w jednej z podstawowych definicji gatunku: organizmy stanowią odrębne gatunki wówczas, kiedy nie mogą się krzyżować, a jeśli nawet się skrzyżują, mieszańce nie są zdolne do rozrodu.

Istnieją wyjątki od tej zasady, dotyczy to zwłaszcza gatunków blisko spokrewnionych i na ogół ich krzyżowanie także wymaga ingerencji człowieka, np. byk domowy może skrzyżować się z samicą bizona amerykańskiego, niedźwiedź polarny z brunatnym, jeleni wapiti z jeleniem europejskim, a nawet lew z tygrysem – i dzieci takich par mogą być płodne. Krzyżówki takie powstają jednak tylko w ogrodach zoologicznych, dzięki specjalnym zabiegom, a udają się tylko z nielicznymi gatunkami, wyjątki potwierdzają regułę.

Ewolucja zresztą wynalazła wiele zabezpieczeń przed „mieszaniem się gatunków”. Zabezpieczeniem może być po prostu absolutny brak pociągu płciowego – „sam z siebie” osioł nigdy nie zapłodni kłaczy, kto chce mieć muły, musi stosować specjalne sztuczki, po prostu oszukiwać zwierzęta albo stosować sztuczną inseminację. W Afryce czsto pasą się razem dwa gatunki zebra, tzw. zebry stepowe i zebry Grevy'ego, nigdy jednak nie stwierdzono krzyżowania się tych tak blisko spokrewnionych gatunków. Między gatunkami odrębnymi nie mogłoby dojść do ko-

pulacji nawet przy ludzkiej ingerencji – przeszkodziłaby temu po prostu budowa anatomiczna.

Istnieją zabezpieczenia bardziej radykalne, natury fizjologicznej. Po prostu komórka jajowa danego gatunku „wpuszcza” do wnętrza tylko plemniki tego samego gatunku, wszelkie inne nie mogą wnikać do jądra. W takim wypadku nie pomaga sztuczna inseminacja. Blokady mogą być zresztą różne, istnieć na różnych „poziomach” i nie chodzi o technologię „izolacji rozrodczej”, chodzi o zasadę: gatunki bronią się przed zdecydowaniem przed możliwością krzyżowania.

Oczywiście, czymś innym jest próba krzyżowania gatunków po to, by narodził się potomny mieszańce, czymś innym próba zespolenia komórek różnych gatunków (wówczas powstają właśnie krótko żyjące i nie mnożące się twory w rodzaju tego, który wspomniana na początku Josette Alia nazwała – daleko na wyrost – człowiekiem-myszą). Czymś innym są wreszcie próby tworzenia organizmów, jak to się określa, transgenicznych, to znaczy zdolnych do życia i nawet do rozmnażania istot, mających w swoim ciele geny obcego gatunku i to geny działające, czyli dające określone, oczekiwane efekty. Są to różne rzeczy, ale łączy je jedno: w tworze potomnym tkwią struktury fizjologiczne i genetyczne różnych gatunków!

Zespolone komórki dwu odrębnych gatunków nazywa się hybrydami, coś takiego udało się stworzyć (wyprodukować? otrzymać? – trochę brakuje dobrych określeń) już kilkanaście lat temu i pisałem o tym kiedyś. Może nawet nikogo nie chwycą dreszcze na myśl, iż gdzieś tam, w laboratoriach, w specjalnych odżywkach pulsują żywe grudki plazmy, w których jest coś z królika i zarazem kury, albo ze szczura i...petunii, albo – najdziwniej – COŚ zarazem z człowieka i myszy! W 1979 r. ukazały się doniesienia (do dziś jednak nie potwierdzone), że na Uniwersytecie w Lund (Szwecja) żyje „w próbówce” komórka-hybryda ludzko-roślinna, twór o genach ludzkich i genach marchwi. Można by powiedzieć, że „człowiek-marchew”, niezależnie od tego, czy już istnieje, czy też powstanie w przyszłości, jest szczytem wszystkiego (nawet na poziomie tylko komórki), ale zdaje się, że do szczytu jeszcze daleko...

Cokolwiek by o tym myśleć, badania tego rodzaju mają ogromne znaczenie poznawcze (przyczyniają się do poznania różnych mechanizmów komórkowych i zwłaszcza działania błon komórkowych). Niektórzy mówią o zastosowaniu hybryd roślinno-zwierzęcych jako najłatwiejszego w hodowli, samorosnącego i szczególnie wartościowego pożywienia dla zwierząt i może dla ludzi...

Zwierzęta i rośliny (więc już nie same komórki) transgeniczne „zaczęły się” stosunkowo niedawno i z nimi biotechnologia wiąże bodaj największe nadzieje. Istnieją różne metody wprowadzania do komórek obcych genów i znowu nie chodzi o metody,

ważne są efekty. Oto kilka dla przykładu.

Jednym z pierwszych słynnych eksperymentów było udane wszczepienie pewnej bakterii ludzkiego (!) genu, odpowiedzialnego za produkcję insuliny – dzięki temu bakteria mogła syntezować ten złożony ludzki hormon. W 1982 r. udało się wprowadzić do zespołu genów myszy gen szczura, odpowiedzialny za produkcję szczerzego hormonu wzrostu. Samo „wprowadzenie” obcego genu do mysiej komórki jajowej jest już wielkim sukcesem, ale najważniejsze, że gen ten „zadziałał” – mysz, narodzona z tej komórki była dwukrotnie większa od swoich siostr i braci. Był to pierwszy przypadek, w którym metodami inżynierii genetycznej udało się zmienić cechy ssaka i to w tak wyraźny sposób. W 1983 r. udało się po raz pierwszy wprowadzić obcy gen do komórki roślinnej i wyhodować z tej komórki nową roślinę, transgeniczną. W laboratoriach koncernu Monsanto udało się wprowadzić ludzki gen do petunii (z różnych względów akurat petunia i tytoń łatwo poddają się zabiegom przenoszenia genów). Owa petunia zaczęła produkować pewien hormon, wytwarzany przez kobiety w ciąży...

Wreszcie ostatnio wszczepiono pewnym bakteriom geny pajaka, odpowiedzialne za produkcję nici pajęczynowych.

Są to oczywiście tylko nieliczne przykłady, ale dobrze pokazują pewne możliwości:

- zmuszanie bakterii i roślin wyższych do produkcji leków, hormonów, specyficznych produktów (można już sobie wyobrazić „uprawę leków” na polu...);
- zmuszanie zwierząt do przybierania cech, korzystnych dla człowieka;
- zmuszanie ludzi do... stop.

Stosowanie metod inżynierii genetycznej do „ulepszania” organizmów ludzkich wydaje się jeszcze bardzo odległe, na szczęście. Może zresztą nie należy się obawiać? Jest to przecież zapewne jedyna droga do korygowania wrodzonych wad, zwalczania chorób dziedzicznych...

W 1987 r., po długich dyskusjach, odpowiednie instytucje federalne USA wydały wreszcie zezwolenie na prowadzenie działań, zmierzających do „wytwarzania nowych gatunków zwierząt metodami inżynierii genetycznej”. Nie wiem dlaczego, takie nie istniejące jeszcze w przyrodzie istoty nazwano „zwierzętami technologicznymi”, ale mniejsza o nazwę. W gruncie rzeczy chodzi o to, iż trudno nawet domyślać się, co mogą jeszcze stworzyć ludzie, mający moc kształtowania nowych istot.

Wszystko powyższe błędnie przeczy wobec niedawnego (z maja 1987 r.) oświadczenia włoskiego antropologa Brunnetta Chiarellego z Uniwersytetu we Florencji. Nadszedł czas – powiedział Chiarelli – by dokonać krzyżówki szympansa z człowiekiem. Zapłodnienie szympanscich plemnikami człowieka stało się realne. Chiarelli dodał, iż w USA dokona-

no już takiego eksperymentu i małpa zaszła w ciążę, w jej ciele zaczął się rozwijać płód, będący mieszańcem szympansa z człowiekiem. Doświadczenie podobno (podobno?) prze-rwano, ale – również podobno – można by je przeprowadzić do końca. Do jakiego końca?

Wedle dzisiejszego stanu wiedzy urodzenie się polomka małpy i człowieka nie jest możliwe, gatunki te – mimo najbliższego pokrewieństwa – dzieli co najmniej 5 milionów lat na drzewie ewolucyjnego rozwoju. Człowiek ma 46 chromosomów, szympansa – 48, wszelkie połączenia możliwe są może na poziomie pojedynczej komórki, nigdy jednak w postaci dojrzałego, wielokomórkowego organizmu. Coś takiego po prostu nie może się urodzić, choćby nawet doprowadzono do zapłodnienia i początków embrionalnego rozwoju...

Głoszono już nieraz różnego rodzaju sensacje naukowe, które szybko okazywały się bredniami. No tak, ale głoszono także nieraz sensacje, w które nikt uwierzyć nie chciał, były bowiem „niemożliwościami” – i szybko okazały się prawdami. Jeśli więc kiedykolwiek uda się jednak doprowadzić do krzyżówki małpy naczelnej z człowiekiem, CO (czy KTO) może się narodzić? Czy inteligentne zwierzę, czy „zezwierzęcony” człowiek? Ktoś w rodzaju Neandertalczyka czy Yeti? Jakie cechy dominowałyby w takiej istocie i jak powinni się odnosić do niej ludzie, skoro ją powołają do życia?

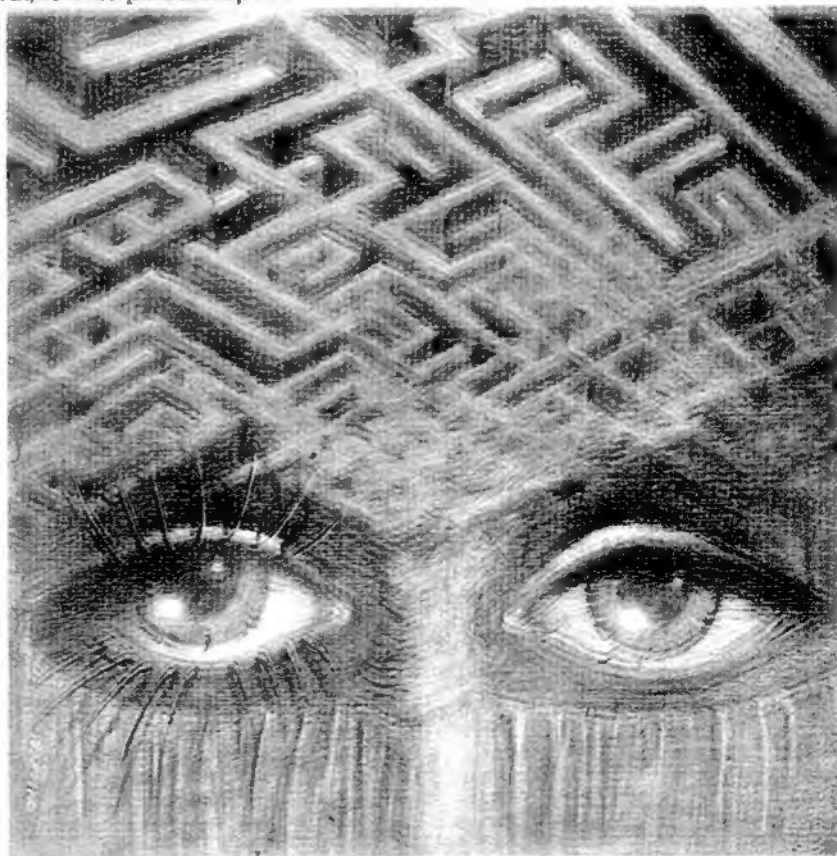
Profesor Chiarelli nie zaważał się dodać, że jego zdaniem narodzi się po prostu małpolud i że ten nowy gatunek istot można będzie wykorzystać do prac niebezpiecznych lub zbyt uciążliwych dla ludzi, a także jako swoisty „żywy magazyn” narządów do przeszczepów.

Oświadczenia Chiarellego wywołały grozę, wielu uczonych wystąpiło z ostrymi protestami. *Jeśli nawet jest to fantazja – nie wolno dopuścić, by się kiedykolwiek ziszcila* – powiedział ktoś i zapewne miał rację. Niestety, w nauce jest reguła, że coś, co staje się możliwe teoretycznie, zawsze w końcu ziszcza się w praktyce. Wydaje się, że w istocie biologia dotarła do jakichś granic, po których przekroczeniu świat będzie inny i my będziemy inni.

Krzyżówki ludzko-zwierzęce istniały w najstarszych mitach od najdawniejszych czasów, widać coś takiego zawsze fascynowało ludzką wyobraźnię. Człowiekiem-lwem był sfinks, symbol mądrości i tajemnicy. Człowiekiem-bykiem był straszliwy Minotaur, pożerający młodych ludzi w kretańskim labiryncie. Ciekawe, że pojawienie się Minotaura było karą zesłaną przez bogów. Bóg Morza, Posejdon, obrażony na króla Krety, Minosa, zesłał na jego żonę Pazyfae miłośkę do białego byka, którego Minos pożałował był właśnie bogom na ofiarę. Wielki konstruktor grecki Dedal (tak, ten od pierwszego lotu...) na prośbę pięknej Pazyfae zbudował drewnianą krowę, obciągnął ją skórą prawdziwej krowy, do wnętrza wsadził królową i pchnął wszystko razem na łąki, gdzie pał się biały byk. Żądza Pazyfae została zaspokojona, wkrótce zaś urodził się potwór – człowiek z głową byka, Minotaur.

Kartagińczycy musieli odtąd poświęcać mu swe najlepsze dzieci – do czasu, aż wybawił ich od tej ofiary Tezeusz. A my? No cóż, nam pozostaje czekać na pojawienie się Minotaurów godnych naszej, odważnej epoki.

* Podgatunki lub odmiany można uznać za powstające gatunki





Alison Balson w roli Jewel

Galopem w magię

O blicze filmu fantastycznego nieustannie się zmienia. Fascynacja przygodą w kosmosie i komputerem należy już do przeszłości. Coraz częściej miejsce obrazów technicznych zajmują baśnie, opowieści w których rządzi magia, historie opowiadające o zdarzeniach niewytlumaczalnych przez współczesną naukę. A my wpatrując się w sceny fantastyczne opisywania otaczającego świata, zagłębiając się coraz bardziej w krainę fantazy, witamy wieki XXI – wieki czarów i guseł!

Film pod tytułem „Biały Smok” trafił doskonale w zmieniające się zapotrzebowanie widzów. Akcja toczy się w małym kraju o nazwie Karistan (którego topografia niezwykle przypomina nasze Góry Stołowe). W pobliżu niewielkiego miasteczka, w małym domku na uboczu mieszka kobieta imieniem Alta, uważana przez taniejszą ludność za czarownicę. Jej niewidoma córka Jewel swobodnie wędruje po okolicy, zna każdy kamień i każdą ścieżkę. W tych wyprawach często towarzyszy jej piękny, biały kon.

W dalekiej (pod każdym względem) Kalifornii, inspektor ochrony przyrody Jim Martin traci nagle pracę, ale nieoczekiwanie otrzymuje od szefa wielkiej korporacji, Browna, propozycję wykonania ekspertyzy stwierdzającej brak zagrożenia dla środowiska przy wydobywaniu złóż mineralnych na terenie Karistanu. Przyjmuje zlecenie i jedzie na miejsce badań zabierając ze sobą pięcioletniego syna, Steve'a. Obaj wynajmują pokój w domu Ally.

W tym samym czasie nie opodal domu pojawia się Chinczyk – Tai-Ching, którego interesuje, żywa wśród miejscowej ludności, legenda o białym smoku.

Wyniki badań Jima nie są zgodne z oczekiwaniami jego mocodawców, ale mimo to decyduje się je głosić. Do akcji wkracza teraz kolejna postać – Dock – człowiek do zadań specjalnych, wynajęty przez Browna, który powinien zmienić wnioski Jima zgodnie z zaleceniami koncernu.

Film wiąże ze sobą pozornie nie przystające do siebie wątki: legendę o smoku, tkwiącą korzeniami aż w Chinach, kryminalną historię rodem z Ameryki i poważny problem ekologiczny. Łączącym je ogniwem jest postać Jima Martina. Ten uczciwy, dobry człowiek, nieco zagubiony we współczesnym świecie, musi wygrać walkę z siłami zła, aby podziwiać gasnące przeświadczenie widzów, że ze złem może wygrać dobro i tylko dobro.

Scenariusz filmu został napisany przez Roberta C. Fleeta, aktora i pisarza zamieszkałego w Stanach Zjednoczonych, który kilka lat temu przebywał w Polsce na stypendium twórczym. Podczas swego pobytu trafił na festiwal „Teatru otwartego” we Wrocławiu, skąd w ramach imprez towarzyszących zawieziono go w Góry Stołowe, stanowiące część Sudetów Środkowych. Przedziwne twory skalne o fantastycznych kształtach, tworzące naturalny labirynt wydały mu się wspinałymi film bajkowej fabuły. Po powrocie z Polski Robert C. Fleet założył ze swą żoną, Aliną Szpak, studio Legend Production. Pomysł zrodzony podczas wycieczki zaowocował filmem zrealizowanym z zespołem „Perspektywa”. Strona ame-

rykańska zaangażowała aktorów, wykonała zdjęcia trikowe i dostarczyła taśmy negatywowej. Zespół „Perspektywa” podjął się wykonania zdjęć w Górach Stołowych i nieczynnych sztolniach kopalni soli w Wieliczce oraz w atelier wrocławskiej wytwórni. Zdjęcia rozpoczęło we wrześniu 1985 roku. Po nakręceniu około 70% materiału reżyser filmu Jerzy Domaradzki poważnie zachorował. Ponieważ aktorzy amerykańscy nie mogli czekać, pracę nad filmem zakończył (łącznie z montażem i udźwiękowieniem) Janusz Morgenstern.

Z czołówek występujących w filmie aktorów amerykańskich polscy widzowie znają występującego w roli Jima Martina – Christophera Lloyda (niezwykle szalonego naukowca, dr. Emmetia Browna z „Powrotu do przyszłości”), a także Taberę z „Lotu nad kukulczym gniazdem” i kapitana Schulza z „Być albo nie być”) oraz grającą Ally – Dee Wallace Stone (rola matki w „E.T.” Stevena Spielberga). Z obsady polskich aktorów na uwagę zasługuje Kazimierz Kaczor w roli Superintendenta. Małego Steve'a zagrał Stephen Szpak-Fleet.

Scenariusz pełnymi garściami czerpie z tego, co modne we współczesnym kinie amerykańskim. To stwierdzenie nie jest bynajmniej zarzutem. Przeciwnie. Realizatorom nie chodziło przecież o stworzenie wybitnego dzieła filmowego, lecz jedynie obrazu, który zdobędzie masową popularność. Mamą więc motyw dziecka – małego chłopca przechodzącego z latwością i naturalnością ze świata realnego w krainę baśni oraz dziewczynę Jewel, której porozumienie z naturą jest całkowite. Symboliczne i rzeczywiste otwarcie oczu zamienia ją w kobietę – mamę tu zakończenie modnego dzisiaj filmu rodzinnego. Wątki: gangsterski i ekologiczny osadzają fabułę we współczesnym świecie. Wplecioną w nie baśń jest również zgodna z obecnymi tendencjami – ucieczka od technicyzacji życia (scena zamazania zapisu komputerowego przez Ally). Modę na chinszczyznę zaznaczono wprowadzając postać Tai-Chinga.

Podobnie jak w „Nieśmiertelnym” („Fantasyka” nr 6/87), w „Białym Smoku” realizatorzy wykorzystali zetknięcie dwóch zupełnie różnych, światów, przenosząc akcję do małego kraju, w którym czas się zatrzymał.

O ile do tej pory kryminał i fantastyka czerpały ze wzorów baśniowych, w „Białym Smoku” rolę się odwracają – baśń współczesna sięga do realiów naszego życia. Niezmienna pozostała tylko wiara, że wygrać musi dobro. Takie historie są nam wciąż potrzebne, niezależnie, czy opowiada się je wieczorem przy kominku, czy też pokazuje na ekranie. I dlatego mimo niewątpliwych nawroty i uproszczeń warto zobaczyć „Białego Smoka”.

Dorota Malinowska

BIAŁY SMOK (tytuł amerykański „Legend of the White Dragon”). Reżyseria: Jerzy Domaradzki i Janusz Morgenstern. Scenariusz: Robert C. Fleet. Zdjęcia Ryszard Lenczewski. Obsada: Christopher Lloyd, Dee Wallace Stone, Soon-Tek Oh, Christopher Stone, Luke Askew, Allison Balson, Stephen Szpak-Fleet, Kazimierz Kaczor. Polska-USA, 1986.

Zobaczyć to jeszcze raz?

C zysły, schludny domek bogatego, amerykańskiego farmera. W kuchni krząta się jasnowłosa żonka. Dwójka uroczych i oczywiście nieznośnych dzieciaków. Dziewczyna – wyrosła już całkiem podłotek, i jej rudowłosa, piegowaty młodszys brat. Wszystko jak z reklamy.

W tę sielankę wdzierają się przybysze z kosmosu. Crittery, nader niesympatyczna rasa, której jedynym celem jest jeść i przeżyć. Grupa trafiająca na Ziemię, uciekła z międzygalaktycznego więzienia. W pościg za nią zostają wysłani kosmiczni łowcy, których metody, jak na nasze warunki, są dość drastyczne.

Tak rozpoczyna się film pt. „Critters”. Dalszy rozwój akcji łatwo przewidzieć (podobno w tej chwili realizują się filmy o scenariuszach specjalnie nieskomplikowanych, żeby widz domyślając się treści, utwierdzał się w mniemaniu, że jest osoba inteligentna). Dużo momentów mrozących

krw w zylach, rosnący nastrój zagrożenia, co jakiś czas rozładowywany sceną komiczną. I oczywiście wszystko konczy się dobrze.

A po wyjściu z kina nie zostaje nic poza wrażeniem, że widzieliśmy to już wiele razy. Same crittery niezwykle przypominają złośliwe gremliny, a ich atak na spokojną, dostojną farmę ma w sobie coś z nastroju filmu Dantego, chociaż daleko mu do pierwotności, w którym atakowane miasteczko wygląda napierw jak karika bożonarodzeniowa, żeby później stać się przedpołem piekła. Jest tu coś z atmosfery „Ducha” (sceny konsolidowania się rodziny zwalczającej wspólnymi siłami narastające zło) i z wielu, wielu innych obrazów science fiction.

A zresztą czy w przypadku tego filmu można mówić o science fiction? Czy dlatego, że autor scenariusza wymyślił jakieś nie istniejące potwory i nie motywując ich wprowadzenia stwier-

dził po prostu, że przybyły z kosmosu, musimy godzić się na zasmiecanie gatunku? Tyle tylko w tym filmie SF, że każdemu „pomysłowi nie z tej ziemi” przyczepia się podobną etykietkę. Cóż, głupcy też byli z kosmosu, lecz po co tak daleko trzeba było ich szukać?

A cóż więcej powiedzieć o critterach? Można by znowu o bohaterach dzieciach, o powiązaniu z filmem rodzinnym, o tym, że pani Dee Wallace Stone po występie w roli złej czarownicy w „Białym Smoku” powróciła do typu roli, jaką kreowała w „E.T.”, ale po co się powtarzać. O! można zobaczyć to jeszcze raz, ale czy warto?

D.M.

CRITTERS. Reżyseria: Stephen Herek. Scenariusz: Dominic Muir i Stephen Herek. Zdjęcia Tim Suhrstedt. Obsada: Dee Wallace Stone, M. Emmet Walsh, Billy Green Bush, Scott Grimes, Nadine Van der Velde. USA 1986.

ANDRZEJ WRONSKI

GALERIA

